

FANTASY & SF

CLIFFORD D. SIMAK

STAGJA

TRANZYTOWA

JEST TAKIE MIEJSCE NA ZIEMI,

GDZIE ZATRZYMUJĄ SIĘ OSOBLIWI WEDROWCY - PRZYBYŚCIE Z INNYCH PLANET.

JEST CZŁOWIEK, KTÓRY OD LAT UDZIELA IM GOŚCINY - ZWIE SIĘ ENGCH WALLACE.



PHANTOM PRESS

Spis treści

Karta tytułowa

- ⚙ 1 ⚙
- ⚙ 2 ⚙
- ⚙ 3 ⚙
- ⚙ 4 ⚙
- ⚙ 5 ⚙
- ⚙ 6 ⚙
- ⚙ 7 ⚙
- ⚙ 8 ⚙
- ⚙ 9 ⚙
- ⚙ 10 ⚙
- ⚙ 11 ⚙
- ⚙ 12 ⚙
- ⚙ 13 ⚙
- ⚙ 14 ⚙
- ⚙ 15 ⚙
- ⚙ 16 ⚙
- ⚙ 17 ⚙
- ⚙ 18 ⚙
- ⚙ 19 ⚙
- ⚙ 20 ⚙
- ⚙ 21 ⚙
- ⚙ 22 ⚙
- ⚙ 23 ⚙
- ⚙ 24 ⚙
- ⚙ 25 ⚙
- ⚙ 26 ⚙
- ⚙ 27 ⚙

⚙ 28 ⚙
⚙ 29 ⚙
⚙ 30 ⚙
⚙ 31 ⚙
⚙ 32 ⚙
⚙ 33 ⚙
⚙ 34 ⚙
⚙ 35 ⚙
⚙ 36 ⚙

BLURB

Clifford D. Simak
STACJA
TRANZYTOWA

Przełożyła
Barbara Jankowiak

PHANTOM
P R E S S

1993



Ustał zgiełk. Dym unosił się jak wstążki szarej mgły nad umęczoną ziemią, nad strzaskanymi płotami i brzoskwiniowym sadem, rozniesionym w drzazgi przez ogień artylerii. Na moment wszystko ucichło, jakby pokój nastał na paru kilometrach kwadratowych pola, gdzie przed chwilą ludzie rzucali się z wrzaskiem jeden na drugiego w szale zapiekłej nienawiści, w ferworze odwiecznych zmaganiań, by wreszcie paść z wyczerpania.

Zdawało się, że dudniący grzmot w nieskończoność będzie się przewalał aż po granice horyzontu: tryskające w niebo fontanny ziemi, dzikie rzenie koni przemieszane z ochrypłym rykiem mężczyzn, raz po raz ostry, metaliczny świst, a po nim głuchy wybuch, smalące błyski ognia, blask stali i zuchwałość kolorów miotanych wiatrem bitwy.

Wszysto ustało i zaległa cisza.

Lecz tego dnia cisza, przerywana co chwila jękami bólu, wołaniem o wodę i modlitwą o śmierć, nie miała tu prawa wstępu. Jęki, krzyki, wołania ciągnęły się godzinami w promieniach letniego słońca. Później bezładnie porzrucane kształty znieruchomiały i ucichły, a w powietrzu zaczął unosić się smród dławiący każdego, kto mijał płytkie groby.

Nikt nie zbierze pszenicy, drzewa nie zakwitną wiosną. Na pochyłej ziemi, obok słów nie wypowiedzianych i nie dokonanych czynów, wilgotne szczątki wznosiły krzyk bezsensu niepotrzebnej śmierci.

Dumnie brzmiące nazwy okryła jeszcze większa chwała, ale

przez wieki pozostaną już tylko nazwami: *Żelazna Brygada*, Piąty New Hampshire, Pierwszy Minnesota, Drugi Massachusetts, Szesnasty Maine. Był tam Enoch Wallace.

Wciąż ścisnął strzaskany muszkiet w rękach pokrytych pęcherzami. Twarz osmalił mu proch. Na butach zaschło błoto i krew.. Nie poległ.



Doktor Erwin Hardwicke miał irytujący nawyk: toczył w dłoniach ołówek – w tę i z powrotem. Patrzył na mężczyznę po drugiej stronie biurka z pewną dozą kalkulacji.

– Jednego nie mogę pojąć – rzekł wreszcie. – Dlaczego przyszedł pan do nas?

– Jesteście Akademią Nauk, więc myślałem...

– A pan jest agentem wywiadu.

– Niech pan posłucha, doktorze: jeżeli to panu bardziej odpowiada, potraktujemy tę wizytę jako nieoficjalną. Jestem zdezorientowanym obywatelem, który przyszedł się dowiedzieć, czy może znaleźć tu pomoc.

– Może i chciałbym panu pomóc, tylko nie bardzo wiem jak.

Cała ta sprawa jest pełna niejasności i przypuszczeń.

– Do diabła, człowieku! – zirytował się Claude Lewis. – Nie może pan podważać dowodów, nawet tak nikłych jak moje.

– W takim razie zgoda – odparł Hardwicke. – Zaczniemy od początku, po kolei. Mówi pan, że ten człowiek...

Nazywa się Enoch Wallace – powiedział Lewis. – Zgodnie z chronologią ma sto dwadzieścia cztery lata. Urodził się na farmie, parę kilometrów od Millville w stanie Wisconsin, dwudziestego drugiego kwietnia tysiąc osiemset czterdziestego roku. Jest jedynym dzieckiem Jedediasza i Amandy Wallace'ów.

Gdy Abe Lincoln zaczął werbować ochotników, zaciągnął się jako jeden z pierwszych. Walczył w Żelaznej Brygadzie, która została zmieciona pod Gettysburgiem w tysiąc osiemset

sześćdziesiątym trzecim. Ale Wallace dostał się jakoś do innej jednostki i walczył dalej w Wirginii pod dowództwem Granta. Brał udział w samej końcówce, pod Appomattox.

– Dokładnie, pan go sprawdził.

– Przejrzałem jego akta. Dane o zaciągu są w siedzibie władz stanowych w Madison. Reszta, łącznie z przeniesieniem do rezerwy, tutaj, w Waszyngtonie.

– Mówi pan, że on wygląda na trzydzieści lat.

– Na pewno nie ma więcej. Może nawet mniej.

– Ale pan z nim nie rozmawiał.

Lewis potrząsnął przecząco głową.

– Może to nie ten człowiek. Gdyby pan miał odciski palców...

– W czasie wojny secesyjnej nie istniała daktyloskopia – odparł Lewis.

– Ostatni weteran wojny secesyjnej zmarł łądnym kilka lat temu – powiedział Hardwicke. – Zdaje się, że był doboszem, synem pułku Konfederacji. To musi być jakaś pomyłka.

Lewis potrząsnął głową.

– Sam tak myślałem, kiedy mnie tam wysłali.

– Dlaczego pana wysłali? Czy wywiad zajmuje się takimi sprawami?

– Zgadza się, to trochę niezwykle – odrzekł Lewis. – Ale było tyle hipotez...

– Na przykład nieśmiertelność.

– Owszem, przyszło nam i to na myśl. Ale to nie było najważniejsze dla nas. Głównie zajmowaliśmy się tym dziwnym budynkiem.

– Ale wywiad...

Lewis wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zastanawia się pan, dlaczego nie naukowcy. Logicznie

myśląc, tak powinno być. Jeden z naszych ludzi wdepnął w to przypadkiem. Był na urlopie w Wisconsin. Niezupełnie w tym rejonie, jakieś sześćdziesiąt kilometrów dalej. Coś usłyszał, ktoś mu o tym przypadkiem napomknął, więc zaczął węszyć. Dużo się nie dowiedział, ale wystarczyło, żeby zacząć coś podejrzewać.

– Dziwi mnie – powiedział Hardwicke – jak człowiek mógł przeżyć sto dwadzieścia cztery lata w jednej miejscowości i nie stać się legendą, kimś sławnym na cały świat. Czy pan sobie wyobraża, co to za gratka dla dziennikarzy?

– Ciarki mnie przechodzą, jak o tym pomyślę – przyznał Lewis.

– Nie odpowiedział mi pan.

– Dość trudno to wytłumaczyć. Trzeba znać okolicę i jej mieszkańców. Południowo-zachodnia część Wisconsin leży w widłach dwóch rzek: Missisipi od zachodu i Wisconsin od północy. Z dala od brzegów rozciągają się prerie, żyzna ziemia, zamożne farmy i miasta. Ale nie opodal rzek teren jest nierówny i górzysty: wysokie wzniesienia, stromizny, głębokie wąwozy i urwiska. Niektóre zakątki przypominają zatoki otoczone ze wszystkich stron, odgradzone od świata. Nie ma dobrych dróg, a w małych, prymitywnych farmach mieszkają ludzie, których więcej łączy z pierwszymi osadnikami sprzed stu lat niż z wiekiem dwudziestym. Mają oczywiście samochody, radia, wkrótce może dotrze do nich telewizja. W rzeczywistości jednak są bardzo konserwatywni i niechętni obcym; nie dotyczy to, rzecz jasna, wszystkich ani nawet większości mieszkańców stanu – chodzi mi o ludzi z zakątków. Kiedyś było tam wiele samotnych farm, ale w dzisiejszych czasach trudno byłoby wyżyć z gospodarstwa. Warunki ekonomiczne powoli zmuszają ludzi do opuszczania tamtych okolic. Farmerzy sprzedają działki i przenoszą się, przeważnie do miast, gdzie łatwiej o pracę.

Hardwicke pokiwał głową.

– A zostają, oczywiście, ci najbardziej konserwatywni i niechętni obcym.

– Właśnie. Większość ziemi pozostaje teraz w rękach właścicieli, którzy nawet nie udają, że ją uprawiają. Trzymają zwykle parę sztuk bydła. Niezły interes, jeśli ktoś chce sobie zmniejszyć podatki.

– Chce pan przez to powiedzieć, że ci leśni ludzie – tak chyba należałoby ich nazywać – uczestniczą w zмовie milczenia?

– To by było zbyt skomplikowane. Oni po prostu są. Tyle pozostało im z filozofii nieustraszonych pierwszych osadników. Zawsze pilnowali swego nosa. Nie chcą, żeby ktoś się mieszał w ich sprawy, i sami nie wtrącają się w cudze. Niech facet sobie żyje choćby i tysiąc lat; można się temu dziwić, ale nikomu nic do tego. Chce mieszkać przez ten czas samotnie – to też jego sprawa. Mogą mówić o tym między sobą, ale nigdy z nieznanymi. Byliby oburzeni, gdyby ktoś obcy próbował ciągnąć ich za język. Sądzę, że po pewnym czasie zaakceptowali fakt, że Wallace cały czas jest młody, podczas gdy oni się starzeją. Przestali się dziwić. Młode pokolenie nie widzi w tym nic nadzwyczajnego, bo starsi nie robią sensacji. Zresztą, nikt nie widuje Wallace'a zbyt często; jest on typem samotnika. Jeżeli ktoś w okolicy w ogóle pomyślał o tym, musiało mu to wyglądać na coś w rodzaju legendy, jeszcze jedną szaloną opowiastkę niewartą sprawdzenia. Może ludzie opowiadali to sobie jako anegdotę? Taki Rip van Winkle, w którego historii nie ma ani słowa prawdy. Można wyjść na stukniętego, kiedy się zacznie za bardzo drążyć temat.

– Ale wasz człowiek usiłował się czegoś dowiedzieć.

– Tak.

– Jednak nie jemu przydzielono tę sprawę.

- Był potrzebny gdzie indziej. Poza tym wszyscy go tam znają.
- A pan?
- Zajęło mi to dwa lata.
- A teraz pan wszystko wie.
- Nie wszystko. Teraz wiem mniej niż na początku.
- Widział pan tego człowieka.

Tak, wiele razy – przyznał Lewis. – Ale z nim nie rozmawiałem. Chyba nie zwrócił na mnie uwagi. Codziennie wychodzi, aby się przejść, potem odbiera pocztę. Nigdzie stamtąd się nie rusza. Listonosz przynosi wszystko, co jest mu niezbędne. Worek mąki, kawałek boczku, tuzin jaj, cygara, czasem alkohol.

– To chyba niezgodne z regulaminem poczty.

– Oczywiście. Ale listonosze robią tak od lat. Nikomu to nie przeszkadza, dopóki ktoś nie narobi szumu. A nikt nie ma takiego zamiaru. Listonosze zawsze byli jego jedynymi przyjaciółmi.

– Ten Wallace pewnie nie pracuje na roli.

– Nie. Ma tylko niewielki ogród warzywny. Jego ziemia leży odłogiem.

– Ale musi z czegoś żyć, skądś brać pieniądze.

– Tak – powiedział Lewis. – Raz na pięć czy dziesięć lat posyła garść kamieni szlachetnych pewnej nowojorskiej firmie.

– Legalnie?

– Ma pan na myśli nielegalne pochodzenie? Gdyby ktoś chciał dociekać, może by i coś znalazł. Oczywiście, nie na samym początku, wiele lat temu, kiedy Wallace zaczął posyłać te kamienie. Prawo się jednak zmienia i myślę, że teraz zarówno sprzedający, jak i kupujący dopuszczają się oszustw.

– Nie przeszkadza to panu?

– Sprawdziłem tę firmę – oświadczył Lewis. – Byli trochę

zaniepokojeni. Od dawna naciągali Wallace'a. Poleciałem im dalej kupować. Kazałem im, by odsyłali do mnie każdego, kto zainteresuje się Wallace'em. Mają trzymać język za zębami i niczego nie zmieniać.

– Nie chce pan, żeby ktoś go wystraszył – stwierdził Hardwicke.

– Do diabła, oczywiście. Chcę, by listonosz woził mu prowiant, a nowojorska firma dalej kupowała od niego kamienie.

Niech wszystko zostanie tak, jak jest. Zanim zapyta mnie pan, skąd pochodzą te klejnoty, powiem panu, że nie wiem.

– Może ma kopalnię?

– To byłaby niezła kopalnia: diamenty, rubiny i szmaragdy w jednym miejscu.

– Podejrzewam, że nawet przy kiepskich cenach nieźle na tym wychodzi.

Lewis przytaknął.

– Wygląda na to, że wysyła kamienie, kiedy kończy mu się gotówka. Wiele nie potrzebuje. Żyje raczej skromnie, sądząc po żarciu, jakie kupuje. Ale prenumeruje stosy gazet i tygodników, przy tym z tuzin czasopism naukowych. Kupuje mnóstwo książek.

– Z dziedziny techniki?

– Tak, niektóre, oczywiście. Przeważnie dotyczące nowych odkryć w fizyce, chemii i biologii.

– Nierozu...

– Naturalnie. Ja też nie. On nie jest naukowcem. Przynajmniej nie ma żadnego formalnego wykształcenia. Dawniej, kiedy chodził do szkoły, nie było czegoś takiego jak współczesna edukacja. Jeśli nawet czegoś się nauczył, teraz jest to wiedza zupełnie bezwartościowa. Skończył szkołę powszechną – wiejską

szkółkę z jedną salą lekcyjną – i przez jedną zimę był w tak zwanej akademii, która istniała rok czy dwa w Millville. Musi pan wiedzieć, że poziom tej akademii był zdecydowanie powyżej przeciętnej jak na tamte czasy. Najwyraźniej Wallace był zdolnym uczniem.

Hardwicke potrząsnął głową.

– Nie do wiary. Sprawdził pan wszystko?

– Bardzo dokładnie. Musiałem działać niezwykle ostrożnie.

Nie chciałem, żeby ktoś się tym zainteresował. O jednym zapomniałem: Wallace bardzo dużo pisze. Kupuje wielkie, oprawne księgi handlowe po dziesięć sztuk naraz. Atrament zużywa litrami.

Hardwicke wstał zza biurka i zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem.

– Wie pan co, Lewis – powiedział – gdyby pan mi się nie wylegitymował i gdybym pana nie sprawdził, potraktowałbym to wszystko jako bardzo głupi kawał. – Wrócił na miejsce i usiadł. Wziął do ręki ołówek i znów zaczął toczyć go w dłoniach. – Prowadził pan tę sprawę przez dwa lata – stwierdził. – Nie ma pan żadnego pomysłu?

– Żadnego. Pojęcia nie mam, co z tym zrobić. Dlatego tu jestem.

– Niech pan mi jeszcze opowie o tym Wallasie. Co się działo z nim po wojnie secesyjnej?

– Umarła mu matka – powiedział Lewis. – Nie było go przy tym. Jego ojciec i sąsiedzi pochowali ją na farmie. Tak wtedy się robiło. Młody Wallace dostał przepustkę, ale nie zdążył na pogrzeb. Wtedy nie balsamowano zwłok, a podróż trwała długo. Potem wrócił na wojnę. O ile wiem, był to jego jedyny urlop. Stary Wallace świetnie dawał sobie radę na farmie. Jak dalece mogłem się zorientować, był dobrym farmerem, wyjątkowo

dobrym jak na tamte czasy. Prenumerował kilka czasopism rolniczych i wprowadzał innowacje. Przywiązywał wagę do takich rzeczy jak płodozmian i zapobieganie erozji gleby. Jego farma nie przypominała oczywiście dzisiejszych, ale mógł z niej wyżyć i trochę zaoszczędzić. Enoch wrócił z wojny i razem uprawiali ziemię przez rok czy dwa. Stary kupił kosiarkę – taką maszynę, którą ciągnął koń, z podłużnym ostrzem do ścinania trawy i zboża. Bardzo nowoczesna – w porównaniu z machaniem sierpem. Pewnego popołudnia poszedł kosić. Konie poniosły. Coś musiało je wystraszyć. Ojciec Enocha spadł z siedzenia i dostał się pod ostrze. Niezbyt przyjemna śmierć.

Hardwicke skrzywił się.

– Okropne – powiedział.

Enoch przyniósł ciało ojca do domu, potem wziął broń i poszedł szukać koni. Znalazł je na skraju pastwiska, zastrzelił oba i zostawił. Dosłownie. Ich szkielety latami leżały na łące, zaprzęzione do kosiarki, dopóki uprzęż nie zgniła. Wrócił do domu, umył ciało ojca, ubrał w przyzwoity czarny garnitur i poszedł do szopy zbić trumnę. Potem wykopał mogiłę, obok grobu matki. Kończył już przy świetle latami. Wrócił do domu i siedział przy ojcu, czekając na świt. Zawiadomił najbliższego sąsiada, a ten pozostałych. Ktoś poszedł po księdza. Późnym popołudniem odbył się pogrzeb i Enoch wrócił do domu. Od tego czasu tam mieszka, ale nie uprawia już ziemi. Tylko ogródek.

– Powiedział pan, że ci ludzie nie rozmawiają z obcymi.

Skąd pan tyle wie?

– Zajęło mi to dwa lata. Kupiłem starego gruchota, pojechałem do Millville i rozpowiedziałem, że jestem poszukiwaczem żenienia.

– Kim?

– Poszukiwaczem żeń-szenia. Żeń-szeń to taka roślina.

– Tak, wiem. Ale od lat nikt tego nie kupuje.

– Kupuje niewielu i to rzadko. Czasem na eksport. Dlatego szukałem też innych leczniczych ziół i udawałem, że mam szeroką wiedzę na temat ich stosowania. „Udawałem” to nie jest właściwe słowo – sporo wkułem.

– Taka prosta dusza, którą tamci potrafią zrozumieć – podsumował Hardwicke. – Powrót do natury. Nieszkodliwy dziwak, trochę niespełna rozumu.

Lewis przytaknął.

– Wyszło lepiej, niż się spodziewałem. Wędrowałem, znalazłem nawet trochę żeń-szenia, a ludzie opowiadali mi różne rzeczy. Szczególnie rodzina Fisherów; mieszka w dole rzeki, za farmą Wallace’a stojącą na wzniesieniu. Oni tam są tak długo jak rodzina Wallace’a, ale to zupełnie inny typ ludzi. Fisherowie polują, łowią i pędzą bimber. Odkryli we mnie bratnią duszę.

Byłem tak samo niezaradny, jak swego czasu oni. Pomagałem im przy bimbrze; pędziliśmy razem, piliśmy, czasem się sprzedawało. Chodziłem z nimi na ryby, na polowania, siadywałem, żeby trochę pogadać; pokazali mi parę miejsc, gdzie mogłem znaleźć żeń-szeń – „sang”, jak go nazywają. Sądzę, że dla socjologa Fisherowie byłiby kopalnią wiadomości. Mają córkę – niemowę. Jest śliczna i potrafi wywabiać czarami kurzajki.

– Znam ten typ ludzi – powiedział Hardwicke. – Urodziłem się i wychowałem na Południu, w górach.

– To Fisherowie opowiedzieli mi o koniach i kosiarce. Kiedyś poszedłem na skraj pastwiska Wallace’a i zacząłem kopać.

Znalazłem końską czaszkę i parę kości.

– Ale nie wiadomo czy to był koń Wallace’a.

– Nie – odrzekł Lewis. – Znalazłem też część kosiarki. Niewiele

już z niej zostało.

– Wróćmy do *rzeczy* – powiedział Hardwicke. – Po śmierci ojca Enoch został na farmie. Nigdy jej nie opuszczał?

Lewis pokręcił głową.

– Mieszka w swoim starym domu. Nic w nim nie zmieniał.

Dom nie postarzał się bardziej od właściciela.

– Był pan w tym domu?

– Nie w środku. Opowiem panu.



Miał godzinę. Wiedział, że ma tyle czasu, bo przez ostatnie dziesięć dni sprawdzał rozkład dnia Enocha Wallace'a. Od momentu wyjścia Enocha do chwili powrotu z pocztą mijała co najmniej godzina. Czasem trochę więcej, gdy listonosz się spóźniał albo gdy Wallace i listonosz się zagadali. Ale Lewis powiedział sobie, że może liczyć najwyżej na godzinę.

Wallace zniknął za zboczem, kierując się w stronę skały górującej nad urwiskiem, u którego stóp płynęła rzeka Wisconsin. Zaraz wejdzie na skalny szczyt i stanie tam, z karabinem pod pachą, patrząc na dziewiczą dolinę rzeki. Następnie zejdzie z góry i będzie się wspinał po wyłożonej kłodami ścieżce do miejsca, gdzie kwitną storczyki, stamtąd znów na szczyt wzgórze, do strumienia wypływającego ze zbocza poniżej uprawnego pola, które leży odłogiem co najmniej od stu lat. Wreszcie w poprzek stoku dotrze do zarośniętej drogi, która prowadzi do skrzynki pocztowej.

Od dziesięciu dni, odkąd Lewis go śledził, cała trasa ani razu nie uległa zmianie. „Możliwe, że nie zmieniła się od lat” – pomyślał Lewis. Wallace się nie spieszył. Spacerował, jakby miał nie wiadomo ile czasu. Zatrzymywał się, by odnowić znajomość ze starymi przyjaciółmi: drzewami, wiewiórką, kwiatkiem. Jego ruchy były szorstkie, miał w sobie wiele z żołnierza – stare przyzwyczajenia z trudnych czasów walki pod różnym dowództwem. Głowę trzymał wysoko, ramiona miał wyprostowane, szedł wyćwiczonym krokiem jak ktoś, kto umie

maszerować.

Lewis wyszedł z za gęstwiny, która niegdyś była sadem. Kilka drzew – poskręcane, sękate i poszarzałe ze starości – wciąż rodziło nędzne i gorzkie jabłka.

Zatrzymał się na skraju zagajnika i chwilę spoglądał na budynek stojący powyżej na szczycie wzniesienia. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że dom jest oświetlony osobliwym światłem, jak gdyby czyste promienie słońca przenikały go, by wyróżnić spośród innych domów na świecie. Skąpana w świetle bryła budynku wyglądała trochę nieziemsko, jakby naprawdę została specjalnie wyróżniona. Ale po chwili dziwny blask – jeżeli w ogóle istniał – znikł nagle i dom oświetlały promienie słoneczne wspólne dla pól i lasów.

Lewis potrząsnął głową i zdecydował, że to głupota albo jakieś złudzenie. Nie ma przecież żadnych osobliwych promieni słonecznych, a dom jest tylko domem, choć zachował się w znakomitym stanie.

Takich budynków nie widuje się często w obecnych czasach. Dom zbudowany na prostokącie: długi, wąski i wysoki, ze staromodnymi ozdobami na okapie i zwieńczeniu dachu. Sprawiał wrażenie nieprzytulnego, co nie miało nic wspólnego z jego wiekiem. Taki był od początku: surowy, mocny i prosty, jak ludzie, którym udzielał schronienia. Utrzymany był w dobrym stanie, nie łuszczyła się na nim farba, nie odpadał tynk – z pewnością nie *zagrażała* mu ruina. Przy bocznej ścianie znajdowała się niewielka przybudówka, jakby przywieziona i oparta o ścianę, by osłonić drzwi do kuchni. Lewis pomyślał, że drzwi na pewno prowadzą do kuchni. Przybudówka najwyraźniej służyła do przechowywania butów, kaloszy i płaszczy. Stała tam zapewne ława na wiadra i bańka na mleko

oraz kobiałka na jaja. Z dachu przybudówki wystawała metrowej długości rura piecyka.

Lewis zbliżył się do domu, obszedł przybudówkę i zobaczył, że drzwi do niej są uchylone. Wszedł więc po schodkach, otworzył drzwi szerzej, po czym rozejrzał się.

Niebyła to zwykła przybudówka. Najwyraźniej tutaj właśnie mieszkał Wallace. Piecyk z rurą stał w kącie – starodawna koza, mniejsza od dawnych pieców kuchennych. Na płycie znajdowały się dwie patelnie i czajnik. Pozostałe przybory kuchenne wisiały na haczykach wbitych w deskę za piecykiem. Naprzeciwko, pod ścianą, stało sporych rozmiarów łóżko z drewnianymi słupkami w rogach, przykryte wygniecioną kołdrą, uszytą z wielu wzorzystych, kolorowych łątek według mody, której panie domu hołdowały sto lat temu. W drugim rogu znajdował się stół z krzesłem. Nad nim, na ścianie, wisiała szafka, która była otwarta i można było zobaczyć kubki i talerze. Na stole stała lampa naftowa – stara, ale czysta, jakby ktoś umył ją przed chwilą. Nie było widać drzwi prowadzących do dalszej części domu, nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek istniały.

„Niewiarygodne – pomyślał Lewis. – Nie ma drzwi. Wallace mieszka w przybudówce, kiedy obok stoi wielki dom. Jak gdyby miał powód, by nie mieszkać w domu, ale jednocześnie musiał przebywać w pobliżu. Może pokutuje za coś jak średniowieczni pustelnicy w leśnych chatkach i jaskiniach.”

Stał na środku i rozglądał się w nadziei, że znajdzie jakieś rozwiązanie w tych zagadkowych okolicznościach. W przybudówce nie było jednak nic, co nie wiązałoby się z twardym codziennym życiem; nic poza piecykiem służącym do przygotowywania stawy i ogrzewania pomieszczenia, łóżkiem do spania, stołem do spożywania na nim posiłków, lampą do

oświetlania. Lewis nie zauważył nawet kapelusza (choć, uprzytomnił sobie, Wallace chodził z gołą głową) czy płaszcz.

Nigdzie nie było ani śladu czasopism, a przecież Wallace rzadko wracał od skrzynki pocztowej z pustymi rękami. Prenumerował *New York Times*, *Wall Street Journal*, *Christian Science Monitor* i waszyngtoński *Star*, nie licząc periodyków naukowo-technicznych. Tutaj ich nie było – ani książek, których tyle kupował. Książ handlowych również. W ogóle żadnych tekstów pisanych.

„Może ta przybudówka – pomyślał Lewis – z jakichś zaskakujących powodów jest tylko na pokaz. Być może przygotowano ją starannie, aby wyglądała na mieszkanie Wallace’a. Może on jednak mieszka w domu. Jeśli to prawda, po co ta cała maskarada.”

Odwrócił się i wyszedł z przybudówki. Okrążył dom i stanął przed gankiem wiodącym do głównego wejścia. Popatrzył wokół. Panował spokój. Świeciło wczesne, przedpołudniowe słońce, zapowiadał się ciepły dzień. Ukryty zakątek trwał cicho i leniwie, czekając upału.

Spojrzał na zegarek. Zostało mu czterdzieści minut, wszedł więc po schodach na ganek i zbliżył się do drzwi. Wyciągnął rękę, chcąc przekręcić gałkę. Ale ta się nie przekręciła. Zaskoczony, spróbował jeszcze raz i znów bezskutecznie. Palce ślizgały się na gałce jak po lodzie, nie mogąc w żaden sposób jej uchwycić ani poruszyć.

Pochylił się nisko, by sprawdzić, czy gałka nie jest czymś powleczone – nie znalazł niczego takiego. Wszystko wyglądało normalnie – zbyt normalnie. Gałka była czyściutka, jakby ktoś ją przetaił i wypolerował. Ani śladu kurzu, żadnego nalotu. Spróbował zadrapać paznokciem kciuka – palec ześliznął się, nie

pozostawiając śladu. Pogładził dłonią powierzchnię drzwi – drewno też było śliskie. Nacisk dłoni nie powodował tarcia. Ręka zsunęła się, jakby była posmarowana tłuszczem. Nie zauważył niczego, co mogłoby wyjaśnić to zjawisko.

Odsunął się od drzwi i podszedł do ściany; deski okazały się śliskie. Próbował paznokciem i całą dłonią – efekt ten sam. Dom pokryty był warstwą czegoś przezroczystego i śliskiego zarazem, gładkiego na tyle, że nie przylegał do tego kurz ani nie wpływały na to warunki pogodowe.

Podszedł do okna. Dostrzegł coś, czego nie zauważył przedtem. Okna były czarne. Bez firanek i zasłon, po prostu czarne prostokąty, niczym puste oczodoły w bryle domu. Zbliżył twarz do szyby i z dwóch stron osłonił oczy dłońmi przed blaskiem słońca. Ale nawet w ten sposób nie udało mu się zajrzeć do domu. Wpatrywał się w nieprzeniknioną czerń, która nie odbijała promieni słonecznych. Nie widział swojego odbicia w szkle.

Nic poza *czernią*, tak jakby światło padające na szybę wnikało w nią, wsysane i zatrzymywane. Promienie nie wracały, pochłaniało je okno.

Opuścił ganek i wolnym krokiem ruszył dookoła domu. Wszystkie okna miały tę samą czarną głębię, w której znikало światło, a ściany były śliskie i twarde.

Uderzył pięścią w deski ściany – jakby uderzył w skałę. Zbadał podmurówkę. Śliski, gładki mur. Pomiedzy kamieniami tkwiła zaprawa murarska, a na ich powierzchni widać było nierówności, jednak dłoń przesuwana po murze nie natrafiła na żadną chropowatość.

Kamienie pokryto czymś niewidzialnym, co wypełniało i wyrównywało rysy i zagłębienia. Czymś nie do wykrycia.

Prawie niematerialnym.

Lewis wyprostował się i spojrział na zegarek. Zostało mu tylko dziesięć minut. Musiał się zbierać.

Schodził ze wzniesienia w kierunku gęstwiny dawnego sadu. Na skraju zatrzymał się i obejrzał. Dom nie był już budynkiem – nabrał osobowości, szyderczego wyrazu, bulgotał złośliwym rechotem.

Lewis z pochyloną głową wszedł w gąszcz sadu i zaczął przedzierać się pomiędzy drzewami. Nikt nie wydeptał tu ścieżki, pod drzewami rosła wybujała trawa i chwasty. Ominął zwisające gałęzie i okrążył drzewo zwalone przed laty w czasie burzy.

Po drodze zrywał jabłka – nie wyrosnięte i kwaśne – nadgryzał je i zaraz wyrzucał. Żadne nie nadawało się do jedzenia, jak gdyby soki z nie uprawianej gleby przydały im goryczy.

W głębi sadu natrafił na płot, który otaczał jakieś groby. Trawa i chwasty nie rosły tu wysoko, a ogrodzenie nosiło ślady niedawnej naprawy. Naprzeciw trzech nie obrobionych głazów z wapienia, u stóp każdego grobu, rósł krzak peonii. Gęsto rozrosnięte krzewy od lat były nie dogładane. Lewis stał przy zbutwiałych sztachetach ogrodzenia i wiedział już, że natrafił na rodzinny cmentarz Wallace'ów. Powinny tu być tylko dwa nagrobki. A trzeci?

Zbliżył się do przekrzywionej furtki i wszedł przez nią. Stał przy jednym z grobów i przeczytał napisy na kamieniach. Wryto je niezręcznie; z pewnością były dziełem niewprawnych rąk. Nie umieszczono na kamieniach żadnych pobożnych sentencji, linijki wiersza ani aniołów, baranków czy innych symboli tak modnych w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Tylko nazwiska i daty.

Na pierwszym kamieniu: Amanda Wallace 1821-1863.

Na drugim: Jedediasz Wallace 1816-1866.
A na trzecim...



– Niech pan mi da ten ołówek – poprosił Lewis.

Hardwicke przestał toczyć ołówek w dłoniach i podał go ponad biurkiem.

– Kartkę też? – spytał.

– Proszę – mruknął Lewis. Pochylił się nad biurkiem i szybko coś narysował.

– Oto on – rzekł, podając kartkę.

Hardwicke zmarszczył brwi.

– Ależ to nie ma sensu – powiedział. – Oprócz tego znaku pod spodem.

– Leżąca ósemka. Tak, wiem. Symbol nieskończoności.

– A reszta?

– Nie mam pojęcia – odrzekł Lewis. – To napis na nagrobku. Skopiowałem go.

– I teraz go pan zna na pamięć.

– Nic dziwnego. Długo nad tym myślałem.

– W życiu nie widziałem czegoś podobnego – stwierdził Hardwicke. – Nie jestem autorytetem. Naprawdę nie orientuję się w tej mierze.

Nie musi się pan wysilać. Nikt nie ma zielonego pojęcia, co to jest. W najmniejszym stopniu nie przypomina to żadnego języka. Pytałem fachowców. Nie jednego, kilkunastu. Powiedziałem im, że to było wykute w skale urwiska. Jestem pewien, że większość z nich wzięła mnie za wariata. Jednego z tych, którzy chcą dowieść, że Rzymianie, Fenicjanie czy Irlandczycy zakładali

przed przybyciem Kolumba osady w Ameryce. Hardwicke położył kartkę na biurku.

– Rozumiem teraz, co miał pan na myśli, mówiąc, że wie pan mniej niż na początku. Nie chodzi tylko o młodego człowieka, który ma ponad sto lat; doszła jeszcze sprawa śliskiego domu i trzeciego nagrobka z napisem nie do rozszyfrowania.

Twierdzi pan, że nie rozmawiał z Wallace'em?

– Nikt z nim nie rozmawia. Prócz listonosza. Wallace chodzi codziennie na spacer i zawsze nosi ze sobą karabin.

– Ludzie boją się z nim rozmawiać?

– Dlatego że nosi broń? To miał pan na myśli?

– No... tak. Chyba tak. Zastanawiam się, dlaczego on chodzi z bronią.

Lewis potrząsnął głową.

– Nie wiem. Próbowałem to jakoś połączyć, znaleźć powód.

O ile mi wiadomo, nigdy nie wystrzelił z tego karabinu. Nie sądzę, by ludzie nie chcieli z nim rozmawiać z powodu broni. On jest anachronizmem, przeżytkiem. Nikt się go nie boi, jestem pewien. Za długo tam jest, żeby móc kogoś wystraszyć. Jest dobrze znaną postacią, wrosniętą w krajobraz jak drzewo czy kamień. Wszyscy jednak trochę krępują się jego obecnością. Myślę, że większość tamtejszych ludzi nie miałaby ochoty spotkać się z nim twarzą w twarz. Jest inny niż oni, wydaje im się jednocześnie kimś stojącym ponad nimi i po prostu nikim. Zupełnie jakby ten człowiek porzucił własne człowieczeństwo. Sądzę, że wielu jego sąsiadów skrycie się go wstydzi, bo w jakiś sposób – być może niegodziwy – ominął jeden z przykrych obowiązków, ale zarazem prawo całej ludzkości: starość. Pewnie ów skrywany wstyd tłumaczy ich niechęć do rozmowy z Wallace'em.

– Długo pan go śledził?

Przez pewien czas. Ale teraz mam tam swoich ludzi. Zmieniają się regularnie. Śledzimy Wallace’a z dwudziestu miejsc. Nie ma dnia, godziny, by jego dom nie był pod obserwacją.

– Ta sprawa rzeczywiście was pochłonęła.

– Chyba nie na darmo – rzekł Lewis. – Jest coś jeszcze. – Schylił się i podniósł teczkę stojącą przy krześle. Otworzył ją i wyjął plik zdjęć, które podał Hardwicke’owi. – Co pan o tym sądzi? – spytał.

Hardwicke wziął zdjęcia. Nagle zamarł. Krew odpłynęła mu z twarzy. Ręce drżały mu, gdy odkładał zdjęcia na biurko. Widział tylko jedną fotografię, tę na wierzchu; nawet nie spojrzał na pozostałe.

Lewis dostrzegł jego pytające spojrzenie.

– W grobie – rzekł. – W tym z dziwnym napisem.



Przekaznik wiadomości zagwizdał przeraźliwie. Enoch Wallace odłożył księgę, w której pisał, i wstał z biurka. Podeszedł do urządzenia. Nacisnął przycisk, włożył klucz i gwizdanie ustało. Maszyna zaczęła buczeć, a na płytce pojawiła się wiadomość – z początku prawie niewidoczna, powoli ciemniała, wreszcie całkiem wyraźnie można było odczytać:

NR 406301 DO STACJI 18327. PODRÓŻNY 16097.38.
POCHODZENIE THUBAN VI. BEZ BAGAŻU. POJEMNIK CIECZY NR 3.
ROZTWÓR 27. ODJAZD DO STACJI 12892 CZAS 16439.16.
POTWIERDZIĆ.

Enoch popatrzył na wielki chronometr galaktyczny, wiszący na ścianie. Pozostały mu prawie trzy godziny. Nacisnął przycisk i z boku urządzenia wysunęła się cienka blaszka z zapisem wiadomości. Pod spodem jej kopia została włączona do rejestrów. Z przekaznika wydobył się chichot – i płytka, znów czysta, czekała na wiadomość.

Enoch wyjął blaszkę, dziurkaczem do akt zrobił w niej dwa otwory i opuścił dłonie na pulpit. Wystukał: NR 406301 PRZYJĘTE. POTWIERDZENIE WKRÓTCE. Tekst ukazał się na płytce i Enoch go tak zostawił.

„Thuban VI? Czy ktoś stamtąd już tutaj był?” – zastanawiał się Enoch. Gdy tylko wypełni swoje obowiązki, zaraz pójdzie sprawdzić w rejestrach. Miał być pojemnik cieczy, a ci, którzy ich

potrzebowali, byli z reguły najbardziej nieciekawi. Zwykle niełatwo było nawiązać z nimi rozmowę, gdyż najczęściej posługiwali się zbyt trudnym sposobem porozumiewania się. Poza tym procesy myślowe były u nich tak rozproszone, że brak było wspólnych tematów do konwersacji.

„Chociaż... – przypomniał sobie Enoch – bywały wyjątki. Ten podróżny ze zbiornika parę lat temu, z układu Hydry (a może z Hiadesa?)” Enoch przesiedział z nim całą noc i nieomal zapomniał wysłać go na czas w drogę. Przez kilka godzin przędli nic wzajemnego porozumienie (nie używali słów), zderzając się ciałami. Krótki czas, który mieli do dyspozycji, wypełnili tworzeniem poczucia wspólnoty, a może nawet braterstwa. Przybysz (nie wyjaśnili, jakiej był płci) już nie wrócił. „Tak zwykle bywa – pomyślał Enoch. – Niewielu powraca. Zdecydowana większość bywa tu tylko przejazdem.”

Podróżny ten pozostał u niego czarno na białym. Podobnie jak wszyscy błogosławieni, których Enoch opisał. Zapisanie tamtego spotkania zajęło mu prawie cały następny dzień; schylony nad biurkiem notował: wszystkie usłyszane opowieści, migawki z dalekiego, pięknego i zwodniczego świata (zwodniczego, gdyż tak wiele było w nim rzeczy niezrozumiałych), całe ciepło i przyjaźń powstałe między nim a ową bezkształtną, poskręcaną, brzydką istotą z innego świata. Kiedy tylko zechce, każdego dnia może zdjąć dziennik z półki i przeżyć tę noc jeszcze raz. Jednak nigdy tego nie uczynił. „Dziwne – pomyślał. – Po prostu nie ma na to czasu.” Nie mógł znaleźć czasu na przerzucenie kartek i przeczytanie choćby części swoich zapisków dokonanych w ciągu lat.

Odwrócił się od przekaźnika i przetoczył pojemnik numer 3 na miejsce pod materializatorem, starannie go ustawił

i przymocował. Przyciągnął wąż, a następnie wcisnął liczbę 27 na selektorze. Napełnił zbiornik i puścił rurę; wąż wrócił na swoje miejsce w ścianie. Podszedł do przekaźnika, skasował zapis na płytce i wysłał potwierdzenie, że wszystko przygotowane do przyjęcia podróznego z Thubana. Otrzymał potwierdzenie z drugiego końca; ustawił urządzenie na zero, gotowe do odbioru.

Ruszył do szafki rejestrów obok biurka i wyjął szufladę pełną fiszek. Znalazł Thubana VI pod datą dwudziesty drugi sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku. Zbliżył się do przeciwległej ściany, zapełnionej od podłogi po sufit rzędami książek i czasopism, i wyjął dziennik. Wrócił do biurka z oprawną księgą w ręku.

Kiedy znalazł zapis, okazało się, że dwudziesty drugi sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku nie był ciężkim dniem; przybył wtedy tylko jeden podrózny, ten z Thubana VI. Sporządzona gęstym, niewyraźnym pismem notatka zajmowała prawie całą stronę, ale tylko jeden akapit poświęcony był gościowi:

Dziś wpadła kropla z Thubana VI. Nie da się określić przybysza innym słowem. Po prostu zlepek materii, masa, która regularnie zmienia kształt: przez chwilę jest okrągła, po czym rozpląszcza się jak naleśnik na dnie pojemnika. Potem kurczy się, wybrzusza, wreszcie powraca do postaci kuli. Zmiany te następują dość powoli i zgodnie z rytmem, który polega jedynie na powtarzalności tych samych sekwencji. Zdaje się, że zmiany nie pozostają w żadnej relacji do czasu. Próbowałem mierzyć odstępy czasowe, lecz nie udało mi się wykryć żadnej prawidłowości. Najkrótszy odstęp potrzebny do dopełnienia cyklu wyniósł siedem minut, najdłuższy

zaś osiemnaście. Z pewnością po dłuższej obserwacji można ustalić rytm, lecz ja nie miałem na to czasu. Translator semantyczny niewiele mi pomógł – wyemitował jedynie serię trzasków, jakby istota zaczęła o coś paznokciami, których przecież nie miała. Gdy sprawdziłem to w podręczniku pasimologii, stało się dla mnie jasne, co istota chciała mi powiedzieć: »Jest mi dobrze, nie potrzebuję opieki, proszę mnie tak zostawić«. Co też uczyniłem».

Na końcu akapitu, ścieśniona na niewielkiej przestrzeni, widniała notka:

„Patrz 16 paźdz. 1931”.

Enoch przewrócił kilka stron, aż znalazł szesnasty października. Był to jeden z tych dni, kiedy Ulisses przeprowadzał inspekcję stacji.

Oczywiście nie nazywał się Ulisses. Właściwie to w ogóle się nie nazywał. Wśród swoich nie potrzebował imienia. Istniały tam inne sposoby identyfikacji, wyrażające o wiele więcej niż zwykłe imię. Ale tamtejsza terminologia była zupełnie nie do przyjęcia dla ludzi.

– Będę nazywał cię Ulisses – zdecydował Enoch przy pierwszym ich spotkaniu. – Muszę cię jakoś nazwać.

– Niech tak będzie – odparł obcy (już właściwie nie obcy). – Czy wolno spytać, dlaczego właśnie Ulisses?

– To imię wielkiego przedstawiciela rodzaju ludzkiego.

– Cieszę się, że je wybrałeś – powiedział nowo ochrzczony.

– Brzmi godnie i szlachetnie, z dumą będę je nosił. A ty zostaniesz dla mnie Enochem. Przepracujemy wspólnie wiele

twoich lat.

„Sporo czasu upłynęło – rozmyślał Enoch nad księgą otwartą na październikowej notatce sprzed ponad trzydziestu lat. – Lata owocne i bogate w doświadczenia, widać to dopiero, gdy ma się przed oczami wszystkie zapisy. Dalej tak będzie. Minie o wiele więcej lat niż do tej pory, stulecia, może tysiąclecia. A pod koniec tego tysiąca – ile będę wówczas wiedział?

Właściwie wiedza nie jest najważniejsza. Teraz, gdy zaistniała ingerencja, może już nikt nie wpadnie przejazdem. Ktoś podgląda. Co najmniej jeden wścibski. Pewnie wkrótce spróbuje się wtrącić.”

Enoch nie miał pojęcia, co wtedy zrobi, jak w razie czego zażegna niebezpieczeństwo. To musiało nastąpić prędzej czy później. Był jednak na to przygotowany. Przez wszystkie lata zastanawiał się, dlaczego do tej pory nic się nie zdarzyło. O niebezpieczeństwie powiedział Ulissesowi od razu, przy pierwszym spotkaniu. Siedział wtedy na stopniach ganku. Pamiętał wszystko tak dokładnie, jakby wydarzyło się to zaledwie wczoraj.



Siedział na schodkach późnym popołudniem. Obserwował, jak wielkie białe chmury zbierają się nad wzgórzami Iowy za rzeką, zapowiadając burzę. Dzień był upalny i duszny, nieruchome powietrze tamowało oddech. Na podwórzu kilka wymiętoszonych kur apatycznie grzebało z przyzwyczajenia w ziemi, raczej bez nadziei na znalezienie choćby jednego ziarnka. Furkot wróbli, które uwijały się pomiędzy stodołą a żywopłotem z wiciokrzewu, brzmiał sucho i szorstko, jakby upał usztywniał ptakom skrzydła.

Siedział tak, gapiąc się na chmury, podczas gdy robota czekała: nie zaorana kukurydza, nie zebrane siano, pszenica nie zżęta i nie ustawiona w snopki.

Bez względu na to, co może się stać, człowiek ma życie przed sobą – dni, które trzeba przeżyć jak najlepiej. „Ostatnie lata były dla mnie lekcją – rozmyślał Enoch. – Ale wojna to co innego niż życie tutaj. Na wojnie wiadomo, czego się spodziewać, człowiek jest przygotowany na wszystko; lecz wojna się skończyła.” Wrócił tam, gdzie panował pokój. A w czasach pokoju człowiek ma prawo czuć się odgradzony od potworności przemocy. Został sam, jak nigdy przedtem. „Jeśli mam zacząć coś od początku – to właśnie teraz” – pomyślał. Każdy początek – bez względu na miejsce – zawsze jest jednak naznaczony goryczą udręki.

Siedział na schodkach z dłońmi wspartymi na kolanach, obserwując coraz gęstsze chmury, zbierające się na zachodzie. Zanosilo się na deszcz, ziemia potrzebowała wody, ale też deszcz

mógł przejść bokiem, bo ponad dolinami zlewiska rzeki wiatry zmieniały kierunek i nie można było w żaden sposób przewidzieć, dokąd ostatecznie popłyną chmury.

Nie widział wędrowca, dopóki ten nie pojawił się w bramie. Przybysz był wysokiego wzrostu i dlatego poruszał się niezgrabnie. Ubranie miał zakurzone, jakby przebył długą drogę. Wszedł na ścieżkę; Enoch czekał, aż tamten do niego podejdzie.

– Dzień dobry – powiedział wreszcie Enoch. – Gorąco, gdy się tak idzie. Lepiej chwilę odpocząć.

– Z chęcią – odrzekł nieznajomy. – Ale czy nie mógłbym wprawdzie dostać kubek wody?

Enoch wstał.

– Proszę ze mną – powiedział. – Napompuję świeżej. – Poszedł przez podwórze do pompy. Zdjął wiszący na rurze czerpak i podał mężczyźnie. Chwycił za rączkę pompy i poruszył nią kilka razy w górę i w dół. – Niech trochę zleci – rzekł. – Zaraz będzie chłodna.

Woda chlusnęła z wylotu rury i spływała po deskach przykrywających studnię; nową strugą wytryskiwała z każdym ruchem ramion Enocha.

– Myśli pan, że będzie padać? – spytał nieznajomy.

– Tego nikt nie wie – odrzekł Enoch. – Poczekamy, zobaczymy.

Było coś niepokojącego w nieznajomym, ale Enoch nie miał pojęcia co – jakaś ledwo wyczuwalna niezwykłość. Przyjrzał mu się bliżej podczas pompowania i doszedł do wniosku, że to chyba uszy mężczyzny, zbyt ostro zakończone. Lecz gdy spójrzył ponownie, wydały mu się normalne, złożył więc wszystko na karb wyobraźni.

– Woda chyba już zimna – powiedział.

Przybysz podstawił czerpak pod strumień wody i czekał, aż się

napełni. Podał pełen Enochowi, ten zaś potrząsnął głową.

– Ja potem. Na pewno jest pan bardzo spragniony.

Nieznajomy pił łapczywie. Woda spływała mu po brodzie.

– Jeszcze? – spytał Enoch.

– Nie, dziękuję. Ale nabiorę jeszcze jeden dla pana, jeśli pan pozwoli.

Enoch napompował pełny czerpak i wziął go z rąk nieznajomego. Woda była zimna i Enoch, pijąc, dopiero zauważył, jak bardzo był spragniony. Wypił prawie do dna. Powiesił czerpak na miejsce i odezwał się:

– No to teraz możemy usiąść.

Nieznajomy uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze mi to robi – powiedział.

Enoch wyjął z kieszeni czerwoną chustkę i otarł twarz.

– Powietrze ciężkie, jakby zaraz miało padać – stwierdził.

Kiedy ocierał twarz, uświadomił sobie nagle, co zastanowiło go w wyglądzie przybysza. Choć ubranie mężczyzny nosiło ślady wędrówki, a buty były zakurzone po długim marszu, pomimo upału przed burzą nieznajomy w ogóle się nie pocił. Wyglądał tak świeżo i raźnie, jakby przed chwilą odpoczywał pod drzewem na wiosennym wietrze.

Enoch schował chustkę do kieszeni i razem z nieznajomym podszedł do schodków, gdzie usiedli obok siebie.

– Pan z daleka – zagadał Enoch, delikatnie próbując czegoś się dowiedzieć.

– Z bardzo daleka, istotnie – odparł nieznajomy. – Jestem ładny kawał drogi od domu.

– A jeszcze dużo drogi zostało?

– Nie. Zdaje się, że dotarłem na miejsce.

– To znaczy... – Enoch chciał spytać, lecz nie dokończył.

To znaczy tutaj. Żeby usiąść na tych schodach. Szukałem pewnego człowieka i myślę, że go znalazłem. Nie znałem jego nazwiska ani nie wiedziałem, gdzie go szukać, ale byłem pewien, że w końcu go znajdę.

– Ja? – Enoch był zdumiony. – Dlaczego miałby pan szukać właśnie mnie?

– Szukałem człowieka o złożonej osobowości. Na przykład musiał on patrzeć w gwiazdy i rozmyślać, skąd się wzięły.

– Tak – rzekł Enoch. – Ja tak robiłem. Przez wiele nocy na biwakach leżałem owinięty kocem i patrzyłem w niebo, widziałem gwiazdy i zastanawiałem się, czym są i jak się tam znalazły – no i przede wszystkim dlaczego. Słyszałem, jak niektórzy mówili, że każda z nich to takie słońce, ale ja nie znam się na tym. I chyba nikt nie wie o tym zbyt wiele.

– Są tacy, którzy wiedzą bardzo dużo – rzekł nieznajomy.

– Może pan? – powiedział Enoch lekko kpiącym tonem, gdyż przybysz nie wyglądał na takiego, który zbyt dużo wie.

– Tak, ja – odparł mężczyzna. – Są też i tacy, którzy wiedzą więcej ode mnie.

– Czasem się zastanawiam – wyznał Enoch – jeśli gwiazdy to inne słońca, może w takim razie są jeszcze jakieś inne planety i ludzie?

Przypomniał sobie, jak pewnej nocy, będąc na obozie, siedział z kolegami przy ognisku. Gadali sobie dla zabicia czasu. Kiedy wspomniał o tym, że być może inni ludzie żyją na planetach wirujących wokół innych słońc, chłopaki tak go wyśmiali i tak szydzili z niego przez kilka następnych dni, że już nigdy o tym nie wspomniał. W gruncie rzeczy to nie było nic ważnego. Sam właściwie nie bardzo wierzył w to, co mówił. Ot, rozmyślenia przy ognisku.

A teraz znów o tym wspomniał obcemu człowiekowi.
Dlaczego?

– Wierzy pan w to?

– Bezpodstawne spekulacje – stwierdził Enoch.

– Nie takie znów bezpodstawne – odrzekł nieznajomy. –
Istnieją inne planety i ich mieszkańcy. Jestem jednym z nich.

– Ale przecież...! – wykrzyknął Enoch, słowa zamarły mu na
ustach.

Twarz nieznajomego pękła i rozpadła się. Wyjrzało spod niej
oblicze, które z pewnością nie było ludzkie. Gdy tylko zsunęła się
człowiecza maska, wielka rozgałęziona błyskawica przebiegła
z trzaskiem niebo i silny grzmot wstrząsnął ziemią. Z daleka
dobiegł szum ulewy przewalającej się wśród *wzgórz*.



„Tak wszystko się zaczęło – rozmyślał Enoch. – Prawie sto lat temu. Wymysł, fantazja przy ognisku okazała się faktem, a Ziemia figuruje teraz na galaktycznych mapach jako stacja tranzytowa, służąca wielu międzygwiazdowym podróżnym. Kiedyś byli obcymi, teraz nie ma już obcych. Nie istnieje takie pojęcie. W każdej postaci, bez względu na powołanie, wszyscy są ludźmi.”

Spojrzał na zapis z szesnastego października tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego roku, przebiegł wzrokiem tekst. Pod koniec było zdanie:

Ulisses mówi, że Thubańczycy z planety VI są chyba najlepszymi matematykami w całej Galaktyce. Wygląda na to, że opracowali system numeryczny, który jest lepszy od wszystkich dotychczas znanych, niezwykle pomocny w statystyce.

Zamknął księgę i siedział w ciszy na fotelu, zastanawiając się, czy statystycy z Mizara X znają system z Thubana.

„Może i znają – pomyślał. – Stosowana przez nich matematyka jest niekonwencjonalna, przynajmniej w pewnej części.”

Przesunął księgę zapisów na brzeg biurka, po czym zaczął grzebać w szufladzie. Wyjął wykres, rozłożył go na blacie i zamyślił się.

„Gdyby tak mieć pewność” – myślał. Gdyby lepiej znał statystykę z Mizara... Przez ostatnie dziesięć, albo i więcej lat

pracował nad tym wykresem, po kilka razy sprawdzając czynniki, które mogłyby świadczyć na niekorzyść systemu mizarjańskiego. Raz po raz analizował dane, by przekonać się, czy użył ich właściwie.

Podniósł pięść i uderzył w biurko. Gdyby tak mieć pewność. Gdyby tylko mógł z kimś porozmawiać. Ale przecież całkiem zaprzestał rozmów, bo odsłaniały jedynie nagość rodzaju ludzkiego.

Wciąż był człowiekiem. To śmieszne – pomyślał. Pozostał istotą ludzką; po stu latach kontaktów z przybyszami z wielu gwiazd nie przestał być człowiekiem.

Pod wieloma względami żył w zupełnym odosobnieniu. Jedynym człowiekiem, z którym rozmawiał, był stary Winslowe Grant. Sąsiedzi od niego stronili; poza Grantem i sąsiadami nie widywał nikogo – nie licząc tych, którzy go obserwowali. Ale tych spotykał rzadko – częściej miejsca, gdzie się ukrywali.

Tylko stary Winslowe Grant, no i Mary, i ludzie-cienie, którzy czasem wpadali, by dzielić z nim długie samotne godziny. Tyle miał na ziemi: starego Winslowe'a, ludzi-cienie, ziemię wokół domu, ale już nie sam dom, teraz obcy. Zamknął oczy, by przypomnieć sobie, jak wyglądał dom w dawnych czasach. W miejscu, gdzie siedział, była kiedyś kuchnia z żelazną płytą, czarną i okopconą, która pokazywała ogniste zęby przez szparę nad paleniskiem. Przy ścianie stał stół. Jadali przy nim we troje. Pamiętał wciąż, jak wyglądał: flaszka na ocet, łyżeczki w szklance, obrotowa podstawka na sos chrzanowy, musztardę i chili – wszystko w zwartej grupce na samym środku. Stół nakryty obrusem w czerwonej kratę.

Pewnej zimowej nocy – miał wtedy trzy lub cztery lata – matka krzątała się przy kuchni, przygotowując kolację. Siedział na

podłodze, na środku, i bawił się klockami. Słyszał stłumione wycie wiatru buszującego na poddaszu. Ojciec wrócił z obory z udoju. Gdy wchodził, wpadł za nim do środka powiew wiatru i kłęb śnieży. Ojciec zamknął drzwi i wiatr ze śniegiem znikły, wypędzone za próg, skazane na ciemność nocy. Postawił skopek z mlekiem na zlewie i w tym momencie Enoch zauważył, że ojciec ma brodę i brwi przyprószone śniegiem, szron na wąsach dookoła ust. Enoch zachował w pamięci ten obraz: ich troje jak postacie historyczne w muzealnej gablocie – ojciec z oszronionymi wąsami, w wielkich wołokowych butach do kolan, matka z twarzą zarumienioną od kuchni, w koronkowym czepku na głowie, i on sam – na podłodze wśród klocków.

Zapamiętał coś jeszcze. Może nawet bardziej zapadło mu to w pamięć niż pozostałe rzeczy. Na stole stała duża lampa, a za nią na ścianie wisiał kalendarz z obrazkiem, wyraźnie oświetlony. Na obrazku był święty Mikołaj jadący saniami drogą przez las. Świętego Mikołaja witał leśny ludek. Nad drzewami jaśniał wielki księżyc, ziemię pokrywała pierzyna śniegu. Para zajęcy przysiadła, by w zachwycie spoglądać na świętego Mikołaja; obok zajęcy stał jelen, trochę dalej siedział szop z ogonem owiniętym wokół łapek, a wysoko na gałęzi obok siebie – wiewiórka i sikorka. Stary Mikołaj wysoko uniósł bat w pozdrowieniu. Miał czerwone policzki i uśmiechał się wesoło. Renifery zaprzężone do sań tryskały radością. Święty Mikołaj z połowy dziewiętnastego wieku pędzi tak latami przez ośnieżone dróżki czasu, z batem uniesionym na powitanie leśnych stworzeń, a razem z nim złote światło lampy wciąż jaśniejące na ścianie i kraciastym obrusie.

Nie było już kuchni ani pokoju dziecinnego ze staromodną sofą i fotelem bujanym, eleganckiego salonu z przepychem

brokatów i jedwabiu ani sypialni gościnnej na parterze i pokoi domowników na piętrze.

Wszystko przepadło. Zostało tylko jedno pomieszczenie. Rozebrano strop oddzielający piętro od parteru i wszystkie ścianki działowe. Teraz cały dom był jednym wielkim pokojem. W jednej jego części mieściła się stacja galaktyczna, pozostała część stanowiła przestrzeń mieszkalną zawiadowcy. W kącie stało łóżko i kuchenka, która działała na nieznaną na Ziemi zasadzie, oraz lodówka nieziemskiego pochodzenia. Ściany zastawione były półkami i szafkami z mnóstwem książek i czasopism.

Tylko jedno zostało z dawnych dni, czego Enoch nie pozwolił ruszyć obcym fachowcom, zakładającym stację: masywny stary kominek z cegły i miejscowego kamienia z dawnego salonu. Nadal trwał – jedyne wspomnienie minionych lat, ostatnia ziemską pozostałość, z dębowym gzymsem, który ojciec Enocha wyciosał berdyszem z potężnej kłody, a następnie wygładził gładzikiem i strugiem. Gzys kominka, stół i jedna z półek były zastawione przedmiotami nieziemskiego pochodzenia – niektóre nie miały nawet ziemskich nazw – od dawna kolekcjonowanymi darami od życzliwych podróżnych. Część z nich miała jakieś praktyczne przeznaczenie, inne były dziełami sztuki, a jeszcze inne nie służyły niczemu. Wiele z tych przedmiotów działało na nie znanych Enochowi zasadach. Enoch przyjmował podarunki, z zakłopotaniem dziękując życzliwym ofiarodawcom. Po drugiej stronie pomieszczenia stała skomplikowana maszyna, sięgająca aż pod sam dach. Przenosiła ona pasażerów w przestrzeń międzygwiazdną.

„Oberża – pomyślał Enoch. – Zajazd na galaktycznym skrzyżowaniu dróg.”

Zrolował wykres i włożył do szuflady. Księgę zapisów odstawił na miejsce obok innych ksiąg na półce. Spojrzał na zegar galaktyczny: czas na przechadzkę. Przysunął fotel do biurka i włożył kurtkę zdjętą z oparcia. Podszedł po zawieszony na ścianie karabin i zwrócony twarzą do ściany, wypowiedział formułę. Ściana rozsunęła się bezszelestnie. Wkroczył do małej, skąpo umeblowanej przybudówki. Za jego plecami ściana wróciła na miejsce i nic nie zdradzało jej szczególnych właściwości. Wyszedł wprost na piękny dzień późnego lata.

„Za kilka tygodni – pomyślał - pojawią się pierwsze zwiastuny jesieni, a w powietrzu zapanuje chłód.”

Zakwitły pierwsze forsycje, a wczoraj zauważył, że niektóre astry na grządce pod wiekowym płotem nabierały barw. Skręcił za róg domu i skierował się nad rzekę, krocząc po polu zarosłym leszczyną i gdzieniegdzie kępami drzew.

„Oto Ziemia – rozmyślał. – Planeta stworzona dla Człowieka. Ale nie tylko dla Człowieka, również dla lisa, sowy i łasicy, dla węża, konika polnego, ryb – dla życia, dla istnień, od których roi się w powietrzu, na lądzie i w wodzie. I nie tylko dla istot ziemskich – również dla istot zamieszkujących inne planety, ojczyście planety, które, choć oddalone o wiele lat świetlnych, są do Ziemi podobne. Dla Ulissesa, Mglistych i innych. Gdyby zechcieli, mogliby w razie potrzeby zamieszkać na tej planecie bez trudu. Tyle przestrzeni w naszych horyzontach, a tak mało widzimy. Nawet teraz, gdy ogniste rakiety wzbijają się z przylądka Canaveral, by zerwać prastare więzy, marzenia nasze są tak ubogie.”

Czuł ból, narastający ból; tak bardzo pragnął przekazać całej ludzkości wszystko, czego się nauczył. Nie chodziło mu o szczegóły – choć mogłyby wiele dać ludzkości – lecz o sprawy

ogólniejsze: podstawowy fakt, że we wszechświecie żyją istoty inteligentne, że Człowiek nie jest sam i jeśli tylko się postara, już nigdy nie będzie samotny.

Schodził polem obok kępy drzew, a następnie wspiął się na ogromny skalny występ, wieńczący ścianę urwiska nad rzeką. Stał na szczycie, jak tysiące razy przedtem, i spoglądał na wodę, której srebrzysto-błękitny majestat sunął wzdłuż zalesionej równiny.

– Prastara wodo – powiedział cicho – ty wszystko widziałaś. Niebotyczne czoła lodowców nadciągnęły, by trwać, potem odchodziły powoli, niechętnie, centymetr po centymetrze w stronę bieguna. Niosły ze sobą wodę topniejących lodów, która zalała dolinę powodzią, jaka dziś się nie zdarza. Widziałaś mamuty, szablozębe tygrysy i bobry wielkości niedźwiedzia, jak przemierzały wiekowe wzgórza nocą rozbrzmiewającą rykiem i tupotem. Ludzie w małych, cichych gromadkach przemykali przez puszcze, wspinali się na skały i wiosłowali na twej powierzchni. Znaczący lasów i wody: słabi ciałem, lecz silni dążeniami i wytrwali jak żadne stworzenia. Całkiem niedawno widziałaś nowe plemię ludzi: głowy wypełniały im marzenia, ręce niosły okrucieństwo, a w sercach mieli zatrważającą pewność siebie i jeszcze większą determinację w parciu do celu. A na długo przed nimi – bo przecież to kraina z długą historią, choć nie ma na to zbyt wiele dowodów – widziałaś inne formy życia, zmiany klimatyczne i przekształcenia skorupy ziemskiej. I co o tym myślisz? – zwrócił się do rzeki z pytaniem. – Ty pamiętasz wszystko. Znasz czas, powinnaś znać też i odpowiedź, przynajmniej częściową.

Tak jak Człowiek miałby odpowiedzi na wiele pytań, gdyby żył kilka milionów lat. Po kilku milionach lat od tego letniego

poranka – jeśli by wcięż tu był – znalazłby odpowiedzi.

„Ja mógłbym dopomóc – pomyślał Enoch. – Nie podam gotowych odpowiedzi, lecz ułatwię Człowiekowi dotarcie do nich. Mogę dać mu wiarę, nadzieję i wskazać cel dążeń, jakiego nie znał dotychczas.”

Zdawał sobie jednak sprawę, że nie odważy się uczynić tego. Obserwował leniwy lot sokoła daleko w dole, kołującego nad szerokim gościńcem rzeki. Powietrze było tak przejrzyste, że gdyby Enoch natężył wzrok, dostrzegłby każde pióro w rozpostartych skrzydłach.

Okolica była wprost bajecznie piękna. Przystwór, krystalicznie czyste powietrze i wrażenie oderwania, wyzwalające wielkość ducha. Jak gdyby miejsce, w którym Enoch się znajdował, było jego przystanią, przystanią, której poszukuje każdy człowiek, a jeśli już ją znajdzie – może uważać, że ma szczęście, bo wielu szuka i nie znajduje. Co gorsza, są też tacy, którzy nigdy nie podejmują poszukiwań.

Stał na skale i spoglądał na rzekę, leniwy lot sokoła i zielony dywan lasów. Jego myśli poszybowały wyżej, do innych światów, aż zakręciło mu się w głowie. Wtedy pomyślał: ojczyzna. Wolno odwrócił się i zszedł skalną drogą. Wędrował wśród drzew po latami wydeptywanej ścieżce.

Schodząc ze wzgórza, postanowił przy okazji spojrzeć na kępkę różowych storczyków, zobaczyć, jak się mają, spróbować wyczarować ich piękno, które znów objawi się w czerwcu. Rozmyślił się jednak; rosły dobrze ukryte w ustronnym zakątku, więc nic nie mogło im się stać. Był czas, sto lat temu, że kwitły na każdym wzgórzu, i Enoch wracał do domu z ogromnym naręczem kwiatów. Matka wstawiała je do wielkiego brązowego dzbana i przez dzień lub dwa ich silny, odurzający zapach

wypełniał cały dom. Teraz trudno było je spotkać. Zostały wyniszczone przez bydło wydeptujące pastwiska i przez zbieraczy amatorów. Przyrzekł sobie, że odwiedzi je, jeszcze przed nastaniem mrozów, by się upewnić, czy przetrwają do wiosny.

Stanął na chwilę i odprowadził wzrokiem wiewiórkę dokazującą w gałęziach dębu. Potem przykucnął nad ślimakiem, który pełzł w poprzek ścieżki. Zatrzymał się też pod wielkim drzewem i patrzył na łatki mchu obrastające pień. Wykrył ptaka śpiewaka, który cicho przemknął z jednego drzewa na drugie.

Poszedł ścieżką na skraj lasu, następnie wzdłuż pola, aż znalazł się przy strumieniu wypływającym z pluskiem ze zbocza.

Przy strumieniu siedziała dziewczyna. Rozpoznał Lucy Fisher, głuchoniemą córkę Hanka Fishera mieszkającego w dole rzeki. Przystanął i patrzył; tyle było w niej wdzięku i piękna, naturalnego czaru właściwego istotom samotnym i o prostej duszy.

Siedziała, trzymając uniesioną rękę; na koniuszkach jej długich i wrażliwych palców coś mieniło się kolorami. Głowę miała podniesioną wysoko; postawa jej wyrażała czujność i skupienie.

Enoch podszedł do dziewczyny powoli i zatrzymał się o krok za nią. Teraz już widział, że na jej palcach siedzi kolorowy motyl, jeden z tych czerwono-złoty, które pojawiały się w końcu lata. Motyl miał jedno skrzydełko uniesione i wyprostowane, drugie zaś – pogięte i opuszczone; straciło ono nieco pyłku przydającego blasku kolorom. Nieznacznie poruszał zdrowym skrzydełkiem dla utrzymania równowagi. Enoch pomylił się, sądząc, że drugie skrzydło było chore. Tylko zgięło się trochę i pogmiotło. Teraz powoli się prostowało, a pyłek (jeśli go w ogóle ubyło) znów lśnił

kolorami. Motyl złożył oba skrzydełka.

Enoch podszedł do dziewczyny, tak by mogła go widzieć. Nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Wydawało mu się to naturalne: musiała być przyzwyczajona do tego, że ktoś nagle pojawiał się przed nią. Jej oczy błyszczały, a na twarzy malował się wyraz uduchowienia, jakby doświadczała przeżycia mistycznego. Za każdym razem, gdy Enoch ją spotykał, zastanawiał się nad jej życiem w świecie absolutnej ciszy, życiem bez możliwości porozumiewania się. Może nie całkiem bez takiej możliwości, była jednak odgradzona od swobodnego przepływu informacji, do którego od urodzenia mają prawo wszyscy ludzie.

Enoch wiedział, że kilkakrotnie próbowano umieścić ją w stanowej szkole dla niesłyszących, lecz za każdym razem kończyło się to niepowodzeniem. Raz uciekła i ładnych kilka dni błąkała się, zanim ją odnaleziono i odstawiono do domu. W pozostałych przypadkach nie podporządkowywała się dyscyplinie, nie chciała brać udziału w żadnych zajęciach.

Gdy tak ją obserwował siedzącą z motylem na dłoni, pomyślał, że zna przyczynę. Ona miała swój świat, do którego przywykła i w którym czuła się dobrze. W tym świecie nie była kaleką. Gdyby dała się wtłoczyć, choć częściowo, w świat normalnych ludzi, z pewnością by się kaleką stała. Cóż dałby jej alfabet gestów czy umiejętność czytania z ruchu warg, jeśli miała przez to stracić swą dziwną wewnętrzną pogodę ducha?

Żyła pośród wzgórz i lasów, w jakiś niepojęty sposób stanowiła ich część. Zamieszkiwała samotnie zapomniany zakątek natury. Zajmowała miejsce, które Człowiek dawno opuścił - jeśli je w ogóle kiedykolwiek zajmował.

Siedziała z czerwono-złotym motylem na palcu, pełna czujności i oczekiwania. Jej twarz jaśniała radością. „Promieniuje

radością życia – pomyślał Enoch – jak żadna inna istota.”

Motyl rozpostarł skrzydła i odfrunął. Leciał, trzepocząc beztrudnie, nad dziką trawą i forsycjami na zarosłym polu.

Dziewczyna obróciła głowę i patrzyła za nim, aż zniknął u szczytu wzniesienia. Potem spojrzała na Enocha. Uśmiechnęła się, zamachała rękami, naśladując trzepotanie czerwono-złotych skrzydełek, ale chyba chciała przekazać coś więcej – uczucie zadowolenia i szczęścia, jakby mówiła, że świat jest wspaniały.

„Gdybym tylko mógł nauczyć ją pasimologii, stosowanej przez moich galaktycznych braci – pomyślał Enoch. – Moglibyśmy rozmawiać we dwoje prawie tak samo, jak w ludzkim języku słów. Gdybym miał czas, nie byłoby to zbyt trudne.”

Galaktycznemu językowi znaków towarzyszył naturalny, logiczny proces, dzięki któremu posługiwanie się nim było niemal instynktowne, gdy tylko opanowało się podstawowe zasady. Dawno, dawno temu na całej ziemi używano kodu gestów. Najbardziej rozwinięty był język rdzennych ludów Ameryki Północnej. Indianie amerykańscy potrafili porozumiewać się z wieloma innymi plemionami bez względu na ich język. Jednak indiański kod gestów był co najwyżej protezą pozwalającą kuśtykać, skoro nie można biec. Natomiast język galaktyczny stanowił system porozumiewania się przystosowany do wielu rozmaitych środków i metod ekspresji. Rozwijał się przez tysiąclecia, a do opracowania go przyczynili się przedstawiciele różnych światów. Potem przez wieki wygładzano go, czyszczono, polerowano, by mógł stać się nieocenionym, wysokiej klasy narzędziem komunikacji.

Takie narzędzie było niezbędne, ponieważ Galaktyka przypominała istną wieżę Babel. Nawet galaktyczna wiedza o pasimologii, dopracowana w najdrobniejszych szczegółach, nie

była w stanie pokonać wszystkich przeszkód; w niektórych przypadkach wręcz nie gwarantowała niezbędnego minimum porozumienia. Istniały miliony różnych języków, lecz nie wszystkie opierały się na systemach dźwięków – pewne rasy były niezdolne do wydawania i odbierania dźwięków. Akustyka nie sprawdzała się również tam, gdzie używano ultradźwięków, niesłyszalnych dla wielu istot. Wykorzystywano, oczywiście, telepatię, ale na jednego telepatę przypadało tysiąc istot organicznie niezdolnych do takiego sposobu komunikowania się. Wiele istot dawało sobie radę wyłącznie za pomocą języka gestów, inne znów używały pisma obrazkowego lub liter – symboli graficznych, niektóre miały „tablice” na ciele, działające na zasadzie reakcji chemicznych. Była też rasa stworzeń niemych, głuchych i pozbawionych wzroku, pochodzących z tajemniczych gwiazd na samym skraju Galaktyki, które używały chyba najbardziej skomplikowanego języka: kodu sygnałów przebiegających ich system nerwowy.

Enoch zajmował się problemem porozumiewania się od prawie stu lat, mimo to czasem nic nie rozumiał, gdy do niego mówiono, choć używał przecież uniwersalnego języka znaków i translatora semantycznego.

Lucy Fisher podniosła stojący obok niej kubek, zrobiony z wygiętego kawałka kory brzozonej. Zanurzyła go w strumieniu i podała Enochowi. Enoch wziął kubek i ukucnął. Naczynie przepuszczało wodę; spływała ona Enochowi na rękę, mocząc mankiety koszuli i kurtki.

Wypił wodę i oddał kubek. Lucy wzięła naczynie w jedną dłoń, drugą pogładziła Enocha po czole opuszkami delikatnych palców, co, być może, traktowała jako udzielenie błogosławieństwa.

Enoch milczał. Dawno przestał mówić do Lucy: zdawał sobie

sprawę, że ruchy ust, wydawanie dźwięków, których nie słyszała, mogło ją krępować.

Wyciągnął za to rękę, przyłożył szeroką dłoń do policzka dziewczyny i pozostał tak dłuższą chwilę – gestem wyraził uczucia. Potem wstał i popatrzył na Lucy z góry – ich spojrzenia spotkały się – wreszcie odwrócił się i odszedł.

Znalazł się na drugim brzegu strumienia. Od skraju lasu podążył ścieżką przez pole aż do skalnego wzgórza. W połowie zbocza obejrzał się i spostrzegł, że Lucy patrzy na niego. Podniósł rękę w geście pożegnania, a dziewczyna odpowiedziała tym samym.

Spotkał ją po raz pierwszy dwanaście, albo i więcej, lat temu, małą postać z bajki, może wówczas dziesięcioletnią, przemierzającą las niby dzikie zwierzątko. Choć często ją widywał, zostali przyjaciółmi dopiero po dłuższym czasie. Buszowała na wzgórzach i w dolinie, jakby to był plac zabaw – dla niej to był plac zabaw. Mijały lata; Enoch obserwował, jak dorastała, często spotykał ją podczas codziennych spacerów. Nawiązała się między nimi nić porozumienia, poczucie bliskości dwojga wygnańców. Wzajemne zrozumienie opierało się jednak na czymś więcej: obydwójce mieli własne światy, dzięki którym widzieli rzeczy niedostępne dla wielu ludzi. Nie próbowali dzielić się ze sobą swoimi światami; sama świadomość ich istnienia wystarczała do budowania trwałej przyjaźni.

Enochowi stanął w pamięci dzień, kiedy natrafił na Lucy w miejscu, gdzie kwitły różowe storczyki. Klęczała i spoglądała na nie. Nie zerwała żadnego kwiatka. Stanął wtedy przy niej, ciesząc się, że tego nie uczyniła. Wiedział już, że im obojgu sprawia większą przyjemność delectowanie się pięknem niż posiadanie rzeczy pięknych.

Wszedł na wzgórze i skręcił w porośniętą trawą drogę, wiodącą do skrzynki pocztowej. Był pewien, że jednak się wtedy nie mylił. Motyl z całą pewnością miał skrzydełko chore, zmięte i wyblakłe z powodu utraty pyłku. Odleciał po chwili ze skrzydełkiem zupełnie zdrowym.



Winslowe Grant był punktualny.

Kiedy Enoch dochodził do skrzynki pocztowej, dostrzegł tumany kurzu, które wzbijały się spod kół starego grata, jadącego szczytem wzgórza.

„Sucho w tym roku – pomyślał, stojąc przy skrzynce. – Mało deszczu, plony na tym ucierpią.”

I tak niewiele upraw było na wzgórzu. Niegdyś wzdłuż całej drogi ciągnęły się nieduże, wygodne farmy z białymi domami i czerwonymi budynkami gospodarczymi. Teraz większość stała opuszczona, domy i budynki nie były ani białe, ani czerwone, tylko szare jak zbutwiałe drewno. Zniszczyła się farba, dachy pozapadały, a ludzie odeszli.

Niedługo miał zjawić się Winslowe; Enoch usiadł i czekał. Listonosz mógł zatrzymać się przy skrzynce Fisherów zaraz za zakrętem, choć Fisherowie zwykle otrzymywali niewiele przesyłek – głównie reklamówki i inne śmiecie wkładane do wszystkich bez wyjątku wiejskich skrzynek pocztowych. Fisherów przesyłki takie nie obchodziły i czasem leżały one po kilka dni. Jedynie dzięki Lucy w ogóle coś dostawali; przeważnie tylko ona pamiętała o odbieraniu poczty.

„Fisherowie naprawdę nie potrafią gospodarzyć i dbać o swoje sprawy – pomyślał Enoch. – Tylko patrzeć, jak dom zawali się na nich.”

Mieli poletko robaczywej kukurydzy, które najczęściej zatapiał wylew rzeki. Zbierali trochę siana z łąki w dole dla paru

wychudzonych koni, kilku zabiedzonych krów i stadka kurcząt. Mieli samochód – starego grata – i bimbrownię, ukrytą gdzieś w dole rzeki. Polowali, łowili, zastawiali sidła i w ogóle niczym się nie wyróżniali. Chociaż, gdyby się tak zastanowić, nie byli złymi sąsiadami. Pilnowali swego nosa i nie wtrącali się do nikogo – z jednym wyjątkiem: od czasu do czasu chodzili (cały ich klan) i rozdawali w sąsiedztwie ulotki i broszury jakiejś tajemniczej sekty fundamentalistów, do której przed laty przystała pani Fisher w Millville na zgromadzeniu religijnym.

Winslowe nie zatrzymał się przy skrzynce Fisherów. Pełnym gazem wziął zakręt w chmurze kurzu. Zahamował rozgrzaną maszynę i wyłączył silnik.

– Niech trochę wystygnie – powiedział.

Stygające pudło trzaskało z przegrzania.

– Uwinąłeś się dzisiaj – stwierdził Enoch.

– Nie miałem dużo poczty – wyjaśnił Winslowe. – Mijałem tylko skrzynki.

Sięgnął do torby na siedzeniu obok i wyjął przewiązany sznurkiem plik – kilka gazet i dwa tygodniki dla Enocha.

– Dużo tego przychodzi – powiedział. – Ale rzadko kiedy jakiś list.

– Nie ma już nikogo, kto by do mnie pisał.

– Ale, ale – rzekł Winslowe. – Tym razem jest list.

Enoch spojrzał z nie ukrywanym zaskoczeniem i zauważył róg koperty wystającej spomiędzy gazet.

– List – powiedział z zadowoleniem Winslowe. – Nie żadne tam reklamy ani interesy.

Enoch wsadził plik pod pachę, obok karabinu.

– Pewnie to nic ważnego – rzekł.

– Może i nie – przyznał listonosz z chytrym błyskiem w oku.

Wyjął z kieszeni fajkę i kapciuch z tytoniem, nabijał powoli. Silnik pod maską dalej trzaskał i stukał. Z bezchmurnego nieba prażyło słońce. Pokryte kurzem zarośla wzdłuż drogi wydzielały cierpki zapach.

– Słyszałem, że facet od żeń-szenia znów tu jest – zagadał Winslowe. – Nie było go trzy – cztery dni.

– Pewno sprzedawał swój sang.

– Gadanie – skrzywił się listonosz. – On wcale nie zbiera sangu. Chodzi mu o coś innego.

– Robi to już szmat czasu – mruknął Enoch.

– Po pierwsze, tego nikt nie kupi, a nawet gdyby, gdzie teraz znajdziesz sang? Parę lat temu, owszem, sprzedawało się – zdaje się, Chińczycy robili z tego leki. Ale teraz nie ma handlu z Chinami. Pamiętam, jak byłem chłopcem, chodziliśmy do lasu po sang. Wcale niełatwo było go znaleźć, nawet wtedy. Ale zawsze trochę się znalazło. – Rozparł się na siedzeniu, pogodnie pykając z fajki. – Coś tu nie pasuje – rzekł.

– Nigdy nie widziałem tego człowieka – powiedział Enoch.

– Skrada się po lasach. Wygrzebuje różne rośliny. Przyszło mi do głowy, że to może jakiś czarownik. Zbiera zioła i warzy eliksiry. Mnóstwo czasu spędza z Fisherami, pije ich gorzałkę.

Teraz niby już się o tym nie słyszy, ale ja tam wierzę w czary.

Tyłu rzeczy nie wyjaśniła nauka. Weźmy tę dziewczynę Fisherów, niemowę – ona zaklina kurzajki.

– Słyszałem - rzekł Enoch.

A nawet więcej – pomyślał. – Potrafi uzdrowić motyla.

Winslowe pochylił się na siedzeniu.

– O mało nie zapomniałem – powiedział. – Mam coś jeszcze.

Podniósł z podłogi paczkę w szarym papierze i wręczył Enochowi. – Nie przyszło pocztą – wyjaśnił. – Sam to zrobiłem,

dla ciebie.

– Tak? Dziękuję – powiedział Enoch, przyjmując podarunek.

– Dalej, odwin – zachęcił Winslowe.

Enoch zawahał się.

– Do diabła, śmiało!

Odwinął papier i zobaczył siebie wyrzeźbionego w drewnie, całą postać. Figurka z jasnego drewna w odcieniu miodu długości trzydziestu centymetrów lśniła w słońcu jak złocisty kryształ. Szedł, z karabinem pod pachą, wiał wiatr, gdyż wędrował lekko pochylony, a na ubraniu tworzyły się fałdy.

Enochowi zaparło dech w piersi; stał i wpatrywał się.

– Wins – powiedział wreszcie. – To najpiękniejsze dzieło rąk, jakie w życiu widziałem.

– Robiłem w tym kawałku, który dałeś mi zeszłej zimy – rzekł listonosz. – Najlepsze drewno do strugania, jakie miałem w ręku. Twarde i bez słoï. Nie pęknie, nie wyszczerbi się, nie rozdwoi. Jak już natniesz, masz nacięcie tam, gdzieś chciał i jak chciał. I błyszczący od razu. Trzeba potem tylko troszkę przetrzeć.

– Nie wyobrażasz sobie, jak wiele to dla mnie *znaczy* – powiedział Enoch.

– Od lat dajesz mi mnóstwo drewna. Różne rodzaje, jakich nikt jeszcze nie widział. Wszystko znakomitej jakości i piękne.

Przyszedł czas, żeby coś dla ciebie wyrzeźbić.

– Ty też dużo dla mnie robisz. Wozisz mi wszystko z miasta.

– Enochu – powiedział Winslowe – lubię cię. Nie wiem, kim jesteś, i nie będę pytał, ale cię lubię.

– Chciałbym móc powiedzieć ci, kim jestem – westchnął Enoch.

– Co tam... – odrzekł Winslowe, przesuwając się na miejsce za kierownicą. – Nieważne, kto jest kim; ważne, że sobie nie przeszkadzamy. Gdyby tak narody brały przykład z naszego

współzycia, świat byłby o niebo lepszy.

Enoch z powagą pokiwał głową.

– Nie wygląda to wszystko najlepiej.

– Niestety – przyznał listonosz, włączając silnik samochodu.

Enoch patrzył, jak maszyna oddala się, wzniecając obłoki kurzu.

Potem znów spojrział na swoją drewnianą podobiznę.

Wydawało się, jakby się pięła po zboczu, bezbronna wobec siły wiatru, przygięta zawieruchą.

Dlaczego? – zastanawiał się. Co takiego widział w nim listonosz, że wyrzeźbił go wędrującego przeciw wiatrowi?



Położył karabin i plik poczty na kępie zakurzonej trawy i starannie zawinął figurkę w papier. Zdecydował, że postawi ją na kominku. Albo lepiej na stoliku do kawy obok ulubionego fotela stojącego w kącie przy biurku. Chciał mieć figurkę pod ręką, by móc sięgnąć po nią w każdej chwili. Dziwił się, że podarunek od listonosza sprawił, iż było mu przyjemnie na sercu.

Wiedział, że powodem nie był głód prezentów. Rzadko kiedy mijał tydzień bez otrzymania jakiegokolwiek podarku od podróżników. Cały dom wypełniony był pamiątkami, a w rozległym podziemiu na jednej ze ścian półki ugięły się pod ciężarem rozmaitych darów.

„Może dlatego – pomyślał – że to podarunek z Ziemi, nie od obcych.”

Zapakowaną figurkę włożył pod pachę, podniósł karabin, plik przesyłek i ruszył do domu ścieżką, która kiedyś była gościńcem wiodącym do jego farmy.

Trawa rosła gęstą darnią między koleinami, głęboko żłobionymi w glinie przez żelazne koła dawnych wozów. Jeszcze teraz goła ziemia ubitego dna kolein opierała się korzeniom roślin. Za to z każdej strony pięły się w głąb pola od skraju lasu kępy zarośli, wybijały na wysokość człowieka, tak że szło się jakby zielonym korytarzem.

W niektórych miejscach, nie wiadomo dlaczego – może za sprawą warunków glebowych albo kaprysu natury – zarośla

przerzedzały się, odsłaniając widok ze szczytu wzgórza na całą dolinę rzeki.

W takim prześwicie Enoch spostrzegł błysk, który dobiegł z kępy drzew na skraju dawnego pola, niedaleko miejsca nad strumieniem, gdzie napotkał Lucy.

Zmarszczył brwi i stanął czekając: może znów błysnie. Ale błysk nie powtórzył się. Enoch wiedział, że to jeden z obserwatorów podgląda stację przez lornetkę. Zaświecił mu w oczy odblask słońca w soczewkach.

„Kim oni są? – zastanawiał się. – I dlaczego podglądają?”

To już trwało od jakiegoś czasu, ale, dziwna rzecz, nic prócz tego się nie działo. Nikt się do Enocha nie zbliżył, a przecież nie byłoby to zbyt trudne. Gdyby chcieli – kimkolwiek byli – porozmawiać z nim, mogliby zaaranżować przypadkowe spotkanie podczas któregoś z jego porannych spacerów.

Chyba jednak nie mieli zamiaru rozmawiać, przynajmniej na razie.

„Czego więc chcą? – myślał Enoch. – Być może pragną mieć mnie na oku. Jeśli tak, poznali przecież mój rozkład dnia w ciągu pierwszych dni obserwacji. A może czekają na coś, dzięki czemu mogliby się dowiedzieć, czym się zajmuję. Jeśli o to chodzi, mogą liczyć jedynie na rozczarowanie. Choćby nawet śledzili mnie przez tysiąc lat, i tak nie dowiedzą się niczego.”

Odwrócił się od prześwitu i ruszył wolno, zakłopotany i zaniepokojony.

„Może szukają ze mną kontaktu z powodu różnych historii, które o mnie krążą. Nikt by mi ich nie powtórzył, nawet Winslowe. Jakie niestworzone rzeczy na mój temat wymyślili sąsiedzi? Ludowe bajdy opowiadane z zapartym tchem przy kominku? Może to i dobrze, że nie znam tych historii, które z całą

pewnością krążą. Dobrze też, że obserwatorzy nie szukają ze mną kontaktu. Dopóki nie zakłócają mi spokoju, jestem względnie bezpieczny. Nie ma pytań – nie ma odpowiedzi.”

Czy jest pan – zapytaliby – tym samym Enochem Wallace’em, który w tysiąc osiemset sześćdziesiątym pierwszym poszedł walczyć za starego Abe’a Lincolna? Była na to jedna odpowiedź – mogła być tylko jedna. Tak – musiałyby przyznać. – Jestem tym samym człowiekiem.

I ze wszystkich zadanych pytań tylko na to jedno odpowiedziałby zgodnie z prawdą. Wszystkie inne musiałyby pominąć milczeniem lub dać na nie wymijającą odpowiedź.

Zapytaliby, dlaczego się nie zmienił. W jaki sposób zachowuje młodość, kiedy cała reszta ludzkości się starzeje. Nie mógłby im powiedzieć, że wewnątrz stacji zatrzymuje się jego czas; proces starzenia trwał dla niego wyłącznie po wyjściu na zewnątrz. Starzał się może o godzinę dziennie podczas porannych spacerów, około godziny w trakcie pracy w ogrodzie i o kwadrans, gdy siedział na schodach, podziwiając zachód słońca. A kiedy tylko wracał do środka, proces starzenia ustawał całkowicie.

Nie mógł im tego powiedzieć. Ani wielu innych rzeczy. Miał świadomość, że jeśli do niego dotrą i zaczną go ścigać pytaniami, będzie musiał uciec, odciąć się od świata i pozostać w odosobnieniu wewnątrz stacji.

Taki obrót sprawy nie utrudniłby mu życia. Mógł korzystać w stacji z wszelkich wygod, nie zabrakłoby mu niczego, miałyby zapewnione życie w zdrowiu i dostatku. Ziemskie jedzenie kupował tylko od czasu do czasu – łaknął pożywienia z własnej planety, zwłaszcza prostych potraw, jakie jadał w dzieciństwie i w dniach walki.

Zresztą, nawet i to mogli mu dostarczać, wykorzystując proces duplikacji. Można było przesłać plaster bekonu czy tuzin jaj do innej stacji i tam je zostawić jako wzorzec układu impulsów – przysyłano by mu wszystko na każde żądanie.

Jednego jednak obcy nie mogli mu zapewnić: kontaktu z ludźmi, który utrzymywał dzięki Winslowe'owi i poczcie. Gdyby zamknął się w stacji, nie mógłby odbierać gazet i czasopism i zostałyby odcięty od świata. Nie wiedziałby, co się dzieje na Ziemi, nie miałby pojęcia, jak wygląda świat za progiem. Ucierpiałby na tym jego wykres, który stałby się bezużyteczny; chociaż nawet teraz był właściwie nieprzydatny, skoro Enoch nie miał pewności, czy poprawnie dobierał czynniki.

Ale przede wszystkim brakowałoby mu tego zakątka, który poznał tak dobrze, zakątka przemierzanego codziennie podczas spacerów. Dzięki spacerom pozostał człowiekiem i Ziemianinem.

Zastanawiał się, jaką rolę odgrywało jego intelektualne i emocjonalne człowieczeństwo, przynależność do rodzaju ludzkiego. Właściwie nie było powodu, by je zachować. Pod wpływem kosmopolitycznej Galaktyki stała identyfikacja z ojczystą planetą mogła wydawać się zaściankowa. Przez swój prowincjonalizm mógł coś stracić. Zdawał sobie jednak sprawę, że odwracanie się plecami od Ziemi nie leżało w jego charakterze. Szczerze ukochał to miejsce – prawdopodobnie kochał je bardziej niż inni ludzie, którzy nie dostrzegali migotania dalekich, nieodgadnionych światów. Człowiek musi do czegoś należeć, musi z czymś się identyfikować i być lojalny. Galaktyka była zbyt wielka, by jakiegokolwiek stworzenie mogło w niej pozostawać nagie i samotne.

Skowronek wyfrunął z kępy trawy i wzbił się wysoko pod

niebo. Na jego widok Enoch stanął i czekał, aż z gardziołka popłyną trele i opadną kroplście z błękitu. Ale nie usłyszał śpiewu, jaki z pewnością usłyszałyby wiosną.

Powędrował dalej drogą; teraz miał już przed sobą stację wznoszącą się na wzgórzu.

„Zabawne – pomyślał. – Powinienem myśleć o tym budynku jako o stacji, nie domu. Dłużej jest stacją niż domem.”

Była w tym budynku jakaś nieprzyzwoita trwałość – jak gdyby dom wrósł w to wzgórze na zawsze.

Oczywiście, będzie istniał, jeśli będzie trzeba, tak długo, jak to będzie konieczne. Nic nie mogło mu zagrozić.

Nawet gdyby pewnego dnia przyszło Enochowi zamknąć się w czterech ścianach, stacja oprze się wszelkiej ludzkiej ciekawości i wścibstwu. Nie można jej było uszkodzić, zrobić w niej dziury ani zburzyć. Nic nie można było zrobić. Śledzenie Enocha, domysły i spekulacje nie przyniosą Człowiekowi nic prócz wiedzy, że na wzgórzu stoi niezwykły dom. Dom, który przetrwa wszystko z wyjątkiem eksplozji termojądrowej – a może przetrwałby i to.

Enoch wszedł na podwórze i rozejrzał się w poszukiwaniu kępy drzew, z której dobiegł go błysk, ale tym razem nic nie dostrzegł.



Wewnątrz stacji przekaźnik wiadomości gwizdał żałośnie. Enoch zawiesił karabin, położył plik poczty i figurkę na biurku i pospieszył w drugi koniec pomieszczenia do urządzenia. Wcisnął guzik, trącił dźwignię i gwizdanie ustało.

Odczytał wiadomość na płytce:

NR 406302 DO STACJI 18327. BĘDĘ WCZESNYM WIECZOREM TWOJEGO CZASU. ZAPARZ KAWĘ. ULISSES.

Enoch uśmiechnął się. Ulisses i jego kawa! Jak dotąd był jedynym obcym, któremu smakował ziemski poczęstunek. Inni, owszem, próbowali – raz lub dwa.

To ciekawe. Polubili się z Ulissem od samego początku, od burzowego popołudnia, kiedy usiedli razem na schodach, a zrzucona ludzka maska odsłoniła twarz obcego.

Przerażające oblicze, odpychające. Twarz okrutnego klauna. „Skąd mi to przyszło do głowy – pomyślał Enoch – przecież klaun nie jest okrutny.”

Lecz miał takiego przed sobą: kolorowa siatka plam na twarzy, twarde, mocno zwarte szczęki, cienka kreska ust. Potem zobaczył oczy i zapomniał o reszcie. Były duże, o miękkim spojrzeniu, błyszczały zrozumieniem. Dosięgły go jak wyciągnięta dłoń przyjaznej istoty.

Deszcz spadł z szumem na pola, bębnił o dach przybudówki, dotarł także do nich; krople wody z zacięciem biły w kurz

podwórka, a zaskoczone zmokłe kurczaki szaleńczo szukały schronienia.

Enoch skoczył na nogi, złapał przybysza za ramię i wciągnął pod daszek ganku.

Stali naprzeciw siebie. Ulisses zdjął resztki maski, odsłaniając okrągłą, bezwłosą głowę i kolorowe oblicze. Twarz Indianina w napadzie szału, noszącego barwy wojenne, i do tego kilka cech klauna, jak gdyby cały ten makijaż miał przedstawiać absurdalną groteskę wojny. Jednak Enoch od razu zauważył, że to nie farba, a naturalne ubarwienie istoty przybyłej z odległych gwiazd.

Mimo zaskoczenia i zdumienia Enoch nie miał żadnych wątpliwości – dziwna istota nie pochodziła z Ziemi. Nie była na pewno człowiekiem. Potrafiła przybrać ludzką postać, z parą rąk i nóg, z głową i twarzą, ale nosiła w sobie jakieś zaprzeczenie człowieczeństwa, coś nieludzkiego.

W dawnych czasach mógł tak wyglądać demon, lecz owe czasy minęły (choć w niektórych częściach kraju jeszcze nie całkiem) ludzie nie wierzyli w demony, duchy czy inne; postacie z upiornego rodu, które według ludzkich wyobrażeń chodziły kiedyś po ziemi.

– Z gwiazd” – powiedział przybysz. I pewnie stamtąd przybył. Choć nie było w tym sensu. To przechodziło wszelkie ludzkie wyobrażenia. Nie wiadomo było czego się trzymać. Brak było jakiegoś odniesienia, punktu oparcia. Pozostawała w myślach luka, która być może miała się z czasem wypełnić, niby tunel wielkiego zdziwienia, ciągnący się w nieskończoność.

– Nie spiesz się – powiedział obcy. – Wiem, że to niełatwe.

I nie potrafię pomóc ci w żaden sposób. W końcu nie ma żadnego dowodu, że istotnie przybywam z gwiazd.

– Ale tak dobrze mówisz...

W twoim języku, chciałeś powiedzieć. Nie sprawił mi większych trudności. Gdybyś znał wszystkie języki galaktyczne, zrozumiałbyś, jak bardzo jest łatwy. Twój język nie jest skomplikowany. Należy do podstawowych pośród wielu sposobów porozumiewania się.

Enoch uznał, że to może być prawda.

– Jeśli chcesz – zaproponował obcy – oddalę się gdzieś na dzień lub dwa. Dam ci czas do namysłu. Potem wrócę. Do tego momentu wszystko przemyślisz.

Enoch uśmiechnął się sztywno; czuł nienaturalność uśmiechu na twarzy.

– Miałbym wtedy czas – powiedział – by wszcząć alarm w całej okolicy. Mogłaby czekać cię zasadzka.

Obcy potrząsnął głową.

– Jestem pewien, że tego nie zrobisz. Zaryzykuję. Jeśli chcesz...

– Nie – rzekł Enoch tak cicho, aż sam się zdziwił. – Nie.

Trzeba wychodzić losowi naprzeciw. Nauczyłem się tego na wojnie.

– Nadajesz się – powiedział obcy. – Świetnie pasujesz. Nie pomyliłem się w ocenie ciebie i jestem z siebie dumny.

– Ocenie?

– Chyba nie myślisz, że znalazłem się tu przypadkiem.

Znam cię, Enochu. Prawie tak dobrze, jak ty sam siebie. Może nawet lepiej.

– Wiesz, jak się nazywam?

– Oczywiście.

– No dobrze – powiedział Enoch. – A jak brzmi twoje imię?

– Ogarnia mnie wielkie zakłopotanie – odrzekł obcy. – Ja nie mam imienia. Znak mojej osoby, owszem, spełniający potrzeby mojej rasy, ale nic takiego, co dałoby się wypowiedzieć.

Nagle, nie wiadomo dlaczego, Enoch przypomniał sobie przygarbioną sylwetkę mężczyzny siedzącego na płocie. Spokojnie strugał on sobie nożykiem kij, podczas gdy nad jego głową świstały kule armatnie, a w odległości trzech kilometrów grały muszkiety.

– Potrzebne ci imię – oświadczył Enoch. – Niech będzie Ulisses. Muszę cię jakoś nazywać.

– Niech tak będzie – powiedział dziwny przybysz. – Ale czy wolno spytać, dlaczego Ulisses?

– Bo to jest imię – odrzekł Enoch – wielkiego przedstawiciela rodzaju ludzkiego.

To był, oczywiście, absurd. Nie istniało żadne podobieństwo między przygarbionym generałem wojsk Północy, który przysiadł na płocie i strugał kij, a tym drugim Ulissem, stojącym na ganku.

– Cieszę się, że je wybrałeś – powiedział Ulisses. – Brzmi godnie i szlachetnie, z dumą będę je nosił. A ty zostaniesz dla mnie Enochem – wszak przyjaciół wołamy po imieniu; przepracujemy wspólnie wiele twoich lat.

Teraz dopiero zaczęło to do Enocha docierać.

„Może i dobrze, że nie pojąłem tego od razu” – pomyślał.

– A może mógłbym – powiedział, walcząc ze świadomością, która zaczynała w nim narastać, narastać zbyt gwałtownie – poczęstować cię czymś. Zaparzę kawy.

– Kawy? – Ulisses cmoknął cienkimi wargami. – Masz kawę?

– Zaraz nastawię. Wbiję jajko, żeby fusy opadły.

– Delicje – ucieszył się Ulisses. – To najlepszy napój ze wszystkich, jakie piłem na odwiedzanych planetach.

Weszli do kuchni. Enoch przerzucił węgle pod płytą pieca kuchennego, a następnie włożył drwa. Zaniósł maszynkę do

kawy do zlewu, nalał do niej wody z wiadra i nastawił do gotowania. Poszedł do spiżarni po jajka, potem zszedł do piwnicy i wrócił z szynką.

Ulisses siedział sztywno na krześle i obserwował krzątanie Enocha.

– Zjesz jajecznicę na szynce? – spytał Enoch.

– Ja jem wszystko – odrzekł Ulisses. – Przystosowujemy się niezwykle łatwo. Właśnie dlatego wysłano mnie na tę planetę jako... jak to nazywacie? Rozglądacz?

– Zwiadowca - sprostował Enoch.

– Właśnie, zwiadowca.

„Łatwo się z nim rozmawia – pomyślał Enoch – zupełnie jak z innym człowiekiem, choć, Bóg świadkiem, nie wygląda on jak człowiek. Raczej jak paskudna karykatura człowieka.”

– Mieszkasz w tym domu od dawna – powiedział Ulisses. – Jesteś do niego przywiązany.

– To mój dom – odrzekł Enoch – od dnia moich narodzin.

Nie było mnie tu prawie cztery lata, ale zawsze pozostawał moim domem.

– Sam chętnie wróciłbym do domu – zwierzył mu się Ulisses. – Zbyt długo podróżuję. Misja jak ta, którą teraz wypełniam, zawsze trwa zbyt długo.

Enoch odłożył nóż, którym ukroił plaster szynki, i opadł na krzesło. Patrzył na Ulissesa.

– Ty? – spytał. – Ty wracasz do domu?

– Ależ oczywiście – odparł Ulisses. – Wykonałem już prawie zadanie. Mam dom. Myślałeś, że nie?

– Nie wiem – odrzekł niepewnie Enoch. – Nie zastanawiałem się nad tym.

Właśnie. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że ta istota może

mieć dom. Tylko ludzie mają dom.

– Kiedyś opowiem ci o moim domu – powiedział Ulisses. – Kiedyś może mnie nawet odwiedzisz.

– Daleko wśród gwiazd...

– Teraz wydaje ci się to dziwne. Upłynie trochę czasu, zanim przyzwyczaisz się do tej myśli. Ale kiedy nas poznasz – nas wszystkich – zrozumiesz. I mam nadzieję, że polubisz nas. Nie jesteśmy źli, naprawdę. Jest nas wiele gatunków i żaden nie jest zły.

„Gwiazdy – myślał Enoch – są tam, w samotności kosmosu; nie zgadłbym nawet, jak daleko ani czym są i dlaczego. Inny świat... nie, nie tak: wiele innych światów. Tam są ludzie, być może wiele różnych ras, różni ludzie na różnych gwiazdach. Jeden z nich siedzi tu, w tej kuchni, czeka, aż zaparzy się kawa i usmażą jajka.”

– Ale dlaczego? – zapytał. – Dlaczego?

– Ponieważ jesteśmy podróżnikami – odpowiedział Ulisses.

– Potrzebny nam tutaj przystanek w podróży. Chcemy zmienić ten dom w stację, a ty będziesz jej zawiadowcą.

– Ten dom?

– Nie możemy zbudować stacji, bo ludzie pytaliby, kto ją zbudował i po co. Jesteśmy zmuszeni wykorzystać już istniejącą konstrukcję i dostosować ją do naszych potrzeb. Ale tylko w środku. Zostawimy wszystko z zewnątrz tak, jak jest. Nikt nie powinien pytać. Musi być...

– A podróżowanie...

– Od gwiazdy do gwiazdy. Szybciej niż myśl o tym. Niż mrugnięcie okiem. Za pomocą maszyn, ale nie takich, jak ci się wydaje.

– Wybacz – powiedział Enoch zmieszany – ale to brzmi tak

nieprawdopodobnie.

– Pamiętasz, jak doprowadzano kolej do Millville?

– Tak, pamiętam. Byłem wtedy dzieckiem.

– Pomyśl więc o tym w ten sposób. Przybędzie jeszcze jedna linia kolejowa. Ziemia to po prostu następne miasto, a ten dom stanie się stacją nowej, innej kolei. Jedyna różnica polega na tym, że nikt na Ziemi prócz ciebie nie będzie wiedział, że kolej tu dochodzi. Tutaj będzie tylko zwrotnica i krótki postój.

Nikt z Ziemi nie kupi biletu na podróż taką koleją.

Wydawało się, że nie ma w tym nic niezwykłego, lecz Enoch przeczuwał, że było tak tylko pozornie.

– Wagony kolejowe w kosmosie? – spytał.

– Nie wagony. Coś innego - odrzekł Ulisses. – Nie wiem, jak ci wyjaśnić, od czego zacząć...

– Może powinieneś wybrać kogoś innego. Kogoś, kto zrozumie.

– Nie ma nikogo na tej planecie, kto zrozumiałby choć niewielką część. Nie, Enochu, nadajesz się tak samo jak inni. Pod wieloma względami zdecydowanie bardziej niż inni.

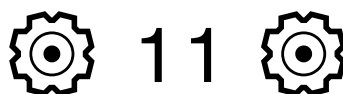
– Ale...

– Co jeszcze, Enochu?

– Nic – odparł Enoch.

Przypomniał sobie teraz, jak siadywał na schodach i rozmyślał o swojej samotności, o rozpoczęciu nowego życia, wiedząc, że pisane mu było rozpocząć nowe życie, że musiał zacząć od zera i budować wszystko od początku.

I nagle nastąpił nowy początek – bardziej niesamowity, niż mu się kiedykolwiek śniło.



Enoch włączył do rejestru otrzymaną wiadomość i wysłał potwierdzenie:

NR 406302 PRZYJĘTE. KAWA SIĘ PARZY. ENOCH.

Skasował wiadomość i podszedł do pojemnika numer trzy z ciecżą, przygotowanego przed wyjściem. Sprawdził temperaturę i poziom roztworu, upewnił się, czy pojemnik znajduje się w odpowiedniej odległości względem materializatora.

Przeszedł do drugiego materializatora, przeznaczonego dla osobistości i do nagłych wypadków, ustawionego w kącie, i dokładnie go obejrzał. Wszystko było w porządku, jak zwykle. Zawsze było w porządku, ale nie zapominał o zrobieniu przeglądu przed każdą wizytą Ulissesa. W razie jakiejś awarii nie mógłby i tak nic poradzić, mógłby jedynie wysłać pilną wiadomość do Galaktyki Centralnej. Wtedy ktoś przybyłby zwykłym materializatorem i naprawił, co trzeba.

Materializator dla osobistości i do wypadków nagłych używany był do celów, o których mówiła jego nazwa. Za pośrednictwem tego materializatora odbywały się oficjalne wizyty personelu Centrum Galaktycznego, a poza tym służyć miał on w nagłych wypadkach. Nie podlegał obsłudze stacji; sterowano nim z zewnątrz.

Ulisses, który pełnił funkcję inspektora tej i kilku innych stacji,

miał prawo korzystać z tego materializatora na każde żądanie, bez uprzedzenia. Przez wszystkie lata jednak, ilekroć odwiedzał stację, nigdy nie przybywał bez wcześniejszego powiadomienia. Enoch przypominał to sobie z pewną dozą dumy. Wiedział, że zawdzięczał to jedynie uprzejmości, której Ulisses przecież mógł nie okazywać wszystkim stacjom wielkiej sieci galaktycznej, choć istniały, być może, inne stacje, traktowane również wyjątkowo.

Postanowił, że powie Ulissesowi, kiedy ten przybędzie, iż stacja jest obserwowana. Może powinien był wcześniej go o tym powiadomić, ale bardzo niechętnie przyznawał, że ludzkość może zagrozić galaktycznym instalacjom.

Obsesyjnie wprost dbał o dobrą opinię mieszkańców Ziemi. Bo przecież w wielu przypadkach ludzie nie byli ani dobrzy, ani rozsądni – może dlatego, że nie całkiem jeszcze dorośli. Bywali sprytni i błyskotliwi, czasami potrafili współczuć, a nawet okazywać wyrozumiałość, ale zwykle godni byli politowania.

„Gdyby jednak dać im szansę – myślał Enoch – pozwolić na wytchnienie; gdyby można było im powiedzieć, co jest w kosmosie, może wzięliby się w garść i zaczęli piąć się w górę, by z biegiem czasu przystąpić do wielkiej wspólnoty gwiazdnych ludów. Być może gdyby zostali przyjęci do wspólnoty, mogliby wykazać się i włączyć do wspólnych przedsięwzięć; są jeszcze młodzi i pełni energii, choć czasem mają energii w nadmiarze.”

Potrząsnął głową, zrobił kilka kroków i usiadł za biurkiem. Rozsupłał sznurek, którym Winslowe związał plik przesyłek.

Otrzymał gazety, tygodniki, dwa magazyny: *Science* i *Nature* oraz list.

Odsunął na bok czasopisma i zajął się listem. List został wysłany pocztą lotniczą, nosił stempel Londynu. Nazwisko nadawcy było nie znane Enochowi. Enoch zdziwił się: dlaczego

jakiś nieznajomy miałby pisać do niego z Londynu? Zaraz uświadomił sobie, że każdy – czy to z Londynu, czy z innego miejsca – zawsze będzie dla niego nieznajomym. Nie znał nikogo w Londynie ani też nigdzie na świecie.

Rozciął kopertę i rozłożył list na biurku. Przysunął bliżej lampę, by lepiej widzieć.

Szanowny Panie!

Z pewnością nazwisko moje jest Panu obce. Jestem członkiem redakcji brytyjskiego miesięcznika Nature, który prenumeruje Pan od tak dawna. Nie piszę do Pana na papierze firmowym, gdyż list ma charakter prywatny i nieoficjalny, być może jest nawet niestosowny.

Spieszę donieść, że jest Pan najstarszym naszym prenumeratorem. Figuruje Pan na naszej liście od ponad osiemdziesięciu lat.

Zdaję sobie sprawę, że nie powinienem właściwie tym się interesować, jednakże zastanawia mnie, czy to Pan osobiście prenumeruje nasze pismo cały ten czas, czy też, być może, ojciec Pana lub bliski krewny rozpoczął prenumeratę, Pan zaś jedynie ją przedłużał.

Moje zainteresowanie Pańską osobą będzie mi bez wątpienia poczytane za bezpodstawną i niewybaczalną ciekawość, ma Pan więc pełne prawo ignorować mój list – nie będzie w tym nic niewłaściwego. Jeśli jednak zechce Pan łaskawie udzielić odpowiedzi, przyjmę ją z głęboką wdzięcznością.

Na swoje usprawiedliwienie dodam, że jako redaktor od dawna związany z pismem, jestem dumny z faktu posiadania wiernego Czytelnika, który od ponad osiemdziesięciu lat uważa nasze publikacje za godne uwagi. Wątpię, czy wiele wydawnictw może

*poszczycić się takim dowodem zainteresowania.
Proszę przyjąć wyrazy najgłęszego szacunku.
Z poważaniem I podpis.*

Enoch odłożył list.

„Znowu to samo – pomyślał. – Jeszcze jeden ciekawski, choć tym razem dyskretny i delikatny. Ale to zawsze następny ktoś, kto zauważył; którego zafrapowało to, że jakiś człowiek prenumeruje czasopismo już ponad osiemdziesiąt lat. W miarę upływu czasu będzie przybywać takich osób. Trzeba uważać nie tylko na obserwatorów przyczajonych wokół stacji, lecz także na potencjalnych ciekawskich. Człowiek robi, co może, by nie zwracać na siebie uwagi, a jednak się nie ukryje. Prędzej czy później świat go dopadnie, będzie tłoczył się u drzwi, pożerany ciekawością. Nie ma sensu łudzić się, że to jeszcze nie teraz. Świat coraz bardziej otacza mnie. Dlaczego nie dadzą mi spokoju? Gdybym tak mógł wyjaśnić, jak wygląda sytuacja. Lecz nawet gdybym to zrobił, zawsze znajdzie się ktoś zbyt ciekawy.”

Materializator po drugiej stronie pomieszczenia zabuczał ostrzegawczo, więc Enoch zaczął się uwijać.

Przybył podróżnik z Thubana. Znajdował się w pojemniku – niewyraźna kropla materii; nad nim unosił się jakiś sześcienny kształt.

„Bagaż? – pomyślał Enoch. – Przecież nie powiadomiono mnie o żadnym bagażu.”

Ruszył w stronę pojemnika i doszło go stukanie – przybysz mówił do niego.

– Podarunek dla ciebie – znaczyły dźwięki – martwa roślina.
Enoch wpatrywał się w sześcian pływający w pojemniku.
Przyjmij to – nadawał podróżnik. – To dla ciebie.

Enoch niezdarnie wystukał palcami odpowiedź na szklanej ścianie pojemnika: „Dziękuję ci, łaskawco” – zastanawiając się przy tym, czy we właściwej formie zwrócił się do owej kropli materii.

Człowiek może niesamowicie zaplątać się w podobnych zawłościach etykiety. Do niektórych istot należało zwracać się kwiecieście (zresztą stopień „ukwiecenia” języka także się różnił), w stosunku do innych używało się najprostszych pojęć.

Sięgnął do pojemnika i wyjął sześcian, który okazał się ciężkim kawałkiem drewna, czarnym jak heban i o tak drobnych słojach, że przypominał kamień. Zachichotał w duchu – dzięki rozmowom z Winslowe’em stał się ekspertem w ocenie drewna.

Położył klocek na podłodze i obrócił się do pojemnika.

– Czy możesz wyjawić – wystukał Thubańczyk – co z tym zrobisz? Nam służy z pożytkiem.

Enoch zawahał się, w popłochu szukając w pamięci odpowiednika słowa „rzeźbić”.

– Więc? – dopytywał się przybysz.

– Musisz wybaczyć mi, łaskawco. Rzadko używam twego języka, stąd mój brak biegłości.

– Skończ z tym „łaskawcą”. Jestem zwyczajną istotą.

– Formujemy to. Nadajemy inny kształt. Czy jesteś istotą wzrokową? Pokażę ci.

– Nie mam zmysłu wzroku. Wiele innych, ale nie wzroku.

Przybysz był kulą, gdy się zjawiał, teraz zaczął się rozpląszczać.

– Ty jesteś dwunożny – zastukał.

– Tak, zgadza się.

– Twoja planeta. Czy jest stała?

„Stała? – zastanawiał się Enoch. – Aha, stała w odróżnieniu od płynnej.”

- W jednej czwartej stała – odstukał. – Reszta jest płynna.
- Moja jest prawie cała płynna. Tylko trochę stała. Bardzo wygodny świat.
- Chcę cię o coś spytać – wystukał Enoch.
- Pytaj – odparła istota.
- Jesteś matematykiem. To znaczy, wy wszyscy jesteście matematykami.
- Tak. Świetna rozrywka. Zajmująca umysł.
- To znaczy, że nie stosujecie matematyki.
- O tak. Kiedyś stosowaliśmy. Ale teraz nie ma potrzeby. Znamy wszystko, co można praktycznie wykorzystać. Teraz to rozrywka.
- Słyszałem o waszym systemie zapisu cyfrowego.
- Bardzo wyjątkowy. O wiele lepszy.
- Możesz mi o nim opowiedzieć?
- Znasz system zapisu używany z Polaris VII?
- Nie, nie znam.
- W takim razie nie ma sensu opowiadać ci o naszym. Musisz najpierw poznać ten na Polaris.

„Niestety – pomyślał Enoch. – Można się było tego spodziewać. Galaktyka dysponuje tak ogromną wiedzą, Człowiek zaś mało wie, a jeszcze mniej rozumie. Są na Ziemi ludzie, którzy wiedzieliby, co z tym zrobić. Ludzie ci oddaliby wszystko, prócz życia, by móc poznać choć cząstkę wiedzy, którą zdobyłem, i zastosować ją w praktyce.

Daleko wśród gwiazd istnieje ogromna wiedza, jej część jest kontynuacją nauki Człowieka, część dotyczy zjawisk, których istnienia ludzkość jeszcze się nie domyśla, a stosuje się ją do celów, jakich ludzie nie są sobie w stanie nawet wyobrazić. I jeszcze długo nie zdołają, jeśli zostawi się ich samych sobie.

Jeszcze sto lat. Ile nauczę się przez następne sto lat? – rozmyślał Enoch. – A za tysiąc?”

- Odpocznę teraz – powiedział przybysz z Thubana. – Miło się z tobą gawędzi.

Enoch odwrócił się od pojemnika i podniósł klocek. Z klocka wyciekła jakaś ciecz i teraz błyszczała na podłodze.

Zaniósł klocek do okna, by mu się przyjrzeć. Drewno było czarne, ciężkie, w jednym rogu miało pozostałość kory. Odcięto je piłą i ociosano, aby mogło zmieścić się w pojemniku, gdzie odpoczywał teraz Thubańczyk.

Enoch przypomniał sobie artykuł w gazecie z poprzedniego dnia, a może sprzed dwóch dni, w którym jakiś naukowiec dowodził, że inteligencja w środowisku płynnym może rozwinąć się tylko do pewnego stopnia. Uczony mylił się. Mieszkańcy Thubana osiągnęli wysoki stopień inteligencji. Istniały też inne płynne światy, należące do galaktycznej wspólnoty. Ludzkość musi się wiele nauczyć, ale również wiele odczytać, jeśli kiedykolwiek zamierza zgłębić tajniki kultury galaktycznej.

Na przykład nieprzekraczalna prędkość światła.

Gdyby rzeczywiście pokonywanie przestrzeni z większą prędkością niż prędkość światła było niemożliwe, nie istniałby system galaktycznej komunikacji. Nie wolno jednak ganić Człowieka za to, że uznał prędkość światła za nieprzekraczalną. Człowiek, czy ktokolwiek inny, może polegać wyłącznie na obserwacjach, które dostarczają danych do twierdzeń. Ponieważ ziemską naukę nie odkryła dotąd niczego, co poruszałoby się szybciej od światła, musiała więc konsekwentnie przyjąć założenie, że nic nie jest w stanie tej prędkości przekroczyć. Ale pozostaje to jedynie założeniem.

Układy impulsów przenosiły istoty od gwiazdy do gwiazdy błyskawicznie, bez względu na odległość. Enoch stał i rozmyślał nad tym. Przyznał wreszcie, że trudno w to uwierzyć.

Istota pływająca w zbiorniku przed chwilą znajdowała się w innym zbiorniku, na innej stacji; materializator odtworzył cały układ – nie tylko ciało, lecz swoistą siłę witalną, która pobudzała tę istotę do życia. Potem układ impulsów przemierzył w jednej chwili kosmos, po czym przejął go system odbiorczy stacji Enocha, gdzie według wzoru odtworzono ciało, umysł, pamięć i powołano do życia istotę, która tak naprawdę spoczywała martwa w miejscu odległym o wiele lat świetlnych. W zbiorniku nowe ciało, umysł, pamięć i życie natychmiast przybrały pożądaną kształt – tworzyły nowe istnienie, takie samo jak poprzednie; została zachowana tożsamość i świadomość (bieg myśli prawie nieprzerwany) – ta sama istota, jakkolwiek na to patrzeć.

Układy impulsów podlegały pewnym ograniczeniom, lecz nie miało to nic wspólnego z prędkością – przemierzały całą Galaktykę z nieznacznym opóźnieniem. Jednak w pewnych warunkach układ impulsów załamywał się, dlatego musiała istnieć taka duża ilość stacji. Tysiące stacji. Chmury pyłu, gazów, a także rejony silnie jonizujące zniekształcały układ. W tych sektorach Galaktyki, gdzie występowały takie warunki, odcinki pomiędzy stacjami zostały poważnie skrócone dla zachowania wierności odtwarzanego wzorca. Niektóre rejony trzeba było omijać ze względu na dużą koncentrację gazu i pyłu.

Enoch zastanawiał się, ile martwych ciał istoty z pojemnika zostało w innych stacjach na trasie podróży. To ciało za kilka godzin też miało spocząć martwe na dnie zbiornika, gdy układ istoty zostanie przesłany dalej na fali impulsów. Droga usłana

trupami porzuconymi wśród gwiazd; niszczyło się je w kwasie, a następnie przelewało do zbiorników, podczas gdy osobnik podążał wciąż do celu swej podróży.

A cele podróży? Było wiele różnych powodów, dla których rozmaite istoty przemieszczały się od stacji do stacji, po całej Galaktyce. Zdarzyło się, że w trakcie pogawędki z podróżnikiem Enoch poznawał przyczynę i cel jego podróży, ale większość istot nie zdradzała swoich zamiarów, a on nie miał prawa pytać. Był przecież tylko zawiadowcą. Gospodarzem. Ale nie zawsze. Wielu podróżników radziło sobie bez gospodarza. W każdym razie, Enoch nadzorował działanie stacji, obsługiwał urządzenia, przygotowywał wszystko do przybycia podróżnych i wyprawiał ich w dalszą drogę, gdy nadchodził czas. Spełniał swoje nieliczne obowiązki, a kiedy było trzeba, okazywał gościnność.

Spojrzał na klocek i wyobraził sobie, jak bardzo Winslowe się nim ucieszy. Rzadko trafiał się kawałek drewna tak czarny i o tak dobrej fakturze.

Co pomyślałby Winslowe, gdyby wiedział, że jego rzeźby są z drzewa, które rosło na nieznanym planecie, oddalonej o wiele lat świetlnych? Enoch zdawał sobie sprawę, że Winslowe musiał czasem zastanawiać się, skąd pochodziło drewno i w jaki sposób zdobył je jego przyjaciel. Nigdy jednak o to nie spytał. Z pewnością Winslowe zauważył, iż było coś dziwnego w człowieku, który przychodził codziennie do skrzynki, by się z nim spotkać. O to również nie spytał.

„To jest właśnie przyjaźń” – pomyślał Enoch.

Drewno, które trzymał w rękach, było również dowodem przyjaźni okazanej przez gwiazdy skromnemu zawiadowcy odległej stacji, zagubionej wśród głuszy jednego z ramion Galaktyki, z dala od centrum.

Najwyraźniej krążyła wieść, błędząc w czasie i przestrzeni, że pewien zawiadowca zbiera egzotyczne drewno; w taki sposób zbiór się powiększał. Dary pochodziły nie tylko od istot zaprzyjaźnionych, lecz także od nieznanym – na przykład od gościa w pojemniku.

Enoch położył klocek na biurko i podszedł do lodówki. Wyjął kawałek dojrzałego sera, który parę dni temu przyniósł mu Winslowe, i małą paczuszkę owoców przywiezionych dzień wcześniej przez przybysza z Sirry X.

– Zbadane – oświadczył wówczas podróżnik. – Możesz jeść bez obawy. Nie zakłóci twojego metabolizmu. Próbowaleś kiedyś? Nie? Szkoda. Smakowite. Jak chcesz, następnym razem przywiozę więcej.

Z szafki obok lodówki Enoch wyjął mały, płaski bochenek chleba – część przydziału, który regularnie otrzymywał z Galaktyki Centralnej. Wypiek z ziarna nie znanego na Ziemi miał wyraźnie orzechowy smak z odrobiną jakiejś obcej przyprawy. Położył jedzenie na stole, który nazywał stołem kuchennym, mimo że nie było już kuchni. Postawił czajnik na kuchence i wrócił do biurka.

List wciąż leżał na biurku, włożył go więc do szuflady. Wybrał z czasopism *New York Times* i usiadł na ulubionym fotelu.

USTALONO TERMIN NOWEJ KONFERENCJI POKOJOWEJ – oznajmiał tytuł na pierwszej stronie.

Kryzys dojrzał od kilku tygodni, najnowszy z długiej serii kryzysów, jakie od lat trzymały świat w napięciu.

„Najgorsze – pomyślał Enoch – że większość kryzysów jest sterowana: raz jedna, raz druga strona dąży do przewagi na szachownicy wielkiej polityki w próbie sił trwającej od zakończenia drugiej wojny światowej.”

Teksty w *Timesie* dotyczące konferencji utrzymane były w tonie beznadziejności, niemal fatalizmu, jak gdyby autorzy tekstów, a może także dyplomaci i wszyscy zainteresowani, spodziewali się fiaska konferencji, co z pewnością przyczyniłoby się do pogłębienia kryzysu.

Jeden z pracowników waszyngtońskiej filii *Timesa* pisał:

Obserwatorzy w stolicy nie są do końca przekonani, czy oczekiwana konferencja posłuży – jak już nieraz bywało – dalszemu odroczeniu właściwej rozgrywki czy też przybliży perspektywę porozumienia. Z wielu stron dobiegają głosy nie ukrywanej obawy, że konferencja zamiast wskazać drogi przybliżenia rozwiązań kompromisowych, podsyci raczej płomień kontrowersji. W powszechnym odczuciu konferencja dostarczy okazji do trzeźwego rozważenia faktów i argumentów, będzie to jednak – według przewidywań – okazja nie wykorzystana.

Czajnik przechodził właśnie ciężką próbę wytrzymałości; Enoch rzucił gazetę i pospieszył go odstawić. Wyjął z szafki filiżankę i poszedł do stołu. Zanim jednak zabrał się do jedzenia, wrócił do biurka, otworzył szufladę i wyjął swój wykres; rozwinął go na blacie. Kolejny raz zastanawiał się, czy wykres ten miał to w ogóle jakieś znaczenie, choć czasami niektóre jego fragmenty nabierały jakby sensu.

Oparł wykres na mizariańskiej teorii statystyki, lecz natura badanego zagadnienia zmusiła go do zmiany danych i substytucji niektórych wartości. Zapytywał teraz siebie po raz setny, czy nie popełnił błędu. Czy jego zmiany nie zniszczyły systemu? A jeśli tak, czy poprawa błędów przywróci wnioskowaniu prawdziwość?

„Oto czynniki – pomyślał – wskaźnik urodzin, liczba mieszkańców Ziemi, umieralność, kursy walut, siatka kosztów utrzymania, współczynnik uczestnictwa w nabożeństwach, rozwój medycyny, postęp techniczny, wskaźnik uprzemysłowienia, rynek pracy, tendencje w światowym handlu – i wiele innych, zdawałoby się nieistotnych: ceny na aukcjach dzieł sztuki, upodobania turystów oraz trasy ich podróży, prędkość środków transportu, występowanie chorób psychicznych.”

Metoda statystyczna opracowana przez matematyków z Mizara sprawdzała się wszędzie, w każdych warunkach, jeżeli stosowana była poprawnie. Ale Enoch zmuszony był dostosować ją do warunków ziemskich i w rezultacie dokonał pewnych zmian. Czy tak zmieniony system da właściwe wyniki?

Przeszedł go dreszcz. Jeżeli nie popełnił błędu, jeśli przystosowanie do warunków innej planety nie wprowadziło go w błąd, Ziemia zmierzała wprost ku następnej wojnie światowej, wprost ku atomowej zagładzie.

Puścił wykres, a ten zwinął się w rulon. Sięgnął po owoc przywieziony przez istotę Sirry i odgryzł kawałek. Obracał go na języku, smakując delikatny miąższ. Przyznał rację tej dziwnej ptasiej istocie, która zachwalała poczęstunek.

O ile dobrze pamiętał, przez pewien czas miał nadzieję, że wykres oparty na teorii mizarianskiej wskaże drogę do trwałego pokoju lub przynajmniej do zakończenia wszelkich wojen. Jednak wykres nie dawał najmniejszej wskazówki, jak osiągnąć pokój. Nieubłagane, bezlitośnie wskazywał jeden kierunek: ku wojnie.

Ile jeszcze wojen mogła przetrwać ludzkość?

Żaden człowiek, oczywiście, na to pytanie nie odpowie.

Prawdopodobnie tylko jedną wojnę. Nie wiadomo ile użyto by broni w następstwie przyszłego konfliktu i jakie byłyby w przybliżeniu tego skutki. Wojna była złem nawet wówczas, gdy ludzie stawali naprzeciw siebie z bronią w ręku; w przyszłej wojnie potężne ładunki śmierci będą przewalać się po niebie, by pochłonąć całe miasta. Ich celem nie będą skupiska wojskowe, lecz całe narody.

Enoch wyciągnął rękę po wykres i zaraz ją cofnął. Już nie musiał patrzeć na wykres. Znał go na pamięć. Nadziei nie było. Mógł siedzieć i rozważać szczegóły aż do sądnego dnia i tak to nic nie zmieni. Nie było nadziei. Świat znów staczał się z hukiem, zaślepiony i bezradny, wprost w kolejną zawieruchę wojenną.

Wrócił do jedzenia, a owoc okazał się jeszcze lepszy niż za pierwszym kęsem. „Następnym razem przywiozę ci więcej” – powiedziała istota. Ale zanim wróci, upłynie sporo czasu. A może nie wróci już nigdy. Większość istot przybywała tylko raz, choć kilka zjawiało się niemal co tydzień – starzy zaprzyjaźnieni podróżni.

Przypomniawszy sobie, że kiedyś przed laty pewna mała grupa Mglistych za każdym razem załatwiała sobie dłuższy postój, by móc usiąść wokół stołu i przegadać parę godzin. Przybywali oni obładowani koszykami z prowiantem jak na jakiś piknik. Potem przestali przyjeżdżać; Enoch od lat nie widział żadnego z nich.

„Szkoda – pomyślał Enoch – świetnie czułem się w ich towarzystwie.”

Wypił jeszcze jedną kawę i dalej siedział beczynnym w fotelu, wspominając dawne dobre czasy, gdy odwiedzali go Mgliści.

Jego ucho pochwyciło szelest i obrócił szybko głowę. Ujrzał ją. Siedziała na sofie, ubrana w surowe krynoliny z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

– Mary! – krzyknął zaskoczony wstając.

Uśmiechała się do niego w swój wyjątkowy sposób. Była piękna, jak żadna inna kobieta.

– Mary, jak dobrze, że jesteś.

Oparty o gzyms kominka stał jeszcze ktoś, jeden z jego przyjaciół, ubrany w błękitny mundur Północy, z szablą u pasa.

– Witaj, Enochu! – powiedział David Ransome. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy.

– Skądże! – odrzekł Enoch. – Przyjaciele są zawsze mile widziani.

Stanął przy stole, a przeszłość była tuż obok – stare dobre czasy spokoju, pachnące różami, wolne od trosk dni, z którymi Enoch nigdy się nie rozstawał.

Gdzieś w oddali rozlegał się dźwięk piszczałki i werbla, chrzęściła bojowa uprząż, gdy chłopcy szli na wojnę, na przedzie pułkownik w galowym mundurze i jego czarny ogier, łopot sztandarów pułku na silnym czerwcowym wietrze.

Enoch podszedł do sofy. Lekko ukłonił się Mary.

– Jeśli pozwolisz... – powiedział.

– Oczywiście, proszę – odparła. – Gdybyś jednak był zbyt zajęty...

– Nie, skądże – rzekł. – Miałem nadzieję, że was zobaczę.

Usiadł obok niej, jednak nie za blisko. Prześlicznie ułożyła ręce na łonie. Zapragnął porwać jej dłonie w swoje i przez chwilę potrzymać, lecz wiedział, że nie może. Bo, tak naprawdę, jej nie było.

– Już prawie tydzień minął, odkąd cię widziałam. Jak ci idzie praca, Enochu?

Potrząsnął głową.

– Wciąż same kłopoty. Ktoś cały czas mnie obserwuje.

A wykres przepowiada wojnę.

David odszedł od kominka i zbliżył się do nich. Usiadł na fotelu i poprawił szablę.

– Wojna w dzisiejszych czasach to sprawa godna pożałowania.

– powiedział. – Nie tak walczyliśmy, Enochu.

– Nie tak – westchnął Enoch. – Wojna pociągnie za sobą fatalne skutki. Jeżeli na Ziemi wybuchnie kolejny konflikt, ludzkość co najmniej na wiele stuleci (albo na zawsze) straci możliwość przynależności do kosmicznej wspólnoty.

– Może to i dobrze – skostatował David. – Chyba nie jesteśmy gotowi do połączenia się z tamtymi w kosmosie.

– Istotnie, raczej wątpię, czy dojrzeliliśmy do tego – przyznał Enoch. – Ale kiedyś przyjdzie nasz dzień. Ten dzień jednak przesunie się daleko w przyszłość, jeśli rozpętamy nową wojnę.

Żeby przystać do innych cywilizacji, trzeba samemu się ucywilizować.

– A może oni się nie dowiedzą – powiedziała Mary. – O tej wojnie. Przecież nie wychodzą ze stacji.

Enoch pokręcił głową.

– Dowiedzą się. Myślę, że nas obserwują. Zresztą przeczytają w gazetach.

– Tych, które prenumerujesz?

– Zbieram je dla Ulissesa. Widzisz tę stertę w kącie? On je za każdym razem zabiera do Galaktyki Centralnej. Mam przecucie, że gdy już przeczyta wszystkie gazety, wysyła je na krańce Galaktyki.

– Czy wyobrażasz sobie, co powiedzieliby w redakcjach tych gazet, gdyby znali zasięg ich obiegu? – spytał David.

Enoch uśmiechnął się.

– W Georgii wychodzi gazeta – ciągnął David – która opada na Ducie jak rosa. Musieliby wymyślić coś, co pasowałoby do Galaktyki.

– Z ukosa – rzuciła zaraz Mary – opada na Galaktykę z ukosa. Co o tym sądzicie?

– Świetne – powiedział David.

– Biedny Enoch – rzekła Mary. – My tu sobie żartujemy, a Enoch ma kłopoty.

– Ja ich i tak nie rozwiążę. Tyle że się niepokoję – odrzekł Enoch. – Mogę pozostać tu w stacji i problemy znikną. Zamykam drzwi i zostawiam za nimi wszystkie kłopoty świata.

– Ale tego nie zrobisz.

– Nie, nie mogę.

– Chyba masz słusność, podejrzewając, że te cywilizacje obserwują nas – powiedział David. – Pewnie liczą się z możliwością, że pewnego dnia zaproszą ludzkość do przyłączenia się do nich. Gdyby tak nie było, po co mieliby budować stację na Ziemi?

– Cały czas rozszerzają sieć połączeń – wyjaśnił Enoch. – Potrzebowali stacji w tym układzie słonecznym, żeby przedłużyć linię do ramienia Galaktyki.

– Być może – przyznał David. – Ale nie musieli wybierać Ziemi.

Mogli zbudować stację na Marsie i powierzyć obsługę obcym; na jedno by wyszło.

– Często zastanawiam się nad tym – powiedziała Mary. – Oni chcieli mieć stację na Ziemi i ziemskiego zawiadowcę. Musi istnieć jakiś powód.

– Miałem taką nadzieję – rzekł Enoch – ale obawiam się, że przybyli za wcześnie. Jeszcze nie czas. Ludzkość nie dorosła.

Wciąż jesteśmy niedojrzali.

– To wstyd, że wiemy tak mało – stwierdziła Mary. – Tylu rzeczy musimy się nauczyć. Ich wiedza jest ogromna w porównaniu z naszą. Weźmy na przykład ideę religii.

– Nie wiem – odrzekł Enoch – czy można nazwać to religią.

Są tam pewne rzeczy, które połączylibyśmy z religią. Ale nie opiera się to na wierze. Nie musi. Opiera się na wiedzy. Mieszkańcy Galaktyki po prostu wiedzą.

– Mówisz o sile duchowej.

Tak, ona istnieje, podobnie jak inne siły, które tworzą Wszechświat. Siła duchowa istnieje, tak samo jak czas, przestrzeń, grawitacja i wszystkie inne czynniki tworzące Wszechświat pozamaterialny. Istnieje, a oni potrafią nawiązać z nią kontakt...

– Ale czy nie wydaje ci się – spytał David – że ludzkość może to wyczuwać? Ludzie nie wiedzą, lecz czują. I sięgają, by tego dotknąć. Nie mają wiedzy, więc robią, co mogą za pomocą wiary. A ta sięga zamierzchłych czasów.

– Zgoda – przyznał Enoch. – Ale wiara to nie siła duchowa, którą mam na myśli. Są inne sposoby: środki materialne, metody, systemy filozoficzne, którymi ludzkość mogłaby się posłużyć. W każdej dziedzinie wiedzy można znaleźć coś dla nas, czego jeszcze nie znamy.

Enoch wrócił myślami do dziwnej duchowej siły i jeszcze dziwniejszego przyrządu, zbudowanego eony czasu wstecz, który umożliwiał mieszkańcom Galaktyki nawiązanie kontaktu z ową siłą. Urządzenie miało nazwę, ale w języku angielskim nie istniał jej odpowiednik. Słowo „talizman” stosunkowo najlepiej oddawało znaczenie, lecz nazbyt prymitywnie. Z drugiej strony, Ulisses użył właśnie nazwy „talizman”, gdy rozmawiali o tym urządzeniu przed laty.

Było tyle spraw, tyle teorii w Galaktyce, których nie można było wyrazić w żadnym z ziemskich języków. Talizman był czymś więcej niż talizmanem, a urządzenie noszące tę nazwę nie było zwykłą maszyną. Na Talizman składały się pewne zasady mechaniki, lecz także psychiki – może jakaś nieznana na Ziemi psychiczna energia. I oprócz tego wiele innych rzeczy. Enoch czytał trochę na temat siły duchowej i Talizmanu; pamiętał, że w trakcie czytania zauważył, jak wiele mu brakowało, jak wiele brakowało ludzkości do zrozumienia tych problemów.

Talizman działał jedynie w obecności istot o określonym rodzaju umysłu i czymś poza tym (może o pewnym typie duszy?). „Wrażliwi” – tego określenia używał Enoch, tłumacząc w myślach nazwę będącą nazwą owych istot, ale znów nie był pewien, czy słowo to stanowiło odpowiednik. Talizman powierzany był opiece najzdolniejszym, najlepszym czy też najbardziej oddanym (nie wiadomo) galaktycznym wrażliwym, którzy przenosili go od gwiazdy do gwiazdy w wiecznej wędrówce. Na każdej planecie mieszkańcy przybywali, by nawiązać osobisty kontakt z siłą duchową za pośrednictwem Talizmanu i jego strażnika.

Enoch zauważył, że cały drży na myśl o tym: czysta ekstaza obcowania z duchem, który unosi się w Galaktyce i bez wątplenia

w całym wszechświecie. Przy tym poczucie pewności, że życie zajmuje miejsce szczególne w wielkim planie bytu, że każda istota – nieważne, czy mała i słaba czy też silna – liczy się w ogromnych otchłaniach przestrzeni i czasu.

– Co cię trapi, Enochu? – spytała Mary.

– Nic – odrzekł Enoch. – Rozmyślałem tylko. Przepraszam.

Teraz już będę słuchał.

– Mówiłeś o tym – powiedział David – co możemy odkryć w Galaktyce. Po pierwsze, ten dziwny rodzaj matematyki. Opowiadałeś nam kiedyś, że...

– Masz na myśli o matematykę z Arktura? – upewnił się Enoch.

– Teraz wiem o niej niewiele więcej niż wtedy, gdy wam opowiadałem. To zbyt skomplikowane. Opiera się to na symbolizmie zachowań.

Pomyślał, że można mieć wątpliwości, czy określenie „matematyka” jest właściwe, choć analiza wskazuje, że jednak jest to rodzaj matematyki. Naukowcy na Ziemi mogliby z pewnością zastosować ten system, umożliwiający stworzenie socjotechniki opartej na logice i skuteczności, podobnie jak wykorzystuje się tradycyjną matematykę do budowy ziemskich wynalazków.

– I biologię z Andromedy – dodała Mary. – Oni skolonizowali wszystkie zwariowane planety.

– Tak, wiem. Ale Ziemia musi najpierw osiągnąć większą dojrzałość swoich emocjonalnych i intelektualnych zapatrywań, zanim odważymy się spróbować jak ci z Andromedy. Mimo to sądzę, że znalazłoby się wiele zastosowań.

Wzdrygnął się na myśl, jaki użytek zrobiono z biologii na Andromedzie. Oto dowód, że wciąż był Ziemianinem, nieobce mu były wszelkie przesady i doktrynerstwo właściwe ludzkim

umysłem. Bo przecież ci z Andromedy postąpili po prostu rozsądnie. Jeśli nie możesz skolonizować planety, mając taką a nie inną formę cielesną – najzwyczajniej zmieniasz się. Przeobrażasz się w istotę zdolną do życia na tej planecie i zdobywasz świat w nowo przybranej postaci. Jeśli trzeba, byś został robakiem – zmieniasz się w robaka albo w owada, skorupiaka czy cokolwiek innego. Zmieniasz nie tylko ciało, dostosowujesz również umysł do warunków, w których przyjdzie ci żyć na nowej planecie.

– No i środki farmakologiczne – dorzuciła Mary. – Lekarstwa. Wiedza medyczna, którą można stosować na Ziemi. Galaktyka Centralna wysłała ci paczkę.

– Pakiet leków – powiedział Enoch. – Skutecznie zwalczają niemal każdą chorobę na Ziemi. To chyba mnie boli najbardziej.

Wiem, że paczka leży tu, w szafce, właśnie na tym globie, gdzie tak wielu potrzebuje pomocy.

– Mógłbyś wysłać próbki – zaproponował David. – Do stowarzyszeń medycznych czy do jakiegoś koncernu farmaceutycznego.

Enoch pokręcił głową.

– Myślałem o tym, ale muszę liczyć się z Galaktyką. Mam zobowiązania wobec Centralnej. Oni dołożyli wszelkich starań, by stacja nie została wykryta. Poza tym Ulisses, wszyscy moi przyjaciele stamtąd. Nie mogę zniweczyć ich planów. Nie mogę zdradzić. Jeśli głębiej się zastanowicie, dojdziecie do wniosku, że robota Centralnej jest ważniejsza niż Ziemia.

– Podzielona lojalność – stwierdził David z odcieniem ironii.

Tak jest, dokładnie. Kiedyś, wiele lat temu, zamierzałem pisać artykuły do czasopism naukowych. Oczywiście nie medycznych; nie mam przecież pojęcia o medycynie. Co z tego, że lekarstwa

leżą tu na półce, z opisem użycia. Po prostu tyle jest tych pigułek, proszków i maści, że nie wiadomo za co się wziąć.

Ale wiem dużo innych rzeczy, nauczyłem się. Niekoniecznie na każdy temat, ale zawsze jakieś wskazówki co do nowych kierunków. Wystarczające, by ktoś je podchwycił i kontynuował dzieło. Ktoś, kto wiedziałby, co z tym zrobić.

– Zastanów się. To nie miałoby sensu – zaproponował David.

– Nie masz żadnych kwalifikacji technicznych czy naukowych ani dorobku naukowego. Nie jesteś związany z żadną uczelnią ani instytutem. Pisma nie opublikowałyby twoich artykułów bez zamieszczenia informacji na temat twoich dotychczasowych osiągnięć.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego nigdy niczego nie napisałem. Wiedziałem, że to nie ma sensu. Nie można winić za to redakcji. Oni muszą być odpowiedzialni. Ich pisma nie są otwarte dla byle kogo. A nawet gdyby uznali, że moje artykuły zasługują na publikację, i tak powinni najpierw dowiedzieć się, kim jestem. A to zaprowadziłoby ich wprost do stacji.

– Nawet gdyby ci się udało, też nie byłbyś całkiem w porządku – zauważył David. – Przed chwilą powiedziałeś, że winien jesteś lojalność Galaktyce Centralnej.

– Gdyby mi się w tym konkretnym przypadku udało – odrzekł Enoch – wszystko byłoby w porządku. Po prostu rzucam pomysł, a ziemscy naukowcy go rozwijają. Galaktyka Centralna nic na tym nie traci. Największy problem polega oczywiście na nieujawnianiu źródła.

– Jednak nie mógłbyś wyjawić im zbyt wiele. To znaczy, w ogóle mało wiesz. Ogromna wiedza galaktyczna leży na nieprzetartym szlaku.

– Wiem – przyznał Enoch. – Na przykład inżynieria mentalna

na Mankalinen III. Gdyby Ziemianie ją znali, z pewnością wynaleźliby sposób leczenia neurotyków i psychopatów. Moglibyśmy opróżnić wszystkie zakłady zamknięte i zburzyć je lub zmienić w coś innego. Stałyby się one całkiem niepotrzebne. Ale nikt nie zapozna nas z tą dziedziną – mogą to zrobić wyłącznie mieszkańcy Mankalinen III. Wiem tylko, że słyną z inżynierii mentalnej i nic poza tym. Nie mam zielonego pojęcia, na czym to polega. Takich rzeczy można dowiedzieć się tylko bezpośrednio u źródła.

– Tak naprawdę chodzi ci o wszystkie nie nazwane dziedziny, o których nie śniło się ludziom – powiedziała Mary.

– Na przykład my – rzucił David.

– David! – wykrzyknęła Mary.

– Nie ma sensu udawać, że jesteśmy ludźmi – stwierdził David z irytacją.

– Ależ jesteście – z napięciem w głosie odrzekł Enoch. – Dla mnie jesteście ludźmi. Jesteście jedynymi ludźmi, jakich mam. O co chodzi, Davidzie?

– Myślę, że nadszedł czas, by powiedzieć, czym naprawdę jesteśmy. Że my – to iluzja. Że stworzono nas i jesteśmy jedynie przywoływani. Że jedynym celem naszego istnienia jest przychodzić i rozmawiać z tobą, zastępować ci prawdziwych ludzi, których nie możesz mieć.

– Mary! – wykrzyknął Enoch. – Ty tak nie myślisz! Nie możesz tak myśleć! – Wyciągnął ręce w jej stronę i powoli je opuścił, przerażony świadomością, co mogłoby się stać. Po raz pierwszy spróbował jej dotknąć. Od tylu długich lat po raz pierwszy się zapomniał. – Przepraszam, Mary. Wiem, że nie powinienem.

Jej oczy błyszczały od łez.

– Gdybyś tak mógł! – powiedziała. – Och, gdybyś tylko mógł!

- David – rzekł nie odwracając się.
- David odszedł – powiedziała Mary.
- Nie wróci - westchnął Enoch.

Mary potrząsnęła głową.

- Co się stało, Mary? O co chodzi? Co ja takiego zrobiłem?

– Nic – odparła. – Tylko uczyniłeś nas zbyt podobnymi do ludzi. Uczłowieczaliśmy się coraz bardziej, wreszcie całkiem staliśmy się ludźmi. Już nie kukielkami, laleczkami, lecz rzeczywiście prawdziwymi ludźmi. Myślę, że David nie może się z tym pogodzić – nie ze swoim człowieczeństwem, tylko z nierealnością. Jest człowiekiem, ale jednocześnie tylko cieniem.

To nie miało znaczenia, gdy byliśmy lalkami, kukielkami, wtedy jeszcze nieludźmi. Nie odczuwaliśmy jak ludzie.

- Mary, błagam. Wybacz mi, Mary – wyszeptał.

Pochyliła się w jego stronę; na jej twarzy pojawiła się głęboka czułość.

– Nie ma tu nic do wybaczenia – odrzekła. – Myślę, że raczej powinniśmy być ci za to wdzięczni. Stworzyłeś nas z miłości i potrzeby serca, a to wspaniałe wiedzieć, że jest się kochanym i ktoś nas potrzebuje.

- Przecież ja już was dalej nie stwarzam – bronił się Enoch.

– Dawno temu, owszem, musiałem. Ale już tego nie robię. Teraz składacie mi wizyty z własnej woli.

„Ile to już lat? – pomyślał. – Chyba z pięćdziesiąt. Mary była pierwsza, David drugi. Oni byli pierwsi, najbliżsi i ukochani.”

Zanim to się stało, zanim w ogóle spróbował, spędzał czas studiując naukę bez nazwy, która wywodziła się od thaumaturgów z Alfarda XXII. Kiedyś, w innej atmosferze umysłowej, mogło to wydawać się czarną magią, ale nią nie było. Polegało raczej na uporządkowanej manipulacji pewnymi

naturalnymi przejawami wszechświata, których istnienia ludzkość nigdy nie podejrzewała. Może Człowiek nigdy o nich się nie dowie; jak dotąd nie pojawiała się w nauce orientacja, mogąca zapoczątkować badania, jakie nieodzownie musiałyby poprzedzić odkrycie.

– David poczuł, że nie możemy tak w nieskończoność odgrywać naszych skromnych wizyt – powiedziała Mary. – Musiał nastąpić moment spojrzenia prawdzie w oczy.

– A pozostali?

– Przykro mi, Enochu. Reszta sądzi tak samo.

– A ty? Co ty o tym myślisz, Mary?

– Nie wiem. Ze mną jest trochę inaczej. Bardzo cię kocham.

– I ja...

– Nie, nie o tym mówię. Nie rozumiesz? Kocham cię.

Siedział wstrząśnięty, a świat huczał, mijając go w szalonym pędzie czasu, podczas gdy on sam tkwił w miejscu.

– Gdyby mogło tak zostać jak na początku – odezwała się Mary.

– Cieszyliśmy się ze swego istnienia, a nasze emocje były tak płytkie; czuliśmy się szczęśliwi. Jak uszczęśliwione małe dzieci, baraszkujące w słońcu. Ale wszyscy dorośliśmy. Wydaje mi się, że ja najbardziej. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Nie przejmuj się tak bardzo, Enochu. Możemy...

– Kochana – powiedział. – Kocham cię od dnia, gdy cię ujrzałem. Wydaje mi się, że nawet przedtem.

Wyciągnął do niej rękę, potem cofnął.

– Nie wiedziałam – szepnęła. – Nie powinnam była ci mówić. Dopóki nie wiedziałeś, że ja też cię kocham, mogłeś z tym żyć.

Pokiwał głową. Schyliła czoło.

– Dobry Boże, nie zasłużyliśmy na to. Nie zrobiliśmy nic, by na to zasłużyć. – Podniosła głowę i spojrzała na niego. – Gdybym tak

mogła cię dotknąć.

– Możemy zostawić wszystko, jak było – zaproponował. – Będziemy robić to, co dotychczas. Możesz mnie odwiedzać, kiedy tylko zechcesz. Możemy...

Potrząsnęła głową.

– To nic nie da – powiedziała. – Żadne z nas tego nie wytrzyma.

Wiedział, że Mary ma rację. To był koniec. Przez pięćdziesiąt lat ona i pozostali odwiedzali go. I już więcej nie przyjdą. Prysł czar, rozwiała się kraina z bajki, a zaklęcie nie działało. Zostanie sam – bardziej samotny niż kiedykolwiek, bardziej, niż zanim ją ujrział.

Ona już nie przyjdzie, a on nie będzie śmiał jej przywołać, nawet gdyby mógł; jego świat cieni i miłość do cienia – ten jedyny raz kochał naprawdę – odejdą na zawsze.

– Żegnaj, kochana – powiedział.

Za późno. Już odeszła.

Jakby z oddali dobiegł go jękliwy gwizd, oznajmiający przybycie wiadomości.

Powiedziała, że oni muszą pogodzić się z tym, czym są.

A czym byli? Nie chodzi o ich wyobrażenia, lecz o to, czym byli naprawdę. Co o sobie myśleli? Może wiedzieli o wiele lepiej niż on sam.

Dokąd odeszła Mary? Opuściła ten pokój i w jakiej otchłani zniknęła? Czy jeszcze istniała? Jeżeli tak, na czym polegało jej istnienie? Czy była przechowywana jak lalka małej dziewczynki w pudle z innymi lalkami?

Próbował wyobrazić sobie tę otchłań: po prostu nicość. Jeżeli tak istotnie było, istnienie zepchnięte w tę sferę było bytem

w niebycie. Nie było tam niczego: przestrzeni, czasu, światła, powietrza, kolorów, tylko nieskończone nic, które z konieczności musiało znajdować się gdzieś poza wszechświatem.

„Mary, co ja ci zrobiłem?”

Odpowiedź była naga i oczywista.

Wziął się do czegoś, czego nie rozumiał. I co gorsza, zgrzeszył jeszcze ciężiej, myśląc, że rozumie. Pojął ledwie, co robić, lecz niczego nie zrozumiał na tyle, by uświadomić sobie konsekwencje – oto przyczyna.

Proces tworzenia wymagał odpowiedzialności, a on nie był przygotowany na coś więcej niż moralna odpowiedzialność za własne poczynania. Cierpienia moralne nic nie dają, gdy brak możliwości naprawienia zła.

Nienawidzili go, czuli się urażeni, a on nie miał im tego za złe, bo sam ich wiódł do człowieczeństwa, pokazał im ziemię obiecaną i wygnał z niej. Dał im wszystko, co posiadał człowiek, z wyjątkiem jednej, najważniejszej *rzeczy*: zdolności istnienia w ludzkim świecie.

Nienawidzili go wszyscy, prócz Mary, lecz jej pozostało coś gorszego niż nienawiść. Za sprawą człowieczeństwa, którym ją obdarzył, została skazana na miłość do potwora-stworzyciela.

„Nienawidź mnie, Mary – błagał. – Nienawidź mnie jak inni.”

Myślał o nich „ludzie-cienie”, ale to była tylko nazwa stworzona dla wygody, poręczna etykiетка do nazywania ich w myśli.

Etykiетка, która nie pasowała; nie przypominali przecież cieni ani duchów. Dla oczu byli trwali i materialni – prawdziwi jak ludzie. Tylko gdy próbowało się ich dotknąć, okazywali się nierealni – ręka sięgała w pustkę. Na początku sądził, że byli wytworem jego umysłu, lecz teraz stracił pewność. Najpierw

przychodzili tylko wtedy, gdy ich wzywał; wykorzystywał wiedzę i techniki wyuczone podczas studiów nad osiągnięciami thaumaturgów z Alfarda XXII.

W ostatnich latach już ich nie przywoływał. Nie było okazji. Wiedzeni przecuciem, przychodzili, zanim zdążył ich wezwać. Wyczuwali u niego potrzebę spotkania, zanim on sam zdał sobie sprawę ze swych pragnień. I już byli obok, czekali, by spędzić z nim godzinę lub wieczór.

Oczywiście, w pewnym sensie stanowili twory jego wyobraźni, gdyż to on nadał im kształt, być może z początku nie całkiem świadomie – nie wiedział, dlaczego mieli być właśnie tacy – ale ostatnio uświadomił sobie, choć wolałby nie wiedzieć dla większej satysfakcji poznawania. Nie przyznawał się do tej świadomości, spychał ją daleko na dno pamięci. Teraz jednak, gdy wszystko się skończyło i utraciło sens, przyznał się wreszcie.

David Ransone to był on sam, taki jakim chciał być – ale, rzecz jasna, nigdy nie był. Dziarski oficer wojsk Unii, z rangą nie na tyle wysoką, by uczynić go dumnym i nieprzystępnym, lecz wystarczającą do wyniesienia wysoko ponad przeciętność. Nieskazitelnym i jowialnym, przy tym zdecydowanie zuchwałym; adorowany przez wszystkie kobiety, budzący podziw wśród mężczyzn. Urodzony dowódca i jednocześnie równy chłop, gdziekolwiek by się znalazł: w domu, na polu walki czy w salonie.

A Mary? Zabawne. Nigdy nie nazywał jej inaczej niż Mary. Bez nazwiska. Po prostu Mary.

Była co najmniej dwiema kobietami naraz. Po pierwsze, Sally Brown, która mieszkała kawałek dalej. Od jak dawna nie myślał o Sally? To dziwne, ale nie myślał o niej, dopiero teraz wstrząsnęło nim wspomnienie dawnej sąsiadki, Sally Brown. Byli

kiedyś oboje zakochani w sobie, a może tak im się tylko wydawało. Nawet wiele lat później, gdy wciąż ją wspominał, nie miał pewności, mimo sentymentalnej mgiełki czasu, czy była to miłość czy tylko sentymentalizm żołnierza wyruszającego na wojnę. Miłość nieśmiała i niezdarna, pełna skrępowania – miłość córki farmera do syna farmera z sąsiedztwa. Postanowili się pobrać po jego powrocie z wojny, ale w kilka dni po zakończeniu bitwy pod Gettysburgiem dostał list, wysłany prawie miesiąc wcześniej, z wiadomością, że Sally Brown zmarła na dyfteryt. Tak, pogrążył się w smutku, choć nie pamiętał, jak głębokim... Smutek jednak musiał być głęboki, bo długa i ciężka żałoba była wówczas w modzie.

Mary z pewnością miała w sobie coś z Sally Brown, lecz nie wszystko. W równym stopniu była ową wysoką, dumną córą Południa, którą ujrzał podczas marszu piaszczystą drogą w palącym słońcu Wirginii. Z dala od drogi stał dwór, jedna z tych wielkich posiadłości właścicieli plantacji, a ona – przy jednej z ogromnych białych kolumn u wejścia - patrzyła na przemarsz armii wroga. Miała czarne włosy, cerę bielszą od białej kolumny, stała wyprostowana – tak dumna, wyzywająca i władcza, że ją zapamiętał. Wracał do niej myślami i marzył o niej – choć nigdy nie poznał jej imienia – przez wszystkie dni w pocie, krwi i kurzawie wojny. Rozmyślał i śnił o niej, pełen wątpliwości, czy nie zdradza w ten sposób Sally. Na biwaku, przy ognisku, kiedy rozmowy to cichły, to znów rozbrzmiewały, otulony kocem, patrzył w gwiazdy i puszczał wodze fantazji; marzył, że po wojnie pojedzie do Wirginii i odnajdzie tę dziewczynę w białym pałacu. Jeśli jej tam nie zastanie, przewędruje całe Południe, by ją odnaleźć. Ale nigdy tego nie zrobił; nie miał wcale zamiaru szukać. Marzył tylko przy

ognisku.

Mary była nimi obiema: Sally Brown i nieznaną piękną z Wirginii, która stała przy białej kolumnie, patrząc na maszerujących żołnierzy. Mary to był cień tych kobiet, a może jeszcze wielu innych, o których właściwie nic nie wiedział – kompozycja wszystkiego, co znał, oglądał i podziwiał u kobiet.

Była doskonałością. Jego ideałem kobiety stworzonym w wyobraźni. Spoczywała teraz w grobie jak Sally Brown, jak piękność z Wirginii, zagubiona we mgle czasu jak wszystkie kobiety, które miały stać się jej częścią – dla niego umarła.

Oczywiście, kochał ją, była przecież każdą jego miłością, wszystkimi kochanymi kobietami naraz – jeśli w ogóle kochał jakąś kobietę albo przynajmniej myślał, że kocha. Lecz nigdy nie przyszło mu do głowy, że ona może się zakochać w nim. Dopóki nie dowiedział się o jej miłości, udawało mu się pielęgnować w głębi serca uczucie, że ta miłość nie ma przyszłości, że jest niemożliwa, choć była miłością spełniającą wszystkie jego oczekiwania.

Usiłował dociec, gdzie Mary może być teraz, dokąd odeszła: w otchłań, którą usiłował sobie wyobrazić, czy w dziwny niebyt. Podświadomie oczekiwał chwili, gdy znów do niego wróci.

Ukrył twarz w dłoniach i siedział tak w poczuciu nieszczęścia i winy.

Oby nigdy nie przyszła. Modlił się o to. Będzie lepiej dla nich obojga, jeśli nigdy nie wróci.

Gdyby jednak mógł wiedzieć, gdzie teraz przebywa. Gdyby tak zdobył pewność, że spotkał ją jakiś rodzaj śmierci i nie jest dręczona myślami. Przeświadczenie, że być może jeszcze coś czuje, było nie do zniesienia.

Usłyszał gwizd, który dawał znać o czekającej wiadomości,

i podniósł głowę. Nie wstał jednak z miejsca. Ręką bez czucia sięgnął w stronę stolika do kawy obok sofy, na której siedział. Błat zastawiony był kolorowymi ozdóbkami i błyskotkami otrzymanymi w prezencie od podróżnych. Wziął w dłonie sześcian zrobiony z jakiegoś szkła lub przezroczystego kryształu – nigdy nie mógł dociec, z czego powstał ów przedmiot. Wyteżając wzrok, spostrzegł maleńki obraz – dokładny i trójwymiarowy – przedstawiający świat z baśni. Dziwaczny krajobraz zatopiony w środku przedstawiał jakby leśną polanę otoczoną przez wybijające muchomory. W powietrzu unosił się deszcz migotliwych płatków (a może to powietrze migotało?), które lśniły i błyszcząły w fiołkowym świetle wielkiego błękitnego słońca.

Na polanie tańczyły stworki przypominające bardziej kwiaty niż zwierzęta; poruszały się z takim wdziękiem, że zapierało dech w piersi. Potem baśniowy świat zniknął i pojawił się inny: dzikie, ponure ustronie, gdzie srogie, posępne urwiska wrastały wysoko w czerwone, złowrogie niebo, a wielkie latające stwory, przypominające szmaty, trzepocząc, przemieszczały się w górę i w dół, inne natomiast rozpostarły się ohydnie na sękatych, sterczących konarach skarłałych drzew, wyrastających z litej skały. Z dołu, kto wie z jakiej głębokości, dochodziło dudnienie rozszalałej rzeki.

Odłożył sześcian na stolik. Rozmyślał o tym, co zobaczył w środku przedmiotu. Przypominało to przewracanie stronic: na każdej stronie był obraz innego miejsca, bez żadnego opisu, które istniało naprawdę. Po otrzymaniu niezwykłego prezentu długie godziny spędził, zafascynowany, wpatrując się w zmienne obrazy sześcianu trzymanego w dłoniach. Nigdy nie zdarzyło się, by obraz choćby częściowo przypominał któryś z poprzednich -

sceneria zmieniała się bez końca. Zdawało się, że to nie obrazy, lecz sceny z rzeczywistości, że w każdej chwili można stracić równowagę i wpaść głową w dół do oglądanego świata.

Wreszcie znudziło go to bezsensowne zajęcie: gapienie się na mnóstwo różnych krajobrazów nie wiadomo skąd. Oczywiście, dla niego nie miało to sensu, lecz przybysz z Enif V był z pewnością innego zdania. Enoch brał pod uwagę, że prezent mógł być skarbem wielkiej wartości.

Podobnie traktował wiele innych otrzymanych przedmiotów. Niektóre z nich sprawiały mu radość, podejrzewał jednak, że nie potrafił używać tych darów zgodnie z ich przeznaczeniem.

Miał kilka (niezbyt wiele) takich, których przeznaczenie znał, choć nie znajdował dla nich zastosowania. Na przykład mały zegar wskazujący lokalny czas we wszystkich sektorach Galaktyki; był on zupełnie nieprzydatny, choć budził zainteresowanie, a w pewnych okolicznościach mógł być nawet niezbędny. Albo mikser zapachów (chyba najtrafniejsza nazwa) do wytwarzania wybranego aromatu. Trzeba było tylko wybrać zapach i uruchomić mikser – natychmiast w powietrzu zaczynała unosić się woń i trwała, dopóki urządzenie było włączone. Sprawilo mu ogromną radość, gdy w środku zimy po licznych próbach wywołał zapach kwiatu jabłoni – przeżył dzień wiosny, kiedy za oknami szalała zamieć.

Sięgnął po następny przedmiot: piękny, ten zawsze go intrygował, choć nie było wiadomo do czego służył – jeśli w ogóle miał jakiegokolwiek zastosowanie. Doszedł do wniosku, że to chyba dzieło sztuki, piękna rzecz przeznaczona wyłącznie do oglądania. Ale ów przedmiot na swój sposób dawał odczuć (trudno to wyrazić), że jednak spełniał jakąś specyficzną funkcję.

Piramida kul – od największej do najmniejszej. Cacko to miało

około czterdziestu centymetrów wysokości, każda kula: była innego koloru – nie inaczej pomalowana, lecz pełna wewnętrznej barwy. Ktoś, kto oglądał piramidę kul, czuł instynktownie, że dany kolor jest prawdziwy i głęboki, że wypełnia całą kulę, nie tylko jej powierzchnię.

Nic nie wskazywało na to, że kule w jakiś sposób sklejono ze sobą. Piramida sprawiała wrażenie układanki: ktoś umieścił kule kolejno – jedna na drugiej – i tak już zostało.

Enoch trzymał piramidę w dłoniach i usiłował przypomnieć sobie, kto mu ją ofiarował, lecz pamięć zawiodła go.

Gwizdek przekaźnika wiadomości wciąż nawoływał. „Trzeba wziąć się do roboty. Nie można tak siedzieć beczynnie całe popołudnie” – pomyślał Enoch. Położył piramidę kul na stoliku, wstał i ruszył do urządzenia.

Wiadomość brzmiała:

NR 406302 DO STACJI 18327. Z WEGI XXI PRZYJAZD 16532.82. ODJAZD – NIE OKREŚLONY. BEZ BAGAŻU. WYSTARCZY KABINA. WARUNKI LOKALNE. POTWIERDZIĆ.

Enoch rozpromienił się na tę wiadomość. Jak dobrze móc znów gościć jakiegoś Mglistego. Co najmniej od miesiąca żaden nie zawitał w stacji.

Enoch pamiętał pierwsze spotkanie z Mglistymi; wtedy przybyli w piątkę. To musiało być w tysiąc dziewięćset czternastym albo piętnastym. Trwała właśnie pierwsza wojna światowa, którą wówczas nazywano Wielką Wojną.

Mglisty miał zjawić się prawie równocześnie z Ulissesem, tak że mogli spędzić wieczór we trójkę. Nieczęsto zdarzało się, że dwaj przyjaciele naraz składali Enochowi wizytę.

Przystanął zdumiony. Uświadomił sobie, że nazwał Mglatego przyjacielem. Przecież prawdopodobnie nie znał tego, który miał do niego przybyć.

„Właściwie to nieważne – pomyślał – bo Mglisty – każdy Mglisty – zawsze będzie przyjacielem.”

Ustawił kabinę pod materializatorem i wszystko dokładnie posprawdzał, a następnie wrócił do przekaźnika wiadomości i wysłał potwierdzenie.

Cały czas nie dawały mu spokoju wspomnienia. Czy to było w tysiąc dziewięćset czterem czy może trochę później?

Wyjął szufladę i odszukał Wegę XXI. Pierwsza zapisana data brzmiała: 12 lipca 1915. Znalazł odpowiednią księgę zapisów na półce, sięgnął po nią i zaniósł na biurko. Szybko kartkował aż do poszukiwanej daty.

12 lipca 1915. Popołudniu (dwadzieścia po trzeciej) przybyło pięć istot z Węgi XXI-pierwsi goście stamtąd, którzy skorzystali ze stacji. Są dwunożnymi humanoidami, sprawiają jednak wrażenie pozbawionych ciała – jak gdyby było ono dla nich zbyt dużym obciążeniem – choć, oczywiście, mają ciało jak wszyscy. Świecą, lecz nie zwyczajnym światłem, raczej wytwarzają poświatę, która im wszędzie towarzyszy. Zorientowałem się, że w pięcioro dopełniają się seksualnie, ale nie jestem pewien, czy wszystko do końca rozumiem – bardzo trudno to pojąć. Są pogodni i przyjacielscy, jakby czymś rozbawieni – nie czymś konkretnym, lecz raczej całym wszechświatem; jak gdyby śmiali się z jakiegoś kosmicznego, a jednocześnie bardzo osobistego dowcipu, który tylko oni znają. Mieli właśnie wakacje i wybierali się nafesriwal (być może to niewłaściwe słowo) na inną planetę, na którą różne istoty zjeżdżają się na trwający tydzień karnawał. Nie udało mi się dowiedzieć, w jaki sposób ich zaproszono i dlaczego. To z pewnością dla nich wielki zaszczyt, ale nie zauważyłem, by tak to odbierali, zaproszenie uważali za coś zupełnie normalnego. Wyglądali na bardzo zadowolonych, beztroskich, zrównoważonych i niezwykle pewnych siebie, jednak po namyśle stwierdzam, że są po prostu tacy. Zauważyłem, iż odro, binę im zazdrość tej beztroski Próbowałem sobie wyobrazić, i jaką świeżość wrażeń niesie im życie w rozległym wszechświecie; czułem się trochę urażony, że mogą tak się cieszyć.

I Zgodnie z instrukcją rozwiesiłem hamaki, by mogli w nich

odpocząć, ale nie skorzystali z nich. Przywieźli ze sobą kosze wypełnione jadłem i napitkiem, usiedli przy stole, po czym zaczęli konwersację i ucztę. Zaprosili mnie do niej.

Wybrali dwie potrawy i butelkę napoju, które według ich zapewnień nie powinny mi zaszkodzić, reszta natomiast mogła nie najlepiej wpłynąć na mój metabolizm. Jedzenie było znakomite – nigdy czegoś podobnego nie próbowałem. Jedno z dań przypominało najrzadziej spotykany, delikatny, dojrzały ser, a drugie było niebiańską słodyczą. Napój smakował niczym najlepsza brandy – żółtawy i nie mocniejszy od wody.

Pytali o mnie i o moją planetę, okazywali uprzejmość i szczerze zainteresowanie, przy tym w lotpojmowali, o czym mówiłem. Sami opowiedzieli mi o celu swej podróży – nigdy o tej planecie nie słyszałem – rozmawiali też między sobą w taki sposób, że nie czułem się wyłączony z rozmowy. Dowiedziałem się, że na festiwalu odbywał się pokaz dzieł sztuki. Dopuszczalną formą wyrazu było nie tylko malarstwo czy muzyka – tworzone kompozycje dźwięków, barw, emocji, kształtów i innych walorów nie do opisanie w ziemskim języku; sam nie bardzo wiedziałem, o co chodzi. Zdołałem pojąć, na czym polega symfonia trójwymiarowa (niestety, nazwa nie oddaje tego w pełni), której kompozytorem nie jest jednostka, lecz zespół. Wyrażali się o tym z wielkim entuzjazmem i o ile dobrze zrozumiałem, przedstawienie miało trwać nie kilka godzin, ale kilka dni i dostarczyć najróżniejszych doznań, które miały nie tylko ograniczać się do doznań wynikających ze słuchania i oglądania. Widownia nie składa się z biernych odbiorców; jeśli ktoś ma ochotę, może, a wręcz powinien, współtworzyć, by efekt był jak najwspanialszy. Nie mogłem jednak pojąć, na czym właściwie polega uczestnictwo w tym, i czułem, że nie wypada pytać. Rozmawiali o osobach,

z którymi mieli się spotkać, mówili, kiedy je ostatnio widzieli, lecz bez złośliwości; odnosiło się wrażenie, że oni podróżują wraz z innymi od planety do planety wyłącznie dla przyjemności. Nie jestem pewien, czy istnieje inny cel ich podróży nie związany z rozrywką. Podejrzewam, że tak Opowiadali o innych festiwalach i nie wszystkie okazały się poświęcone tej jednej dziedzinie sztuki; prezentowały również inne formy, których nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić. Festiwale najwyraźniej są dla nich źródłem wielkiej radości i wydaje mi się, że tą radość powodują także czynniki nie związane bezpośrednio ze sztuką. Nie brałem udziału w tej części rozmowy, bo prawdę powiedziawszy, nie dano mi takiej możliwości. Chciałem nawet zadać kilka pytań, ale nie było okazji. Myślę, że pytania mogły zabrzmieć głupio, jednak zadałbym je (mimo wszystko) przy pierwszej nadarzającej się okazji i nawet w takiej sytuacji udało im się jakoś sprawić, że miałem wrażenie, iż uczestniczę w rozmowie. Nie polegało to na jakichś widocznych staraniach z ich strony, a jednak siedziałem z nimi jak równy z równym; nie czułem się zwykłym zawiadowcą stacji, któremu poświęcono trochę czasu. Od czasu do czasu przechodzili na krótko na język ich planety, najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek słyszałem, ale głównie rozmawiali w języku ogólnym używanym przez wielu humanoidów – sztucznym języku stworzonym dla wygody. Mam wrażenie, że robili to ze względu na mnie – to wielka uprzejmość z ich strony. Uważam, że są najbardziej cywilizowanymi ludźmi, jakich spotkałem.

Jak już powiedziałem, oni świecą. Wydaje mi się, że chodzi tu o świecenie duchowe. Najwyraźniej spowija ich w jakiś sposób iskrząca się złoto mgiełka, która uszczęśliwia wszystko, czego dotknie – jakby poruszali się oni cały czas w jakimś niezwykłym świecie niedostępnym dla innych. Gdy tak siedziałem z nimi przy

stole, znajdowałem się chyba w środku złotej mgiełki i czułem się dziwnie: w żyłach płynęły mi prądy spokoju i szczęśliwości. Zastanawiałem się, jak oni i ich świat doszli do takiego złotego stanu i czy mój świat mógłby kiedyś – w dalekiej przyszłości – go osiągnąć.

Źródłem tej radości jest ich wielka witalność, tryskająca zadowoleniem moc duchowa, a główny jej strumień to umiłowanie życia, które wypełnia ich ciała w każdej sekundzie życia.

Mieli tylko dwie godziny; upłynęły tak szybko, że musiałem wreszcie przypomnieć im o odjeździe. Przed podróżą zostawili na stole dwie paczki, mówiąc, że to dla mnie z podziękowaniem za mój stół (tak dziwnie to ujęli). W końcu pożegnali się i weszli do kabiny (tej ogromnej), a ja wysłałem ich w drogę. Nawet po ich odejściu złota mgiełka zdawała się snuć po pokoju przez długie godziny, zanim całkiem znikła. Żałowałem, że nie mogłem pojechać z nimi na tamtą planetę na festiwal.

Jedna z pozostawionych przez nich paczek zawierała dwanaście buteleczek trunku przypominającego brandy; każda buteleczka jest dziełem sztuki – nie ma dwóch takich samych. Zrobione są z diamentu, jestem tego pewien, nie wiem tylko, czy diament ów uzyskano sztucznie czy też wycięto z wielkich kamieni. W każdym razie, można powiedzieć, że każda buteleczka jest rzeczą bezcenną; na każdej wyrzeźbiono bogactwo symboli, - a poszczególne motywy zachwycają swoistym pięknem. W drugiej paczce była – no cóż, myślę, że z braku lepszej nazwy można powiedzieć: grająca skrzynka. Wykonano ją z kości słoniowej, starej, poźółkłej, gładkiej jak aksamit. Wryto na niej masę jakichś symboli, które z pewnością coś oznaczają, choć ja nic z tego nie rozumiem. Na wieczku, w środku podziałki, umieszczone jest kółko – gdy przekręciłem kolko o jeden stopień, zabrzmiała

muzyka, a cały pokój wypełniła gra różnokolorowych światełek, niby gąszcz kolorów, z których przezierało odległe wspomnienie tamtej złotej poświaty. Ze skrzynki dobywały się też zapachy, poza tym uczucia, emocje – nie wiem, jak to nazwać – coś, co ogarniało człowieka i sprawiało, że czuł smutek lub radość współgrające z muzyką, kolorami i zapachem. Z pudełka pochodził świat, w którym przeżywa się bogactwo kompozycji – owo przeżywanie uwalnia wszystko, co nosimy w sobie: wszelkie emocje, wiarę, intelekt, na jakie kogo stać. Tutaj jestem całkowicie pewny: był to zapis tej formy sztuki, o której była mowa. I to zapis niejednej kompozycji, lecz dwustu sześciu, bo taka jest ilość działek skali, a każda oznacza odrębną całość kompozycyjną. Wkrótce zagram sobie wszystkie i o każdej porobię notatki, spróbuję nadać im nazwy w zależności od nastroju każdej z nich; prócz przyjemności, dostarczy mi to, być może, także wiedzy.

Dwanaście diamentowych buteleczek, od dawna pustych, stało w błyszczącym rzędzie na gzymsie kominka. Grającą skrzynkę – jeden z jego ulubionych przedmiotów – przechowywał w bezpiecznym miejscu, w szafce. Pomyślał ze smutkiem, że mimo częstego odtwarzania przez długie lata nie zdołał poznać wszystkich kompozycji.

Wiele z tych, które poznał wcześniej, aż się prosiło o ponowne odtworzenie, doszedł więc zaledwie do połowy podziałki.

Mgliści powracali. Cała piątka odwiedzała go od czasu do czasu; wyglądało na to, że stacja – a może jej zawiadowca – spodobała im się. Pomogli Enochowi opanować język Wegi, przywozili mu zwoje wegańskiej literatury i dużo innych rzeczy, bezsprzecznie zostali najlepszymi jego przyjaciółmi spośród obcych (nie licząc Ulissesa). Od pewnego czasu przestali jednak przyjeżdżać; Enoch nie wiedział dlaczego, rozpytywał więc innych Mglistych, którzy zjawiali się w stacji. Nigdy nie dowiedział się, co stało się z jego przyjaciółmi.

Teraz wiedział już dużo więcej o Mglistych, ich sztuce, tradycji, zwyczajach i historii, niż wówczas, gdy pisał o nich po pierwszym spotkaniu w roku tysiąc dziewięćset piętnastym. Wciąż jednak nie rozumiał wielu rzeczy, które dla nich były oczywiste.

Od tamtego dnia sprzed lat wielu Mglistych bywało w stacji. Szczególnie mocno zapadł Enochowi w pamięć pewien mędrzec, który przybywszy, umarł na podłodze, obok sofy.

Siedzieli obaj na sofie i rozmawiali. Enoch nawet pamiętał o czym. Starzec opowiadał o perwersyjnym kodeksie etyki, irracjonalnym i zabawnym zarazem, stworzonym przez dziwne społeczeństwo roślin, które napotkał po drugiej stronie Galaktyki. Wiekowy Mglisty wysuszył już szklaneczkę albo dwie, był więc we wspaniałej formie i z zapalem opowiadał jedną historię po drugiej. Nagle urwał w pół słowa i przechylił się do przodu. Enoch, zaskoczony, wyciągnął rękę, lecz nim zdążył złapać starego przybysza, ten osunął się na podłogę. Złota poświata wokół postaci mędrca przybladła i zaczęła z wolna zanikać, a ciało stało się kanciaste, wysuszone i wstrętne, potwornie obce – tu, na tej podłodze – jednocześnie straszne i budzące litość. Mędrzec wydawał się Enochowi bardziej przerażający niż wszyscy obcy, których dotąd oglądał.

Gdy Mglisty żył, był cudowną istotą – ale po śmierci stał się szkaradnym workiem – kośćmi w cienkiej, łuskowatej powłoce. Enoch, bliski obłądu, uprzytomnił sobie, że złota mgiełka czyniła Mglistych pięknymi, wspaniałymi, pełnymi życia – przydawała im dostojęstwa. Złota mgiełka to było ich życie, które odchodząc, pozostawiało odrażające szczątki, budzące jedynie wstręt.

Czy to możliwe, że złocistość była życiodajną siłą Mglistych, noszoną jak płaszcz, jak kostium przebierańca?

Czy oni nosili swą siłę witalną na zewnątrz, podczas gdy u wszystkich innych kryła się wewnątrz?

Słaby wiatr zawodził w zdobieniach na szczycie dachu; przez okno widać było postrzępione chmury.

W stacji panował chłód i nastrój osamotnienia, sięgający dalej niż ziemski samotność.

Enoch zostawił ciało i sztywnym krokiem podszedł do

przekaznika wiadomości. Zamówił bezpośrednie połączenie z Galaktyką Centralną, stał i czekał, zacisnąwszy dłonie na obudowie maszyny.

– MOŻNA NADAWAĆ – oznajmiła Centrala.

Zdał zwięzły raport z tego, co się stało, najobiektywniej jak potrafił.

Nie napotkał wahania ani żadnych pytań z drugiej strony. Zwyczajne wskazówki (jak gdyby coś takiego zdarzało się często), określające sposób postępowania. Przybysz z Wegi musiał pozostać na planecie, na której spotkała go śmierć; ciało miało być poddane miejscowej ceremonii pogrzebowej. Tak stanowiło prawo Wegi i tamtejszy kodeks honorowy. Gdzie Weganin padł, tam musiał pozostać, a miejsce to stawało się na zawsze częścią Wegi XXI. Pełno było takich miejsc w Galaktyce.

– TUTEJSZY ZWYCZAJ – nadawał Enoch – NAKAZUJE GRZEBAĆ ZMARŁYCH.

– W TAKIM RAZIE POGRZEBAĆ.

– CZYTAMY WERSETY ZE ŚWIĘTEJ KSIĘGI.

– PRZECZYTAJ. PORADZISZ SOBIE?

– TAK. ALE ZWYKLE ROBI TO OSOBA DUCHOWNA.

W TEJ SYTUACJI JEDNAK TO NIEROZSĄDNE.

– ZGODA – orzekła Galaktyka Centralna. – MOŻESZ RÓWNIE DOBRZE SAM?

– TAK.

– NAJLEPIEJ ZRÓB SAM.

– CZY KREWNI I PRZYJACIELE PRZYJADĄ NA POGRZEB?

– NIE.

– ZAWIADOMICIE ICH?

– TAK, FORMALNIE. ONI JUŻ WIEDZĄ.

- PRZECIEŻ ON UMARŁ PRZED CHWILĄ.
- NIE SZKODZI, WIEDZĄ.
- A ŚWIADECTWO ZGONU?
- NIEPOTRZEBNE. ONI WIEDZĄ, NA CO UMARŁ.
- A BAGAŻ? JEST TU KUFER.
- ZATRZYMAJ GO. JEST TWÓJ. ZAPŁATA ZA POSŁUGĘ WOBEC CZCIGODNEGO ZMARŁEGO. ZGODNIE Z PRAWEM.
- ALE TAM MOŻE BYĆ COŚ WAŻNEGO.
- ZATRZYMAJ KUFER. ODMOWA OBRAŻA PAMIĘĆ ZMARŁEGO.
- COŚ JESZCZE? – spytał Enoch. – TO WSZYSTKO?
- WSZYSTKO. POSTĘPUJ Z WEGANBMEM JAK Z PRZEDSTAWICIELEM SWOJEJ RASY.

Enoch skasował wiadomość i wrócił w drugi koniec pomieszczenia. Stał nad Mglistym, przemógł się, nachylił, by unieść ciało i położyć na sofie. Nie mógł jednak go dotknąć. Coś straszego, jakaż potworna przemiana świetlistej istoty, która niedawno siedziała i prowadziła z nim rozmowę!

Pokochał Mglistych od pierwszego spotkania z nimi, podziwiał ich, nie mógł się doczekać kolejnej wizyty któregośkolwiek z nich, a teraz stał jak roztrzęsiony tchórz, niezdolny dotknąć trupa.

Odczuwał nie tylko przerażenie. W końcu przez lata pracy w stacji widział niejedną okropną postać. Ale przedtem jakoś potrafił zapanować nad uczuciem obrzydzenia, nie zwracać uwagi na powierzchowność, postrzegać inne życie jako bratnie istnienie. Traktował wszystkich jak ludzi.

„Przecież – upominał siebie w myślach – to mój przyjaciel. Powinienem złożyć zmarłemu przyjacielowi należną cześć, okazać miłość i troskę.”

Przystąpił bezwiednie do wypełniania swojej powinności.

Nachylił się i uniósł ciało. Mglisty prawie nic nie ważył, jak gdyby śmierć odebrała mu jeden wymiar, umniejszyła dosłownie i w przenośni. „A może – zastanawiał się Enoch – złocista poświata miała jakiś ciężar?”

Położył ciało na sofie i wyprostował je. Potem wyszedł i zapaliwszy w przybudówce latarnię, udał się do stodoły.

Nie zaglądał do niej od lat, jednak niewiele się tam zmieniło. Mocny dach chronił przed złą pogodą, wewnątrz było przytulnie i sucho. Z belek zwisały pajęczyny, wszędzie zalegał kurz. Zwietrzałe pasemka siana zwiezonego przed laty opuszczały się ze szpar między deskami tworzącymi podłogę sąsiedka.

Zawiesił latarnię na kołku i wszedł po drabinie do sąsiedka. Po ciemku, gdyż bał się wnieść latarnię do suchej jak pieprz sterty siana, w głębi pod stromizną dachu *znalazł* stos dębowych desek.

Miał tu jako chłopiec jaskinię na niby; spędził w tym miejscu wiele szczęśliwych dni w czasie niepogody, gdy nie mógł wychodzić na dwór. Był Robinsonem Kruzoe w swej jaskini na bezludnej wyspie albo ukrywającym się przed indiańskimi łowcami skalpów. Miał broń – drewnianą strzelbę, którą wystrugał z kawałka deski, a potem wygładzał strugiem, nożem i kawałkiem szkła, aż nabrała gładkości. Hołubił ją przez wszystkie lata chłopięce do dnia, kiedy skończył dwanaście lat i ojciec po powrocie z miasta podarował mu prawdziwą broń.

W ciemności wyszukał odpowiednie deski. Przeniósł je do drabiny i ostrożnie opuścił na ziemię. Zszedł na dół i wspiał się po kilku stopniach do spichlerza, gdzie trzymał narzędzia. Otworzył wieko wielkiej skrzyni i odkrył w niej dawno opuszczone mysie gniazdo. Wyrzucił słomę i siano stanowiące budulec siedziby gryzoni. Odsłonił wreszcie narzędzia. Utraciły połysk – metal poszarzał, pokrył się lekkim nalotem od

nieużywania – nie zardzewiały jednak i wciąż były ostre.

Wybrał potrzebne i zszedł na klepisko, gdzie zabrał się do pracy. Pomyślał, że całe wieki upłynęły, odkąd ostatni raz zbijał trumnę przy świetle latarni. Wtedy to jego ojciec leżał w domu.

Dębowe deski były suche i twarde, ale narzędzia dobrze się spisywały. Piłował, gładził i przybijał, aż powietrze napełniło się zapachem trocin. W stodole było cicho i przytulnie; wielka kopa siana w sąsiedku tłumiała zawrodozenie wiatru. Zbił wreszcie trumnę; była cięższa, niż początkowo sądził.

Znalazł starą taczkę opartą o ścianę za przegrodami, w których kiedyś stały konie, i załadował na nią trumnę. Z wysiłkiem, często przystając, by odpocząć, ruszył w stronę cmentarza wśród jabłoni.

Tam, tuż obok grobu ojca, wykopał dół łopatą i kilofem, które to przyniósł ze sobą. Dół nie był tak głęboki, jak wymagał zwyczaj – czyli na metr siedemdziesiąt; Enoch zdawał sobie sprawę, że gdyby zastosował się do zwyczaju, nie poradziłby sobie z trumną. Wykopał więc grób na głębokość około metra, pracując w słabym świetle latarni ustawionej na kopcu ziemi. Z lasu wyleciała sowa i usiadła na chwilę gdzieś wśród jabłoni. Gdy przestała pohukiwać, słychać było jej pomruki i gulgotanie. Księżyc zniknął na zachodzie, a przez postrzępione chmury przezierały gwiazdy.

Skończył wreszcie; trumna spoczywała w grobie, w latarni dopalały się resztki nafty, płomień mrugał za szerniałym szkłem.

Wewnątrz stacji Enoch znalazł prześcieradło, w które zamierzał owinąć zwłoki. Wsunął Biblię do kieszeni i uniósł okryte ciało przybysza z Węgi. Wszedł do sadu już w świetle przedświtu. Złożył zwłoki w trumnie, przybił wieko, po czym

wydostał się z grobu.

Stanął na krawędzi dołu, wyjął Biblię z kieszeni i odnalazł właściwy ustęp. Czytał głośno. Nie musiał nawet wyteżać wzroku w słabym świetle. Werset pochodził z rozdziału, do którego często zwykł zaglądać:

W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział...

Czytał i rozmyślał o tym, że to były odpowiednie słowa; wiele potrzeba miejsc, by dać schronienie wszystkim duszom całej Galaktyki – i innych galaktyk, ciągnących się, być może, w nieskończoność w przestrzeni kosmicznej.

Choć przy dobrej woli starczyłoby jedno.

Skończył czytać i wypowiedział z pamięci egzekwie, nie całkiem pewien słów. Nie pozbawił ich jednak sensu. Łopatą począł zrzucać ziemię.

Gwiazdy i księżyc znikły, ucichł wiatr. W ciszy poranka niebo na wschodzie różowiało.

Enoch stał z łopatą w ręku nad grobem.

– Żegnaj, przyjacielu – rzekł.

Potem odwrócił się i w pierwszych promieniach poranka wrócił do stacji.

Enoch wstał z za biurka i zaniósł księgę zapisów na półkę. Odwrócił się i stał niezdecydowany. yle miał do zrobienia. Powinien przeczytać gazety. Na bieżąco prowadzić dziennik. W ostatnim numerze *Rocznika Badań Geograficznych* było kilka rozpraw, do których powinien zajrzeć Ale nie miał na nic ochoty. Tyle spraw musiał przemyśleć, tyle miał zmartwień, tyle trosk. Nadal go obserwowano. Stracił ludzi-cienie. A świat parł do wojny.

Właściwie nie powinien był przejmować się światem. W każdej chwili mógł się go wyrzec, odciąć się od ludzkości. Gdyby nie wychodził na zewnątrz, nie otwierał drzwi, nie robiłoby mu różnicy, do czego dąży świat i co się może stać. Przecież miał własny świat. I to większy, niż mógłby się komukolwiek przyśnić. Nie potrzebował Ziemi.

Podszedł do wyjścia, wypowiedział formułę i przejście otwarło się. Wszedł do przybudówki. Przejście zamknęło się za nim.

Przeszedł za róg domu i usiadł na schodkach prowadzących na ganek.

„Tutaj wszystko się zaczęło” – pomyślał.

Siedział tak w letni dzień, dawno temu, kiedy nagle gwiazdy dosięgły go z przepastnych głębin kosmosu i ich wybór padł na niego. Słońce skłaniało się ku zachodowi, wkrótce miał nastać wieczór. Upał już zelżał i chłodny wietrzyk pełzył w dolinie w stronę koryta rzeki. Za polami, na skraju lasu krążyły wrony na tle nieba, głośno kracząc.

Ciężko będzie zamknąć drzwi i nigdy ich nie otwierać. Niełatwo wyrzec się dotyku słońca i wiatru, zapachu zmiennych pór roku na Ziemi. Człowiek nie jest na to przygotowany. Nie wtopił się jak dotąd w stworzone przez siebie środowisko, nie potrafił więc całkowicie zrezygnować z warunków życia na ojczystej planecie. Dla pełni jego człowieczeństwa niezbędne były słońce, ziemia i wiatr.

„Powinienem to robić częściej – myślał Enoch. – Wychodzić i siadywać tutaj, nic nie robić, po prostu patrzeć. Widzieć drzewa, rzekę na zachodzie i błękit wzgórz Iowy na przeciwległym brzegu Missisipi, obserwować, jak wrony kołują na niebie i gołębie kroczą z powagą po dachu stodoły.

Warto robić tak co dzień, cóż bowiem znaczy postarzyć się o jedną godzinę? Nie ma potrzeby oszczędzać godzin, jeszcze nie teraz. Może nadejdzie taki czas, wówczas droga mi będzie każda godzina, minuta, nawet sekunda.”

Usłyszał szybkie kroki. Ktoś okrążał dom potykając się – prawdopodobnie był zmęczony.

Enoch poderwał się i wielkimi susami ruszył w stronę przybysza. Zbliżyła się do niego, potykając, z rozłożonymi ramionami. Wyciągnął ręce i pochwycił ją w objęcia.

– Lucy! – zawołał. – Lucy! Dziecko, co się stało?

Poczuł na dłoniach coś lepkiego, uniósł je do oczu i wtedy dostrzegł na nich krew – na sukience Lucy, z tyłu, widniała plama krwi. Porwał dziewczynę za ramiona i odsunął od siebie, by widzieć jej twarz. Była mokra od łez i przerażona, błagała bezgłośnie o pomoc.

Wyrwała mu się i odwróciła. Opuściła ramiączka sukienki, która zsunęła się do połowy pleców. Odsłonięte ciało było poorane długimi pręgami – cały czas sączyła się z nich krew.

Lucy podciągnęła sukienkę i znów stanęła twarzą do Enocha. Uczyniła błagalny gest i wskazała w dół wzgórza, na pole ciągnące się aż pod las. Ktoś się zbliżał, szedł wśród drzew; był już prawie na skraju dawnego pola. Lucy także musiała to widzieć, bo przyłgnęła do Enocha, drżąc, w poszukiwaniu obrony.

Wziął ją na ręce i biegiem ruszył do przybudówki. Wypowiedział formułę i przejście otwarło się, wpuszczając go do stacji. Usłyszał, jak ściana zamyka się za nim.

Przystanął – z Lucy Fisher na rękach – i wtem zdał sobie sprawę, że popełnił wielki błąd; gdyby zastanowił się, nie zrobiłby tego, nigdy by tak nie postąpił.

Poszedł za impulsem, zupełnie bezmyślnie.

Dziewczyna poprosiła, by ją obronił, więc zapewnił jej bezpieczeństwo – tutaj żadne siły na świecie nie mogły jej dosięgnąć. Ale ona była człowiekiem, a żaden człowiek – poza nim samym – nie miał prawa przekroczyć progu stacji. Stało się i nic nie można było na to poradzić.

Położył ją na sofie, potem cofnął się o krok. Usiadła i patrzyła na niego, próbując przywołać uśmiech na twarz, jak gdyby nie była pewna, czy wolno się śmiać w takim miejscu. Uniosła dłoń i próbowała obetrzeć łzy z policzków. Obiegła spojrzeniem pomieszczenie i jej usta otwarły się ze zdumienia.

Enoch przykucnął, uderzył lekko w sofę i pogroził palcem dziewczynie, mając nadzieję, że zrozumie, iż nie ma ruszać się z miejsca. Zatoczył koło ręką, wskazując wyposażenie stacji, i surowo pokręcił głową.

Wpatrywała się w niego zafascynowana, potem uśmiechnęła się i skinęła głową na znak zrozumienia.

Sięgnął po jej dłoń, położył na swojej i pogłaskał bardzo

delikatnie; chciał, by wiedziała, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko nie opuści stacji.

Teraz już uśmiechała się, najwyraźniej przestała się zastanawiać, czy wolno. Drugą ręką wskazała stolik do kawy, zastawiony mnóstwem dziwnych upominków.

Skinął głową, wzięła więc jeden z podarunków i zaczęła mu się przyglądać, obracając go w dłoniach.

Enoch wstał i poszedł po karabin.

Potem wyszedł naprzeciw nieznanemu, przed którym uciekała Lucy.

Przez pole szło dwoje ludzi. Zbliżali się do stacji. Enoch poznał Hanka Fishera, ojca Lucy. Kiedyś, parę lat temu, zamienił z nim kilka słów podczas jednego ze swoich spacerów. Hank tłumaczył się – raczej głupio i niepotrzebnie – że szuka krowy, która mu zginęła. Z jego ukradkowych spojrzeń Enoch wyczytał jednak jakieś ciemne sprawy.

Drugi mężczyzna był młodszy. Mógł mieć nie więcej niż szesnaście lat. Enoch pomyślał, że z całą pewnością jest to jeden z braci Lucy.

Stał na ganku i czekał.

Zauważył, że Hank niesie zwinięty bat i wiedział już, skąd wzięły się rany na plecach Lucy. Poczul gwałtowny przypływ gniewu, ale stłumił go w sobie. Lepiej poradzi sobie z Hankiem, jeśli zachowa spokój.

Fisherowie zatrzymali się o trzy kroki przed nim.

– Dzień dobry – odezwał się Enoch.

– Widział pan moją córkę? – spytał Hank.

– A jeśli tak, to co? – odparł Enoch.

– Ze skóry ją obedrę! – wrzasnął Hank, wymachując batem.

– W takim razie – rzekł Enoch – nie sądzę, by zdołał pan dowiedzieć się czegoś ode mnie.

– Ukrył pan ją! - wycedził Hank.

– Proszę sprawdzić – odparł Enoch.

Hank postąpił krok naprzód i zawahał się.

– Dostała, bo zasłużyła! – krzyknął. – I jeszcze oberwie.

Nikt, nawet rodzone dziecko, nie będzie rzucać na mnie uroków.

Enoch nie odpowiedział. Hank stał niezdecydowany.

– Wtrącała się – powiedział Hank. – Nie miała prawa się wtrącać. To nie jej zasmarkany interes.

Odezwał się chłopak:

– Akurat tresowałem Butchera. Butcher – wyjaśnił – to szczeniak, pies do polowania na szopy.

– Właśnie – powiedział Hank. – On nic złego nie robił. Chłopaki złapali zeszłej nocy młodego szopa. A jak namęczyli się przy tym. Roy wystawił go, to znaczy przywiązał do drzewa.

A Butchera miał na smyczy. Żeby szczeniak trochę powalczył z szopem. Bez niczyjej krzywdy. Zanim cośby sięstało, odciągnąłby psa i dał obu odpocząć. A potem znów by go poszczuł.

– To najlepszy na świecie sposób – odezwał się Roy. – Tak uczy się psa polować na szopy.

– To prawda – stwierdził Hank. – Po to chłopaki złapali tego szopa.

– Musieliśmy podszkolić Butchera – rzekł Roy.

– No dobrze – powiedział Enoch – ale co to ma wspólnego z Lucy.

– Wtrąciła się – wyjaśnił Hank. – Chciała przerwać tresurę.

Próbowała odciągnąć Butchera.

– Jak na niemowę – wtrącił Roy – to ona jest ździebko za harda.

– A ty się zamknij – warknął Hank, odwracając się w stronę chłopaka.

Roy zamruczał coś pod nosem i cofnął się. Hank zwrócił się znów do Enocha:

– Roy przewrócił ją. Nie powinien był. Mógł bardziej uważać.

– Ja nie chciałem – bronił się Roy. – Po prostu machnąłem ręką, żeby ją odgonić od Butchera.

No tak – ciągnął Hank – machnął trochę za mocno. Ale czy to powód, żeby od razy zwijać Butchera w kłębek, tak że już nie mógł walczyć z szopem. Nie tknęła go nawet palcem, a zwinęła w kłębek: Nie mógł nawet mrugnąć. Więc Roy się wściekł. Pan nie wściekłby się? – zwrócił się z pytaniem do Enocha.

– Nie sądzę – odrzekł Enoch. – Ale w końcu ja nie zajmuję się psami.

Hanka zdumiał brak zrozumienia ze strony Enocha. Ciągnął jednak dalej:

– Roy naprawdę się na nią wściekł. To on wychował Butchera. Myślał, że będzie z niego dobry pies. On nie pozwoli, żeby mu ktoś zwijał psa w kłębek, nawet własna siostra. Pogonił za nią, a ona jego też zwinęła w kłębek, tak samo jak Butchera.

W życiu nie widziałem czegoś takiego. Roy po prostu zeszywniał, a potem zwałił się na ziemię; nogi miał podkurczone, rękami objął kolana i tak leżał zwinięty na ziemi. A obok Butcher, tak samo. Ale temu szopowi to nic nie zrobiła. Nie zwinęła go w żaden kłębek. Zawzięła się tylko na swoich.

– To nie bolało – powiedział Roy. – Wcale nie bolało.

– Ja siedziałem obok – kontynuował Hank – i plotłem, o, ten bat na byki. Wystrzepił się w końcu, trzeba było naprawić.

I wszystko widziałem, ale nie zrobiłem nic, dopóki Roy nie zwałił się na ziemię. I wtedy sobie powiedziałem: dosyć tego.

Ja tam nie lubię się wtrącać, nie mam nic przeciwko zaklinaniu kurzajek czy innym bzdurom. Takie rzeczy potrafi wielu ludzi.

To nie wstyd. Ale zwijanie psów i ludzi w kłębek...

– Więc uderzył ją pan batem – powiedział Enoch.

– Zrobiłem, co trzeba – odparł Hank poważnym tonem. – Nie będę trzymał czarownicy w domu, co to, to nie. Przyłożyłem jej parę razy, a ona po swojemu stroiła miny, żebym niby przestał. Ale robiłem, co trzeba, i oberwała jeszcze. Gdyby dostała za swoje, wybiłbym jej to z głowy. Wtedy rzuciła na mnie urok. Tak jak na Roya i Butchera, tylko inaczej. Odjęła mi wzrok – własnego ojca oślepiła! Nic nie widziałem. Potykałem się, latając po podwórku, darłem się i trzymałem za oczy. A potem tamci doszli do siebie, a ona uciekła. Widziałem, jak biegnie przez las na wzgórze. Roy i ja pobiegliśmy za nią.

– I myślicie, że ją tu ukrywam?

– Jestem pewien – rzekł Hank.

– W porządku – powiedział Enoch. – Możecie się rozejrzeć.

– Co, myśli pan, że nie? – warknął Hank. – Roy, idź do stodoły. Może tam siedzi.

Roy skierował się w stronę stodoły. Hank wszedł do przybudówki, opuścił ją prawie natychmiast i poczłapał do chylącego się ze starości kurnika.

Enoch czekał z karabinem wspartym na ramieniu. Zdawał sobie sprawę, że wpadł w tarapaty, i to najgorsze z dotychczasowych. Z facetem pokroju Hanka Fishera nie było żadnej dyskusji. Jedyne, co można było zrobić, to czekać, aż mu przejdzie złość.

Wrócili obaj.

– Nigdzie jej nie ma – powiedział Hank. – Musi być w środku.

Enoch pokręcił głową.

– Do tego domu nikt nie wejdzie.

– Roy – rzucił Hank – wejdź na te schody i otwórz drzwi.

Roy spojrział na Enocha z przestraczeniem.

– Proszę bardzo – powiedział Enoch.

Roy powoli zbliżył się do schodów i wszedł na ganek. Znalazłszy się przy drzwiach, położył rękę na gałce i pokręcił. Spróbował jeszcze raz. Odwrócił się.

– Tato! – zawołał..– Nie mogę. Nie mogę otworzyć.

– Do diabła – zaklął Hank. – Ty nic nie umiesz!

Hank pokonał schody dwoma skokami. Chwycił gałkę i gwałtownie szarpnął. Spróbował jeszcze raz i znowu. Ze złością spojrzął na Enocha.

– Co jest?! – wrzasnął.

– Mówiłem przecież, że tam nie można wejść.

– Nie można?! – ryknął Hank. – Poczekaj!

Rzucił Royowi bat, zszedł z ganku i ruszył ciężkim krokiem do sterty drewna z boku przybudówki. Wyszarpnął z pieńka siekierę o dwóch ostrzach.

– Ostrożnie z tą siekierą – przestrzegł go Enoch. – Mam ją od dawna i zależy mi na niej.

Hank nie odpowiedział. Wszedł na ganek i stanął przed drzwiami.

– Odejdź – warknął do Roya. – Muszę się zamachnąć.

Roy cofnął się.

– Niech pan zaczeka! – zawołał Enoch. – Chce pan porąbać te drzwi?

– Zgadza się – odparł Hank.

Enoch pokiwał głową z powagą.

– No i co? – spytał Hank.

– Nie mam nic przeciwko. Niech pan próbuje.

Hank ustawił się odpowiednio, mocno ścisnął stylisko siekiery. Stal błysnęła w górze ponad jego głową, potem w momencie uderzenia.

Stalowe ostrze grzmotnęło w drzwi i odbiło się. Tnąc

powietrze, runęło w dół. Wbiło się tuż obok stopy rozkraczonego Hanka, który na skutek siły uderzenia wykonał półobrót.

Hank stał oniemiały ze zdumienia, z wyciągniętymi rękami, w których wciąż ścisnął trzonek siekiery. Wpatrywał się w Enocha.

– Niech pan próbuje dalej – zachęcił Enoch.

Hank zapłonął gniewem. Twarz poczerwieniała mu ze złości.

– Jak mi Bóg miły! – wrzasnął.

Znow złożył się do uderzenia, ale tym razem wyprowadził je nie w drzwi, lecz obok, w okno.

Rozległ się wysoki, przenikliwy dźwięk i siekiera poszybowała w powietrze. Hank zrobił unik. Siekiera spadła na podłogę ganku. Ostrze wyszczerbiło się, okno zaś wyglądało na nietknięte. Na szybie nie było nawet zadrapania. Hank stał chwilę, patrząc tępo na uszkodzoną siekierę, jakby nie mógł w to wszystko uwierzyć.

W milczeniu wyciągnął rękę; Roy włożył w nią bat na byki.

Obaj zeszli ze schodów.

Zatrzymali się u stóp ganku i spoglądali na Enocha. Hank zacisnął rękę na rękojeści bata.

– Na pana miejscu nie próbowałbym – powiedział Enoch. – Jestem szybki. – Poklepał kolbę. – Nim zdąży pan machnąć batem, odstrzelę panu rękę. Hank oddychał ciężko.

– W panu siedzi czart, Wallace – rzekł. – I w niej tak samo.

Razem coś knujecie. Włóczycie się po lesie. Pewnie się tam spotykacie.

Enoch czekał, nie spuszczając oka z obu Fisherów.

– Boże, zlituj się! – krzyknął Hank. – Moja rodzona córka jest czarownicą!

– Sądzę, że powinien pan wrócić do domu – powiedział Enoch.

– Jeśli przypadkiem spotkam Lucy, odprowadzę ją.

Nie poruszyli się. Hank wrzasnął:

– Trzyma pan tu gdzieś moją córkę i zapłaci za to!

– W każdej chwili – odparł Enoch – byle nie teraz. – Zniecierpliwiony, wykonał ruch karabinem. – Jazda stąd. I nie ważcie się tu wracać.

Chwilę się wahali, próbując *przejrzeć* Enocha. Po czym wolno odwrócili się i ramię przy ramieniu ruszyli w dół zbocza.

„Powinienem był ich zabić – pomyślał Enoch. – Nie zasługują na to, by żyć.” Spojrzał na karabin; zauważył, że ściska go, aż zbieleły mu kostki palców na ciemnobrązowym drewnie kolby. Odetchnął kilka razy głęboko, usiłując zapanować nad gniewem, który w nim wrzał, gotów wybuchnąć. Gdyby zostali tu choć chwilę dłużej, gdyby nie kazał im odejść, z pewnością dałby się ować narastającej wściekłości. Nie miał pojęcia, jak udało mu się zapanować nad gniewem. Całe szczęście, że się opanował. To, co się stało, nie wróżyło jednak nic dobrego.

Nazwał go szaleńcem. Powiedzą, że miał zamiar do nich strzelać. Mogą nawet rozgłosić, że porwał Lucy i uwięził wbrew jej woli. Nic ich nie powstrzyma od wpędzenia go w tarapaty.

Nie miał żadnych złudzeń co do ich zamiarów; dobrze znał ten typ ludzi – mściwych w swej małości – małe złośliwe insekty rodzaju ludzkiego.

Stał przy ganku. Patrzał na oddalających się Fisherów i dziwił się, jak Lucy – taka wspaniała dziewczyna – mogła wywodzić się od podobnych parszywców. Być może jej kalectwo odgradzało ją od tych ludzi niczym wał ochronny i nie pozwalało stać się jednym z nich. Możliwe, że gdyby rozmawiała z nimi lub chociaż słuchała ich, z czasem stałaby się tak samo ograniczona i zła jak oni.

Popełnił wielki błąd, mieszając się w ich sprawy. Człowiek pełniący taką funkcję jak on nie miał żadnego powodu angażować się w jakiegokolwiek awantury. Zbyt wiele było do

stracenia; nie powinien był się wtrącać.

Ale czy mógł postąpić inaczej? Czy mógł odmówić Lucy obrony, kiedy ujrzał plamę krwi na jej sukience od zadanych razów? Czy naprawdę powinien był zignorować błagalne spojrzenie dziewczyny?

Mógł postąpić inaczej. Znalazłby się inny, mądrzejszy sposób rozegrania całej sprawy. Ale nie miał czasu do namysłu. Zdążył jedynie zanieść Lucy w bezpieczne miejsce i wyjść tamtym na spotkanie.

Teraz, kiedy o tym rozmyślał, doszedł do wniosku, że o wiele lepiej by zrobił, gdyby w ogóle nie wyszedł ze stacji. Gdyby został wewnątrz, nic by się nie stało.

Odwrócił się i ruszył powoli do stacji. Lucy siedziała na sofie, w rękach trzymała błyszczący przedmiot. Wpatrywała się weń jak urzeczona; na jej twarzy malował się taki sam wyraz napięcia i czujności, jak tamtego ranka, kiedy trzymała na dłoni motyla.

Położył karabin na biurku. Stał cicho, musiała jednak wyczuć jego obecność, bo szybko podniosła oczy. Po chwili powędrowała spojrzeniem ku błyszczącemu przedmiotowi trzymanemu w dłoniach.

Miała w rękach piramidę kul. Wszystkie kule obracały się powoli, rzucając błyski każda w swoim kolorze, jak gdyby wewnątrz było źródło miękkiego, ciepłego światła.

Enoch wstrzymał oddech na tak piękny widok. Nadal nie miał pojęcia, jakie przeznaczenie ma piramida kul. Badał ów przedmiot setki razy, łamał sobie nad nim głowę, lecz nic nie odkrył. Jego zdaniem piramida była dziełem sztuki, choć podejrzewał, że jednak czemuś służyła i można ją było jakoś uruchomić.

I Lucy uruchomiła ją. Setki razy próbował znaleźć sposób,

a Lucy ledwo wzięła piramidę do ręki...

Dostrzegł zachwyty odbijający się na twarzy dziewczyny. Czy to możliwe, że знаła przeznaczenie tego przedmiotu?

Zbliżył się i dotknął jej ramienia. Podniosła wzrok; jej oczy jaśniały radością i podnieceniem.

Wskazał piramidę; próbował spytać Lucy, co to może być. Ale nie rozumiała go. Albo może rozumiała, tylko zdawała sobie sprawę, jak trudno byłoby opisać to, co wiedziała. Dłonią wykonała trzepoczący, pełen szczęścia gest, wskazując stolik zastawiony mnóstwem rupieci, i chyba miała ochotę się roześmiać, w każdym razie na jej twarzy malował się uśmiech.

„Po prostu dziecko – pomyślał Enoch – z pudłem pełnym nowych, zadziwiających zabawek. Czy taka właśnie jest? Czy cieszy się tylko dlatego, że odkryła nagle całe piękno i egzotykę przedmiotów zgromadzonych na stoliku?”

Odwrócił się zrezygnowany i podążył do biurka. Podniósł karabin i zawiesił go na haku.

Dziewczyna nie powinna przebywać w stacji. Żaden człowiek, prócz niego samego, nie mógł znajdować się w środku. Przyniósł ją tutaj i złamał tym samym niepisane porozumienie zawarte z obcymi, którzy powierzyli mu funkcję zawiadowcy.

Chociaż... Lucy tak naprawdę nie dotyczył zakaz. Nigdy przecież nie powie, co widziała.

Nie mógł jej tu zostawić. Musiał zabrać ją do domu. Jeśli tego nie zrobi, rozpoczną się zakrojone na szeroką skalę poszukiwania zaginionej dziewczyny – pięknej i głuchoniemej.

Wieść o zaginięciu głuchoniemej dziewczyny najdalej za dwa dni ściągnie dziennikarzy. Będą o tym trąbiły gazety, radio i telewizja, a lasy zaroją się setkami poszukiwaczy. HankFisher opowie o tym, jak próbował włamać się do domu i nie dał rady,

wtedy inni zechcą spróbować, a nagroda będzie wysoka.

Enochowi zrobiło się gorąco na myśl o tym. Tyle lat schodził ludziom z drogi, tyle lat trzymania się na uboczu pójdzie na marne. Dziwny, samotny dom na wzgórzu stanie się zagadką dla świata, będzie prowokował i nęcił różnych szaleńców.

Podszedł do szafki z lekami po maść gojącą z zestawu leków dostarczonych przez Galaktykę Centralną. Otworzył małe pudełeczko. Zostało więcej niż połowa. Stosował lek od lat po trochu. Nie było nawet potrzeby używać więcej.

Podążył do sofy, na której siedziała Lucy, i stanął za oparciem. Pokazał dziewczynie, co ma w ręku, i na migi wyjaśnił, do czego to służy. Opuściła ramiączka sukienki, a on pochylił się, by obejrzyć pręgi.

Krwawienie ustało, lecz podrażnione ciało było wciąż zaczerwienione.

Zaczął delikatnie wcierać maść.

„Uleczyła motyla – pomyślał – ale nie potrafi uleczyć samej siebie.”

Na stoliku przed Lucy piramida kul nadal słała błyski i migotała, rzucała mrugające kolorowe cienie po całym pokoju.

To działało, ale czemu właściwie służyło?

Wreszcie zaczęło działać, ale nic w związku z tym się nie stało.

Ulisses przybył, gdy zmrok pogłębiał się w noc. Enoch i Lucy właśnie skończyli jeść kolację. Siedzieli przy stole, kiedy rozległy się kroki.

Stanął w cieniu i Enoch na jego widok pomyślał, że bardziej niż zwykle wygląda jak okrutny klaun. Jego giętkie, smukłe ciało przypominało okopcony, ściemniały zamsz. Łaciata skóra lekko lśniła bladym blaskiem, ostre rysy kwadratowej twarzy, gładka łysina na głowie i płaskie, ostro zakończone uszy, mocno przylegające do głowy, nadawały mu wygląd złośliwy i przerażający.

„Jeśli ktoś nie zna jego łagodnego usposobienia – pomyślał Enoch – może tak się wystraszyć samym wyglądem, że w jednej chwili osiwieje.”

– Czekaliśmy na ciebie – rzekł Enoch. – Kawa zaraz będzie gotowa.

Ulisses powoli zrobił krok naprzód i zatrzymał się.

– Ktoś z tobą jest. Człowiek, jak sędzę.

– Nie ma obawy – odrzekł Enoch.

– Innego rodzaju. Żeńskiego, nieprawdaż? Znalazłeś sobie partnerkę?

– Nie – odpowiedział Enoch. – Ona nie jest moją partnerką.

– Przez lata postępowałeś rozsądnie – rzekł Ulisses. – Przy twojej funkcji partnerka to nie najlepszy pomysł.

– Nie ma powodu do niepokoju. Ona jest upośledzona. Nie może się porozumiewać. Nie słyszy i nie mówi.

– Upośledzona?

– Tak, od urodzenia. Nigdy nie słyszała ani nie mówiła. Nic nie powie.

– A język gestów?

– Nie zna języka gestów. Nie chciała się uczyć.

– To twoja przyjaciółka.

– Od kilku lat – potwierdził Enoch. – Przyszła, bym ją obronił. Jej ojciec zbił ją batem.

– Ojciec wie, że ona tu jest?

– Podejrzewa, ale nie jest pewien.

Ulisses powoli wyłonił się z mroku i stanął w świetle. Lucy spoglądała na niego; na jej twarzy nie malowało się przerażenie. Spojrzenie miała spokojne, bez cienia lęku.

– Nie boi się mnie – powiedział Ulisses. – Nie ucieka ani nie krzyczy.

– Nie może krzyczeć, nawet gdyby chciała.

– Jestem chyba w pierwszej chwili odrażający dla każdego człowieka.

– Ona widzi nie tylko powierzchowność, widzi też twoje wnętrze.

– A gdybym uklonił się jak człowiek, nie przestraszę jej?

– Myślę, że będzie zachwycona.

Ulisses uklonił się ceremonialnie: zgiął się w pasie, trzymając rękę na skórzastym brzuchu.

Lucy zaśmiała się, klaszcząc w dłonie.

– Widzisz?! – zawołał Ulisses uszczęśliwiony. – Chyba mnie polubi.

– Usiądź wreszcie – powiedział Enoch. – Napijemy się kawy.

– Zapomniałem o kawie. To dlatego, że spotkałem drugiego człowieka.

Usiadł po tej stronie, po której stała trzecia filiżanka, filiżanka dla niego.

Enoch ruszył po kawę, ale Lucy wyręczyła go; wstała i poszła po czajnik.

– Ona rozumie? – spytał Ulisses.

Enoch potrząsnął głową.

– Usiadłeś przy, filiżance, a ta była pusta.

Lucy nalala kawy, potem wróciła na swoje miejsce.

– Zostanie z nami? – spytał Ulisses.

– Intryguje ją stolik z błyskotkami. Jedną uruchomiła.

– Chcesz, by przebywała w stacji?

– Nie może tu zostać. Rozpoczną się poszukiwania. Muszę odprowadzić ją do domu.

– To mi się nie podoba – stwierdził Ulisses.

– Mnie też. Zapewne nie powinienem był jej tu przyprowadzać. Ale wtedy wydawało mi się, że to jedyne wyjście. Nie przemyślałem tego, nie miałem na to czasu.

– Nie uczyniłeś nic złego – zapewnił miękko Ulisses.

– Nie będziemy mieli przez nią kłopotów – rzekł Enoch. – Ona przecież nie może...

– Nie o to chodzi. Komplikuje nam sprawę, a ja chciałbym uniknąć dalszych komplikacji. Przybyłem poinformować cię, że mamy problemy, Enochu.

– Problemy? Nie było przecież żadnych problemów.

Ulisses podniósł filiżankę i pociągnął długi łyk.

– Ależ to dobre – powiedział. – Wezmę ze sobą ziarnko i zaparzę w domu. Ale pewnie nie będzie już tak smakować.

– Jakie problemy?

– Pamiętasz Weganina, który umarł wiele waszych lat temu?

Enoch przytaknął.

– Mglisty.

– Ta istota miała swoje imię...

Enoch roześmiał się.

– Nie podoba ci się nasz sposób nazywania.

– My nie czynimy tak.

– To określenie jest znakiem moich uczuć.

– Pochowałeś Weganina.

– Na cmentarzu rodzinnym. Jak kogoś bliskiego. Odczytałem nad grobem werset z Biblii.

– Bardzo pięknie. Tak być powinno – powiedział Ulisses. – Bardzo dobrze zrobiłeś. Tylko że ciało zabrano.

– Zabrano?! Niemożliwe!

– Zabrano z grobu.

– Jesteś pewien? Skąd wiesz?

– Nie ja to odkryłem, lecz Weganie. Oni wiedzą.

– Dzielą ich lata świetlne...

I nagle Enoch zachwiał się w swej pewności. Owej nocy, gdy umarł ów Mglisty, Enoch zawiadomił Galaktykę Centralną i dowiedział się, że Weganie znali moment śmierci starca. Nie było potrzebne świadectwo zgonu. Wiedzieli, na co umarł. To wszystko wydawało się niemożliwe, ale już tyle niemożliwych rzeczy objawiła Galaktyka, że w końcu człowiek nie wiedział, na czym stoi.

Czy to możliwe, by mieszkańcy Wegi utrzymywali ze sobą jakiś rodzaj kontaktu duchowego? Może istniało coś w rodzaju centralnego biura do spraw ludności, które miało oficjalne połączenia z wszystkimi Weganami, znało miejsce pobytu każdego mieszkańca planety, wiedziało, jak się on czuje i co robi?

To było całkiem możliwe; nie wykraczało poza zdumiewające rzeczy, spotykane na każdym kroku w Galaktyce. Ale kontakt

utrzymywany ze zmarłym?

– Ciało zniknęło – oznajmił Ulisses. – To prawda. Obwiniają ciebie.

– Mieszkańcy Wegi?

– Tak. I Galaktyki.

– Uczyniłem, co mogłem – zapewnił Enoch. – Ich wymagania zostały spełnione. Zgodnie z literą prawa Wegi. Oddałem zmarłemu cześć – od siebie i od mojej planety. To niesprawiedliwe, że czynią mnie odpowiedzialnym. Poza tym nie wierzę, że ciało naprawdę zniknęło. Nikt nie mógł go zabrać. Nikt o nim nie wiedział.

– Masz rację, ale to jest ludzkie rozumowanie – odrzekł Ulisses.

– Weganie inaczej podchodzą do sprawy. W tym przypadku Galaktyka Centralna będzie popierać Węgę.

– Tak się składa, że przybysze z Wegi przyjaźnią się ze mną – rzekł Enoch gniewnie. – Nie spotkałem wśród nich nikogo, z kim nie potrafiłbym się dogadać. Wyjaśnię im wszystko.

– Gdyby chodziło tylko o mieszkańców Wegi – rzekł Ulisses – nie wątpię, że dałbyś radę. Nie miałbym zmartwienia. Ale sytuacja z bliska wygląda o wiele gorzej. Pozornie całe zdarzenie wydaje się błahostką, ale w grę wchodzi coś więcej. Weganie na przykład wiedzieli już od pewnego czasu o zabraniu ciała i oczywiście niepokoiłi się, ale tego nie rozgłaszali.

– Nie musieli rozgłaszać. Mogli przyjść z tym do mnie. Nie wiem, co mogło się stać...

– Nie milczeli ze względu na ciebie. Z innego powodu.

Ulisses dopił kawę i napełnił ponownie filiżankę. Dolał trochę kawy do wypitej do połowy kawy Enocha i odstawił czajnik.

Enoch czekał.

– Może nie wiesz tego, ale w momencie zakładania tej stacji

wiele ludów galaktycznych było przeciwnych temu. Przytaczano liczne argumenty, jak we wszystkich podobnych sytuacjach, jednak główną przyczyną – jeśli się temu bliżej przyjrzeć – jest stałe współzawodnictwo. Powiedziałbym, że sytuacja przypomina ciągle kłótnie i podchody na Ziemi w celu zdobycia przewagi ekonomicznej jednej grupy nad inną albo jednego narodu nad drugim. Oczywiście, w Galaktyce rzadko zdarzają się powody w postaci czynników ekonomicznych. Jest tyle innych spraw poza ekonomią. Enoch przytaknął.

– Zauważyłem. Jakiś czas temu. Ale nie przywiązywałem do tego wagi.

– W dużym stopniu to kwestia kierunku – ciągnął Ulisses. – Kiedy Galaktyka Centralna rozpoczęła ekspansję w głąb spiralnego ramienia, oznaczało to brak czasu i środków na badania w innych kierunkach. Istnieje duża grupa cywilizacji, które od wieków marzą o zbadaniu gromad kulistych. Ma to pewien sens, rzecz jasna. Nasza technika daje nam możliwość takich skoków w głąb kosmosu. I jeszcze jedno: gromady kuliste wydają się całkowicie pozbawione pyłu i gazów, dlatego po dotarciu do nich moglibyśmy je szybciej przemierzać niż inne części Galaktyki. Ale cała sprawa pozostaje tylko w sferze spekulacji, gdyż nie wiemy, co można by tam znaleźć. Być może, mimo włożonych wysiłków i straconego czasu, znaleźlibyśmy niewiele lub zgoła nic, poza nowymi terenami. A tych mamy w Galaktyce pod dostatkiem. Tak, gromady kuliste wciąż pociągają niektóre cywilizacje, a dokładniej – pewien typ umysłów.

Enoch pokiwał głową.

– Potrafię zrozumieć. To byłaby pierwsza wyprawa poza Galaktykę. A może pierwszy niewielki krok na drodze ku innym

galaktykom.

Ulisses spojrział na niego.

– Więc ty też. Mogłem się tego spodziewać.

Enoch odparł z dumą:

– Tak, należę do takiego typu umysłów.

Cóż, w każdym razie istnieje frakcja zwolenników gromad, która ostro walczyła o swoje, w momencie gdy ruszyliśmy tutaj, w tę stronę. Rozumiesz – z pewnością rozumiesz – to są zaledwie początki ekspansji w tej okolicy. Mamy około dziesięciu stacji, a potrzebujemy stu. Wieki upłyną, zanim sieć połączeń będzie kompletna.

– A więc ta frakcja wciąż walczy – powiedział Enoch. – Wciąż jest możliwe, że ekspansja w głąb spiralnego ramienia zostanie przerwana.

– Tak. To właśnie mnie niepokoi. Bo oni są gotowi wykorzystać incydent z zaginionym ciałem jako argument emocjonalny przeciw rozwijaniu tutejszych połączeń. Przyłączają się do nich inne ugrupowania. Widzą większą szansę osiągnięcia swoich celów w zniszczeniu całego przedsięwzięcia.

– Zniszczeniu?

– Tak, zniszczeniu. Kiedy tylko incydent z ciałem stanie się głośny, podniosą krzyk, że planeta tak barbarzyńska jak Ziemia nie jest dobrą lokalizacją. Będą domagali się porzucenia stacji.

– Nie mogą tego zrobić!

– Mogą – rzekł Ulisses. – Powiedzą, że utrzymywanie stacji na planecie, na której plądrowane są groby, jest niegodne i niebezpieczne; na planecie, która nie da czcigodnym zmarłym spoczywać w pokoju. Jest to rodzaj bardzo emocjonalnego argumentowania, które znajdzie szeroki posłuch i poparcie w niektórych rejonach Galaktyki. Mieszkańcy Wegi robili, co

mogli.

Usiłowali wyciszyć sprawę dla dobra przedsięwzięcia. Nigdy przedtem nie czynili niczego podobnego. To dumny lud i wrażliwy na obrazę czci – może nawet bardziej od innych – a jednak w imię wyższego dobra chcieli pogodzić się z obrazą. I pogodziliby się, gdyby sprawa nie wyszła na jaw. Nastąpił jakiś przeciek; z pewnością to zręczna robota szpiegowska. A nie mogą sobie pozwolić na utratę twarzy, gdy sprawa nabrała rozgłosu. Weganinowi, który ma tu przybyć dziś wieczór, powierzono misję wręczenia noty protestacyjnej.

– Mnie?

– Tobie i jednocześnie całej Ziemi.

– Ale Ziemia nie ma z tym nic wspólnego. Nawet nic o tym nie wie.

– Oczywiście, że nie wie. Dla Galaktyki Centralnej ty jesteś Ziemią. Tyją reprezentujesz.

Enoch potrząsnął głową. Było szaleństwem tak myśleć. Uznał jednak, że nie powinien być zaskoczony. Tego sposobu myślenia winien był się spodziewać. Zbyt wąsko spoglądał na różne sprawy. Wpojono mu ludzki sposób rozumowania, który tkwił w nim tak głęboko, że każdy niezgodny z tym rozumowaniem sposób myślenia musiał automatycznie wydawać się błędny.

Pomysł opuszczenia ziemskiej stacji był błędem. Nie miało to żadnego sensu. Porzucenie stacji nie zniszczy całości przedsięwzięcia. Choć z całą pewnością zniweczy nadzieję dla ludzkości, jaką Enoch żywił.

– Nawet jeśli będziecie zmuszeni opuścić Ziemię – powiedział – możecie udać się na Marsa i tam zbudować stację. Skoro stacja w tym układzie słonecznym musi istnieć, są jeszcze inne planety.

– Nic nie rozumiesz – odrzekł Ulisses. – Atak nie jest

skierowany wyłącznie przeciwko tej stacji. Ona stanowi jedynie pretekst. Chodzi o zniweczenie całego przedsięwzięcia, odzyskanie czasu i środków na nie przeznaczonych do innych celów.

Jeżeli zmuszą nas do opuszczenia jednej stacji, stracimy wiarygodność. Zacznie się badanie wszystkich naszych dążeń i osądów.

– Zapewne nikt nie potrafi przewidzieć, która frakcja zwycięży, gdy przedsięwzięcie zostanie przekreślone – zauważył Enoch. – Kwestia spożytkowania czasu i energii stanie się przedmiotem otwartej dyskusji. Mówiłeś o licznych grupach interesu, które konsolidują się przeciwko nam. Załóżmy, że wygrają. Wtedy zaczną walczyć ze sobą.

Oczywiście, tak się stanie – przyznał Ulisses. – Ale w takim przypadku każda grupa będzie miała szansę osiągnąć to, o co jej chodzi, albo przynajmniej będzie mogła trwać w złudzeniu, że otworzyła się taka szansa. Natomiast w tej chwili nie mają żadnych szans. By którakolwiek grupa mogła zacząć żyć nadzieją, nasze przedsięwzięcie musi zostać pogrzebane. Pewna frakcja z odległego miejsca Galaktyki chce wyruszyć w słabo zaludnione okolice na obrzeżu. Wciąż wierzą w podanie, według którego pochodzą od przybyszów z innej galaktyki, którzy wylądowali na skraju, a potem wędrowali w głąb przez wiele galaktycznych lat. Wydaje im się, że jeśli zdołają dotrzeć do obrzeża, przemienia podanie w prawdę historyczną ku swej większej chwale. Inna znów frakcja pragnie wypuścić się do małego spiralnego ramienia z powodu tajemniczego przekazu, głoszącego, jakoby wiele eonów temu ich przodkowie odebrali niemożliwą do rozszyfrowania wiadomość, która ich zdaniem nadeszła właśnie z tamtego kierunku. Z czasem przekaz ten

obrósł w legendę, a oni do dziś są przekonani, że w małym ramieniu galaktyki odnajdą rasę intelektualnych gigantów. I naturalnie zawsze są naciski, by głębiej zbadać jądro Galaktyki. Musisz zrozumieć, że myśmy dopiero zaczęli, że Galaktyka jest wciąż w dużym stopniu nie zbadana, że tysiące ras, które stworzyły Galaktykę Centralną, to pionierzy. A w rezultacie Centralna podlega rozmaitym naciskom.

– Mówisz tak, jakbyś tracił nadzieję na utrzymanie stacji na Ziemi – zauważył Enoch.

– Istotnie, niemal straciłem nadzieję – odparł Ulisses. – Ale jeśli chodzi o twoją osobę, będziesz mógł wybrać. Możesz pozostać i zwyczajnie żyć na Ziemi albo otrzymasz przydział do innej stacji. Galaktyka Centralna liczy, że zechcesz przystać do nas.

– Widzę, że nadchodzi czas decydującego wyboru.

– Obawiam się, że tak – rzekł Ulisses. – Przykro mi, Enochu, że przynoszę złe wieści.

Enoch siedział w bezruchu wstrząśnięty. Złe wieści! Gorzej niż złe. To koniec wszystkiego.

Czuł, jakby coś się zawaliło, nie tylko w jego świecie: upadła nadzieja dla Ziemiaków. Bez stacji Ziemia znów będzie tkwić w galaktycznym zaścianku; utraci nadzieję na pomoc, pozostanie nieznana i nieświadoma tego, co w Galaktyce jest i czeka. Samotny i nagi ludzki ród podąży dalej swoją drogą, niezdarnie i na oślep, w ciemną przyszłość.

Mglisty był już niemłody. Otaczająca go złota poświata straciła świeżość. Łagodne światło, głębokie i pełne, nie oślepiało jak aura niedojrzałego wieku. Zachowywał niewzruszoną godność, a jaskrawy czub – ni to włosy, ni pióra – jaśniał bielą niczym blask świętości. Jego łagodna twarz miała miękkie rysy, ta sama łagodność i miękkość u człowieka zaznaczyłaby się siateczką zmarszczek.

– Przykro mi – zwrócił się do Enocha – że spotykamy się w takiej sytuacji. Mimo wszystko, bez względu na okoliczności, miło mi cię poznać. Słyszałem o tobie. Nieczęsto się zdarza, że istota z nowej planety zostaje zawiadowcą. Z tego też powodu, młoda istota, jestem tobą zaintrygowany. Zastanawiałem się, jakim właściwie okażesz się stworzeniem.

– Nie musisz się go obawiać – powiedział Ulisses nieco ostrym tonem. – Ręczę za niego. Łączy nas od lat *przyjaźń*.

– Tak, zapomniałem – przyznał Mglisty. – To ty go znalazłeś. – Rozejrzył się po pomieszczeniu. – Jeszcze jeden – stwierdził. – Nie wiedziałem, że jest ich dwoje. Mówiono mi o jednym.

– To przyjaciółka Enocha – wyjaśnił Ulisses.

– W takim razie był kontakt. Kontakt z planetą.

– Nie, nie było kontaktu.

– W takim razie popełniono nieostrożność.

– Może. Ale wskutek okoliczności, w których wątpię, czy ty lub ja postąpilibyśmy inaczej.

Lucy wstała i ruszyła w stronę Mglistego cicho i powoli, jakby

płynęła.

Mglisty zwrócił się do niej w ogólnym języku:

– Miło mi cię poznać. Bardzo mi miło.

– Ona nie mówi – powiedział Ulisses. – Ani nie słyszy. Nie może porozumiewać się.

– A kompensacja? – spytał Mglisty.

– Tak sądzisz? – zainteresował się Ulisses.

– Jestem pewien.

Powoli postąpił naprzód, a Lucy czekała.

– Ono... ona – używacie formy żeńskiej – ona się nie boi.

Ulisses roześmiał się.

Nie boi się nawet mnie – powiedział.

Mglisty wyciągnął do niej rękę, a Lucy stała przez chwilę nieruchomo, potem podała dłoń i uścisnęła przypominające macki palce Mglistego.

Przez moment Enochowi zdawało się, że złocista poświata obejmuje swym blaskiem dziewczynę Ziemiankę. Zamrugał i złudzenie – jeśli to było rzeczywiście złudzenie – prysło; jedynie Mglisty stał w złotym blasku.

„Ja kie to dziwne – zastanawiał się Enoch – że dziewczyna nie obawia się ani Ulissesa, ani Mglistego. Czy naprawdę widzi coś poza powierzchownością, wyczuwa w tych istotach człowieczeństwo (na Boga, nawet teraz nie potrafię myśleć inaczej niż po ludzku)? Jeżeli to prawda, może ona nie jest tak naprawdę człowiekiem? Oczywiście, jest człowiekiem z pochodzenia i wyglądu, ale nie została ukształtowana przez ludzką kulturę; może jest tym, czym byłby człowiek, gdyby nie zagłuszyły go wzorce zachowania i osądu, które z biegiem lat zastygły w prawa określające postawy ludzkie?”

Lucy uwolniła rękę Mglistego i wróciła na sofę.

- Enochu Wallasie – powiedział Mglisty.
- Tak?
- Ona należy do twojej rasy?
- Tak, oczywiście.
- Jest zupełnie inna niż ty. Jak gdyby istniały dwie rasy.
- Nie ma dwóch ras. Jest tylko jedna.
- Czy wielu jest takich jak ona?
- Nie mam pojęcia.
- Może kawy? – zwrócił się Ulisses do Mglistego. – Czy napijesz się kawy?
- Kawy?
- Znakomity napój. Przynajmniej jedno wielkie osiągnięcie Ziemi.
- Nie kosztowałem jeszcze tego – rzekł Mglisty. – Nie sądzę, bym dał się skusić. – Z powagą zwrócił się do Enocha: – Czy wiesz, dlaczego tu jestem?
- Chyba tak.
- Żałuję, że powód jest właśnie taki. Jednak muszę...
- Jeśli wolno, proponowałbym przyjąć, że protest został już złożony – rzekł Enoch.
- Dlaczego nie? – poparł go Ulisses. – Sądzę, że nie ma potrzeby, byśmy wszyscy trzej musieli odgrywać tę dość przykrą scenę.
- Mglisty wahał się.
- Jeżeli uważasz, że jednak trzeba... – zaczął Enoch.
- Nie – powiedział Mglisty. – Będę usatysfakcjonowany, jeśli nie wypowiedziany protest zostanie przyjęty bez zastrzeżeń.
- Przyjmuję go – rzekł Enoch – pod jednym wszakże warunkiem: będzie mi wolno upewnić się, czy oskarżenie nie jest bezpodstawne. Muszę wyjść i zobaczyć.

– Nie wierzysz mi?

– Nie o to chodzi. Muszę po prostu sprawdzić. Nie mogę przyjąć protestu w imieniu własnym i mojej planety, dopóki nie uczynię przynajmniej tyle.

– Enochu – powiedział Ulisses – przybysz z Wegi jest ci przychylny. Nie tylko teraz, ale i zanim to się wydarzyło. Jego lud wytacza oskarżenie z największą niechęcią. Wiele przykrości doznali, by ochronić Ziemię i ciebie samego.

– I według waszych odczuć okażę niewdzięczność, jeśli nie przyjmę protestu i oskarżenia na podstawie słów przybysza z Wegi.

– Przykro mi, Enochu – rzekł Ulisses. – Właśnie to mam na myśli.

Enoch potrząsnął głową.

– Latami starałem się zrozumieć i dostosować do etyki i sposobu myślenia wszystkich tych, którzy przybywali do stacji. Odsunąłem na bok moje własne ludzkie odruchy. Próbowałem zrozumieć inne punkty widzenia, inne sposoby pojmowania; wiele z nich kłóciło się z moim. Cieszę się, że tak postępowałem, gdyż dzięki temu dane mi było wyjść poza ziemskie opłotki. Myślę, iż wiele skorzystałem. Ale to nie dotyczy Ziemi; doświadczałem wszystkiego sam. A teraz sprawa odnosi się także do innych Ziemi i muszę podejść do niej jak Ziemiąnin. W tym konkretnym przypadku jestem nie tylko zawiadowcą stacji galaktycznej.

Nie odpowiedzieli mu. Enoch czekał – milczenie przedłużało się.

W końcu odwrócił się i ruszył do drzwi.

– Zaraz wracam – powiedział. Wyrzekł formułę, po czym przejście zaczęło się otwierać.

– Chciałbym z tobą pójść. Jeżeli się zgodzisz – poprosił cicho Mglisty.

– Świetnie, chodźmy – odpowiedział Enoch.

Na zewnątrz było ciemno, więc Enoch zapalił latarnię. Mglisty przyglądał jej się uważnie.

– Materiał palny ze skamielin – wyjaśnił Enoch. – Pali się koniuszek nasączonego knota.

Mglisty spytał przerażony:

– Ale z pewnością znacie coś lepszego?

– Teraz mamy dużo lepsze – uspokoił go Enoch. – Po prostu jestem staroświecki.

Enoch szedł pierwszy, Mglisty o krok za nim. Latarnia rzucała niewielki krąg światła.

– To dzika planeta – stwierdził Mglisty.

– Tutaj dzika. W innych częściach ujarzmiona.

– Moja planeta podlega kontroli – powiedział przybysz. – Jest kontrolowana całkowicie.

– Wiem. Rozmawiałem z wieloma Weganami. Opisali mi waszą planetę.

Skierowali się do stodoły.

– Chcesz wrócić? – spytał Enoch.

– Nie – odrzekł Mglisty. – To radosne przeżycie. Czy te tam to dzikie rośliny?

– Nazywamy je drzewami – wyjaśnił Enoch.

– Wiatr wieje, jak chce?

– Tak. Na razie nie potrafimy kontrolować pogody.

Łopata stała przy drzwiach stodoły. Enoch podniósł ją i skierował się do sadu.

– Oczywiście wiesz, że ciała nie ma – powiedział Mglisty.

– Jestem na to przygotowany.

– Więc dlaczego?

– Bo muszę mieć pewność. Nie zrozumiesz tego, prawda?

– Powiedziałeś w stacji, że usiłowałeś nas zrozumieć. Może dla odmiany wreszcie któryś z nas powinien postarać się zrozumieć ciebie.

Enoch prowadził ścieżką przez sad. Doszli do płotu wokół cmentarza rodzinnego. Krzywo umocowana furтка stała otworem. Enoch wszedł przez nią, za nim Mglisty.

– Tutaj go pogrzebałeś?

– To cmentarz rodzinny. Leżą tu moja matka i ojciec. Pochowałem go obok nich.

Podał latarnię Mglistemu, a sam podszedł z łopataą do grobu. Wbił narzędzie w ziemię.

– Bądź tak dobry i podejdź bliżej z tą latarnią.

Mglisty zbliżył się.

Enoch ukląkł i odgarnął opadłe na ziemię liście. Pod nimi ziemia była miękka – ktoś musiał ją niedawno rozkopać. Zapadła się, a w środku zagłębienia był nieduży otwór. Enoch przesunął dłoń po ziemi. Usłyszał, jak grudki wpadają w dziurę i uderzają w coś, co nie było glebą.

Mglisty znów poruszył latarnią i Enoch nic nie widział. Ale Enochowi nie było już potrzebne światło. Zdawał sobie sprawę, że kopanie nic nie da; wiedział, co by znalazł. Powinien był pilnować. Nie powinien był umieszczać zwracającego uwagę kamienia – ale Galaktyka Centralna mówiła wyraźnie: „Postępuj jak z przedstawicielem swojej rasy”. Tak właśnie uczynił. Wyprostował się, lecz wciąż klęczał, czując, jak wilgoć ziemi wsiąka w jego spodnie.

– Nikt mi o tym nie powiedział – rzekł cicho Mglisty.

– O czym?

– O nagrobku. I o napisie na nim. Nie miałem pojęcia, że znasz nasz język.

– Nauczyłem się. Chciałem kiedyś przeczytać pewne zwoje. Obawiam się, że nie władam nim biegle.

– Dwa błędy ortograficzne – powiedział Mglisty – i drobna niezręczność, ale to sienie liczy. Liczy się natomiast to, że kiedy pisałeś, myślałeś jak jeden z nas.

Enoch wstał i sięgnął po latarnię.

– Wracajmy – rzucił ostro. – Już wiem, kto to zrobił. Muszę go dopaść.

Porywisty wiatr zawodził w koronach wysokich drzew. Przyćmione światło latarni wydobywało z mroku biel kępy brzoź, rosnącej na skraju niewielkiego urwiska, które opadało kilka metrów w dół; trzeba tu było skręcić w prawo, potem dalej schodzić po zboczu.

Enoch odwrócił się nieznacznie i spojrzał przez ramię. Lucy szła tuż za nim. Uśmiechnęła się i gestem pokazała, że wszystko w porządku. Przekazał jej na migi, że muszą skręcić w prawo i że powinna iść tuż za nim.

„Zresztą to zupełnie niepotrzebne – pomyślał. – Ona zna wzgórze równie dobrze jak ja, a może nawet lepiej ode mnie.”

Skręcił w prawo, podążył skrajem skalnego urwiska i przy wyrwie skierował się w dół. Z lewej strony słychać było bystry strumień, który spadał ze skał zaraz za polem. Zbocze opadało teraz bardziej stromo, poprowadził więc w poprzek stromizny.

„Dziwne – pomyślał – nawet w ciemności rozpoznaję niektóre naturalne elementy krajobrazu: wykrzywiony biały dąb, który stoi pod niezwykłym kątem ponad ścianą zbocza, niewielki las czerwonych dębów, rosnących na skalnym rumowisku, gdzie nie dotrze do nich żaden drwal, oczko bagna wypełnione witkami bazi, wpasowane zgrabnie w niewielki taras na stromej ścianie.”

Daleko w dole widać było światła w oknach i Enoch skręcił w ich stronę. Spojrzał przez ramię, by upewnić się, czy Lucy podąża za nim. Doszli do ogrodzenia z drągów i przeczołgali się pod nim. Dalej teren był już bardziej równy.

Gdzieś poniżej zaszczekał w ciemności pies, potem drugi. Przyłączyły się zaraz inne; całe stado zbliżało się, przeczesując zbrocze. Przybiegły w tupocie łap, ominęły Enocha i rzuciły się na Lucy – nagle z czujnych strażników przemieniły się w komitet powitalny. Raz po raz któryś wyskakiwał w górę z kłębowiska. Ręce Lucy zajęte były poklepywaniem psich łbów. Jak na zawołanie naraz wszystkie psy rzuciły się przed siebie, dokazując radośnie, zatoczyły koło i przybiegły z powrotem.

W niedużej odległości od ogrodzenia z drągów był ogród warzywny. Enoch ruszył na przełaj, ostrożnie stąpając ścieżką między zagonami. Dotarli na podwórze. Stał przed nimi dom, chylący się ku ziemi, bliski ruinie; jego zarysy skrywała ciemność i tylko okna kuchni jarzyły się ciepłym, miękkim światłem lamp. Enoch podszedł do drzwi kuchni i zapukał. Usłyszał kroki rozbrzmiewające na posadzce.

Drzwi otworzyły się i w otoczce światła stanęła pani Fisher: wysoka koścista kobieta, ubrana w coś, co bardziej przypominało worek niż suknię. Wpatrywała się w Enocha z wyrazem obawy i odwagi zarazem.

Wreszcie dostrzegła za jego plecami córkę.

– Lucy!

Dziewczyna skoczyła naprzód, wprost w ramiona matki.

Enoch postawił latarnię na ziemi, wsadził karabin pod pachę i przestąpił próg. Rodzina siedziała przy kolacji wokół wielkiego stołu na środku kuchni. Pośrodku stołu stała ozdobna lampa naftowa. Hank powstał, a jego trzech synowie i nieznajomy siedzieli na miejscach.

– Więc przyprowadził ją pan do domu – powiedział Hank.

– Odnalazłem ją - rzekł Enoch.

– Dopiero co przyszliśmy do domu. Mieliśmy zamiar znów iść

i szukać jej.

– Pamięta pan, co pan powiedział dziś po południu?

– Mówiłem wiele rzeczy.

– Powiedział pan, że we mnie siedzi czart. Jeszcze raz podniesie pan rękę na tę dziewczynę, a ja panu pokaże, jaki to diabeł we mnie siedzi.

– Nie nastraszy mnie pan gadaniem – zaperzył się Hank.

A jednak się bał. Widać to było po wyrazie jego twarzy.

– Nie żartuję - rzekł Enoch.

Obaj stali przez moment naprzeciw siebie, wreszcie Hank usiadł.

– Może zechce pan zjeść z nami kolację?

Enoch pokręcił głową. Spojrzał na nieznanego.

– Pan jest tym od żeń-szenia? – spytał.

Mężczyzna przytaknął.

– Tak mnie nazywają.

– Chcę z panem porozmawiać. Na dworze.

Claude Lewis wstał.

– Wcale nie musisz iść – powiedział Hank. – On nie może cię zmusić. Niech mówi tutaj.

– Chętnie się przejdę – rzekł Lewis. – Właściwie sam chciałem z tym panem porozmawiać. Pan Enoch Wallace, prawda?

– Tak, to on – potwierdził Hank. – Już pięćdziesiąt lat temu powinna spotkać go śmierć ze starości. A spójrz, jak wygląda.

W nim siedzi czart. Mówię ci, on pakuje z diabłem.

– Zamknij się, Hank – uciszył go Lewis.

Obszedł stół i skierował się do drzwi.

– Dobranoc – rzekł Enoch do pozostałych.

– Proszę pana – powiedziała pani Fisher. – Dziękuję, że odprowadził pan córkę. Hank jej już nie uderzy. Mogę to panu

przrzec. Sama dopilnuję.

Enoch wyszedł i zamknął drzwi. Podniósł latarnię. Lewis już czekał na podwórzu. Enoch zbliżył się do niego.

– Odejdźmy kawałek – powiedział.

Zatrzymali się przy ogrodzie i zwrócili twarzami do siebie.

– Śledził mnie pan – odezwał się Enoch.

Lewis kiwnął głową.

– Pracuje pan dla kogoś, czy może śledził mnie pan ze zwykłej ciekawości?

– Niestety, to pierwsze. Nazywam się Claude Lewis. Właściwie nie mam powodu ukrywać – jestem agentem CIA.

– Nie jestem szpiegiem ani zdrajcą – powiedział Enoch.

– Nikt pana o to nie podejrzewa. Tylko pana obserwujemy.

– Wie pan o cmentarzu?

Lewis potaknął.

– Zabraliście coś z grobu.

– Tak. Z tego pod kamieniem z dziwnymi znakami.

– Gdzie to jest?

– Ma pan na myśli ciało? W Waszyngtonie.

– Nie wolno wam było tego robić – powiedział Enoch gniewnie.

– Nawarzyliście piwa. Teraz musi pan ściągnąć ciało z powrotem. Jak najszybciej.

– Upłynie trochę czasu. Przewiozą je samolotem. Zajmie to około dwadziestu czterech godzin.

– Prędzej nie można?

– Może uda mi się trochę szybciej.

– Niech pan się postara. To bardzo ważne.

– Dobrze. Nie wiedziałem...

– Lewis.

– Tak?

– Niech pan nie gra ze mną. Żadnych sztuczek. Niech pan robi, co każe. Usiłuję być opanowany, bo to jedyne wyjście. Ale jeden pana ruch... – Złapał Lewisa za koszulę. – Rozumiesz, Lewis?

Lewis stał w bezruchu. Nie próbował się uwolnić.

– Tak – powiedział. – Rozumiem.

– Dlaczego pan to zrobił, do cholery?!

– Taka moja robota.

– Robota, akurat. Śledziliście mnie, w porządku. Ale dlaczego splądrowaliście grób?

Puścił Lewisa.

– W tym grobie. Co to było? – spytał Lewis.

– To nie pański śmierdzący interes – odparł Enoch. – Ma pan sprowadzić ciało. Jest pan pewien, że się uda? Nic nie stoi na przeszkodzie?

Lewis potrząsnął głową.

– Absolutnie nic. Zadzwoń, jak tylko dotrę do telefonu.

Powiem im, że to rozkaz.

– To wszystko – rzekł Enoch. – Zwrócenie ciała będzie najważniejszą rzeczą, jaką pan w życiu dokona. Niech pan o tym nie zapomina. To dotyczy wszystkich na Ziemi. Pana, mnie – wszystkich. Jak się nie uda, odpowie mi pan za to.

– Tym karabinem?

– Może – powiedział Enoch. – Niech pan nie próbuje mnie zwodzić. Nie żartuję; jeśli będzie trzeba, nie zawaham się.

W tej sytuacji zabiję każdego, absolutnie każdego.

– Wallace, może mi pan powiedzieć, o co tu chodzi?

– Nie – odparł Enoch.

Podniósł latarnię.

– Idzie pan do domu?

Enoch kiwnął głową.

– Zdaje się, że nie przeszkadza panu, że pana obserwujemy.

– Nie – powiedział Enoch. – Przeszkadza mi tylko, że się wtrąacie. Oddajcie ciało i możecie mnie dalej śledzić, jeśli chcecie. Tylko nie naciskajcie. Nie pakujcie się w nie swoje sprawy. Trzymajcie łapy przy sobie.

– Ale przecież... dobry Boże, człowieku, tu się coś dzieje.

Może mi pan chyba coś powiedzieć...

Enoch zawahał się.

– Tylko ogólnie. O co chodzi? – naciskał Lewis. – Żadnych szczegółów, po prostu...

– Niech pan sprowadzi ciało – powiedział Enoch powoli. – Może jeszcze porozmawiamy.

– Zwrócę je - przyrzekł Lewis.

– Jeżeli nie – zagroził Enoch – to tak, jakby pan już nie żył.

Odwrócił się i przez ogród podążył w górę zbocza.

Lewis stał długo na podwórzu i patrzył jak latarnia, kołysząc się, niknie w oddali.

Ulisses był już sam w stacji, gdy wrócił Enoch. Przybysza z Thubana wysłał w dalszą drogę, a Mglistego z powrotem na Węgę. Nastawił czajnik i leżał teraz beczynnie wyciągnięty na sofie.

Enoch zawiesił karabin i zdmuchnął płomień latarni. Zdjął kurtkę, rzucił ją na biurko. Usiadł w fotelu naprzeciw sofy.

– Oddadzą ciało – powiedział. – Najpóźniej jutro o tej porze.

– Szczerze pragnę, by to pomogło – wyznał Ulisses. – Ale raczej wątpię.

– Może nie powinienem był nic robić.

– Okazałeś dobrą wolę. W ogólnym rozrachunku to może zaważyć.

– Mglisty mógł mi powiedzieć, gdzie jest ciało. Skoro wiedział o jego zniknięciu, musiał też znać miejsce, gdzie je ukryto.

– Podejrzewam, że zna to miejsce – odpowiedział Ulisses – ale, widzisz, on nie mógł ci powiedzieć. Przybył złożyć protest.

Reszta należała do ciebie. Musiał zachować godność; nie mógł sugerować ci, co powinienesz uczynić. Musi zapisać się jako strona poszkodowana.

– Czasem oszaleć można od tego wszystkiego – westchnął Enoch. – Mimo pouczeń ze strony Galaktyki Centralnej zawsze pojawiają się jakieś niespodzianki, jakieś pułapki.

Może nadejdzie taki dzień – powiedział Ulisses – kiedy będzie inaczej. Patrząc w przyszłość i widzę, że za kilka tysięcy lat cała Galaktyka stworzy jedną kulturę, jedną wielką płaszczyznę

porozumienia. Oczywiście, różnice lokalne i rasowe nadal będą istnieć – i tak być powinno. Nad tym wszystkim jednak zapanuje tolerancja, dzięki której aż będzie się prosiło nazywać to braterstwem.

– Mówisz prawie jak człowiek – rzekł Enoch. – Oto nadzieja, którą żywiło wiele naszych umysłów.

– Być może – powiedział Ulisses. – Wiesz, Ziemia wywarła na mnie trwałą wpływ. Nie można spędzić tak długiego czasu na planecie i nie poddać się choć w małym stopniu wpływowi jej kultury. A tak przy okazji: zrobiłeś bardzo dobre wrażenie na gościu z Wegi.

– Nie zauważyłem – powiedział Enoch. – Zachowywał się uprzejmie i odpowiednio, oczywiście, ale nic poza tym.

– Inskrypcja na kamieniu. Był nią wielce poruszony.

– Nie wyryłem napisu po to, by robić na kimś wrażenie. Wyraziłem w ten sposób swe uczucia. Lubię Mglistych. Chciałem im zadośćuczynić.

– Gdyby nie nacisk galaktycznych frakcji – rzekł Ulisses – jestem przekonany, że Weganie chętnie puściliby incydent w niepamięć. Nie masz pojęcia, jak wielkie to ustępstwo z ich strony. Być może nawet teraz opowiedzą się po naszej stronie, gdy dojdzie do ostatecznej rozgrywki.

– Myślisz, że mogą uratować stację?

Ulisses zaprzeczył ruchem głowy.

– Wątpię, czy ktokolwiek zdoła tego dokonać, ale nasza pozycja w Galaktyce Centralnej będzie lepsza, jeśli opowiedzą się za nami.

Czajnik zaczął sygnalizować, że woda na kawę jest już gotowa, i Enoch poszedł go odstawić. Ulisses przesunął kilka świecidełek na stoliku, by zrobić miejsce na dwie filiżanki. Enoch napełnił je,

a czajnik postawił na podłodze. Ulisses podniósł filiżankę, potrzymał chwilę, po czym odstawił ją na stolik.

– Nie jest najlepiej – powiedział. – Już nie jest tak jak dawniej. Galaktyka Centralna jest zaniepokojona. Wszystkie te kłótnie i zatargi między różnymi rasami, sprzeczki i przepychanki. – Spojrzał na Enocha. – Myślałeś pewnie, że wszystko jest cacy?

– Nie – rzekł Enoch. – Wiedziałem o różnicach zdań i zdawałem sobie sprawę z kłopotów. Ale myślałem, że to coś w wielkim stylu, wiesz, honor i dobre maniery.

– Tak właściwie kiedyś wszystko wyglądało. Zawsze opinie różniły się, ale ich źródłem były zasady i etyka, nie zaś prywatne interesy. Oczywiście, wiesz, co to jest siła duchowa, wszechogarniająca siła duchowa?

Enoch przytaknął.

– Trochę o tym czytałem. Nie wszystko pojąłem, ale wydaje mi się to godne uwagi. Wiem, że można nawiązać kontakt z tą siłą.

– Dzięki Talizmanowi – powiedział Ulisses.

– Właśnie. To rodzaj urządzenia, prawda?

– Można to tak nazwać – zgodził się Ulisses – choć słowo „urządzenie” jest trochę niezręczne. To nie tylko konstrukcja mechaniczna. Istnieje jeden jedyny egzemplarz. Zrobiony został przez mistyka żyjącego dziesięć tysięcy twoich lat temu.

Chciałbym ci wyjaśnić, co to takiego i jak jest zbudowane, ale obawiam się, że nikt nie ma o tym zielonego pojęcia. Byli tacy, którzy usiłowali podrobić Talizman, lecz nikomu się to nie udało. Ten mistyk-konstruktor nie pozostawił żadnych planów, schematów, żadnego opisu, notatki.

– Myślę, że nie ma powodu ograniczać liczby Talizmanów – powiedział Enoch – to znaczy tworzyć uświęcone tabu. Drugi egzemplarz nie byłby świętokradztwem.

– Nie, skądże – zgodził się Ulisses. – Właściwie to bardzo potrzeba nam drugiego. Ponieważ nie mamy już Talizmanu.

Zniknął.

Enoch aż podskoczył na fotelu.

– Zniknął?

– Zniknął – rzekł Ulisses. – Zaginął. Skradziono go. Nikt nie wie.

– Nie wie...

Ulisses uśmiechnął się blado.

– Nic nie słyszałeś. Wiem. O tym się nie mówi. Nikt nie śmie. Ludzie nie mogą nic wiedzieć. Przynajmniej na razie.

– Jak zdołacie to ukryć?

– W dość prosty sposób. Wiesz, jak się wszystko odbywało.

Strażnik woził Talizman od planety do planety; podczas masowych zgromadzeń wystawiano go na widok publiczny i nawiązywano kontakt z siłą duchową. Nigdy nie istniał żaden plan podróży, strażnik po prostu wędrował. Na danej planecie mogło upłynąć sto lub więcej twoich lat do czasu kolejnej wizyty strażnika. Wszyscy wiedzą, że kiedyś taka wizyta nastąpi – zjawi się strażnik z Talizmanem.

– W ten sposób latami możecie niczego nie ujawniać.

– Tak – powiedział Ulisses. – Bez problemu.

– Przywódcy oczywiście wiedzą. Ci rządzący.

Ulisses potrząsnął przecząco głową.

– Niewielu poinformowaliśmy. Kilku, którym możemy zaufać. Galaktyka Centralna oczywiście wie, ale my trzymamy język za zębami.

– Więc dlaczego...

– Dlaczego ci o tym mówię? Wiem, nie powinienem. Nie mam pojęcia dlaczego. Zaraz, chyba wiem. Jak się czujesz, przyjacielu,

w roli współczującego spowiednika?

– Niepokoisz się – powiedział Enoch. – Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę cię zaniepokojonym.

– To dziwne – rzekł Ulisses. – Talizmanu nie ma od paru zaledwie lat i nikt o tym nie wie, tylko Galaktyka Centralna i...

jak byś to nazwał? – chyba hierarchia, organizacja mistyków zajmująca się sprawami duchowymi. A jednak, choć nikt nic nie wie, Galaktyka zaczyna okazywać znużenie. Pruje się w szwach. Niedługo całkiem się rozpadnie. Tak jakby Talizman miał moc, która spajała i łączyła ludy Galaktyki, mimo że jego wpływ nie był dostrzegalny.

– Ale przecież Talizman wciąż istnieje – zauważył Enoch. – Wciąż wywiera wpływ. Niemożliwe, by został zniszczony.

Zapominasz, że bez strażnika, bez jego wrażliwości, Talizman nie działa. Samo urządzenie na nic się nie zda. Jest tylko pośrednikiem pomiędzy siłą duchową i wrażliwym. Wzmacnia zdolność odczuwania i pozwala wrażliwemu nawiązać połączenie.

– Czy nie wydaje ci się, że strata Talizmanu ma coś wspólnego z sytuacją tutaj?

– Z ziemską stacją? Cóż, nie bezpośrednio, ale to typowe.

To, co przydarzyło się tej stacji, jest symptomatyczne. Wchodzą tu w grę małostkowe kłótnie i zajadłe sprzeczki, które rozgorzały w wielu częściach Galaktyki. Dawniej wszystko załatwiano inaczej, jak powiedziałeś: honor i dobre maniere.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu; słuchali cichego szmeru wiatru w zdobieniach na szczycie dachu.

– Nie przejmuj się – powiedział Ulisses. – To nie twoje zmartwienie. Nie powinienem był ci mówić. Okazałem niedyskrecję.

– Chcesz przez to powiedzieć, że mam nikomu tego nie powtarzać. Możesz być pewny, nie powiem.

– Wiem – rzekł Ulisses. – Nigdy bym cię o to nie podejrzewał.

– Naprawdę myślisz, że psują się stosunki w Galaktyce?

Kiedyś wszystkich coś łączyło. Zdarzały się różnice, naturalnie, ale pokonywano je – czasem sztucznie i niezadowolająco, ale obie strony zawsze dążyły do kompromisu i zazwyczaj go osiągały. Po prostu chciały tego. Istniała wspólna sprawa:

wypracowanie wielkiego braterstwa wszystkich inteligentnych ras. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wszyscy razem dysponujemy ogromnym potencjałem naukowo-technicznym i że pracując wspólnie, robiąc użytek z wiedzy i zdolności, dojdziemy do czegoś wielkiego, co przejdzie najśmielsze oczekiwania, przyćmi wszystko, co pojedyncze planety skrycie pragnęłyby osiągnąć. Nie wszystko, rzecz jasna, szło gładko. Występowały, jak powiedziałem, różnice, ale wciąż robiliśmy postępy. Odsuwaliśmy na bok drobne animozje i nieporozumienia, skupialiśmy się przede wszystkim na rozwiązywaniu poważnych problemów. W naszym odczuciu rozładowanie poważnych napięć powoduje, że małe niezgodności znikają same. A teraz wszystko się odwraca. Powszechnie wyciąga się stare sprawy i rozdmuchuje je ponad miarę, podczas gdy ważniejsze kwestie upadają.

– Zupełnie jak na Ziemi – zauważył Enoch.

– W wielu przypadkach tak – przyznał Ulisses – choć istnieją zasadnicze różnice.

– Czytałeś gazety, które ci zostawiłem?

Ulisses skinął głową.

– Nie wygląda to różowo.

– Wygląda na to, że będzie wojna.

Ulisses poruszył się niespokojnie.

– Wy nie prowadzicie wojen – rzekł Enoch.

– My to znaczy Galaktyka? Nie, w obecnym układzie nie prowadzimy.

– Jesteście zbyt cywilizowani?

– Nie bądź zgryźliwy – powiedział Ulisses. – Raz czy dwa byliśmy o krok od wojny, lecz nie w ostatnim czasie. We wspólnocie jest wiele ras, które w swoich początkach zapisały historię wojen.

– W takim razie możemy mieć nadzieję. Z tego się wyrasta.

– Z czasem, może.

– Ale to nie jest pewne.

– Nie, nie powiedziałbym.

– Pracuję nad pewnym wykresem – wyjął Enoch. – Na podstawie systemu statystyki mizariańskiej. Z wykresu wynika, że będzie wojna.

– Nie jest wcale potrzebny wykres, by dojść do takiego wniosku.

– Chodzi mi o coś innego. Nie tylko o to, czy wojna wybuchnie. Miałem nadzieję, że wykres pokaże, jak utrzymać pokój.

Musi być jakiś sposób. Gdybyśmy tak mogli go odkryć, albo gdybyśmy wiedzieli, gdzie szukać, kogo pytać...

– Istnieje sposób zapobieżenia wojnie – oznajmił Ulisses.

– To znaczy, że ty wiesz...

– To drastyczne posunięcie. Może być użyte jedynie w ostateczności.

– A nasza sytuacja nie wydaje ci się groźna?

– Załóżmy, że taka jest. Ten rodzaj wojny, którą rozpętałaby Ziemia, mógłby przynieść kres tysiącleciom postępu, zniszczyć całą kulturę, wszystko; pozostałyby tylko okruchy cywilizacji.

Mógłby najprawdopodobniej zniszczyć większość istnień na planecie.

– Ta twoja metoda została już kiedyś użyta?

– Kilkakrotnie.

– Sprawdziła się?

– Och, oczywiście. Gdyby nie była skuteczna, w ogóle nie bralibyśmy jej pod uwagę.

– Czy można użyć jej na Ziemi?

– Masz prawo wystąpić o jej zastosowanie.

– Ja?

– Jako przedstawiciel Ziemi. Wystąpiłbyś do Galaktyki Centralnej z prośbą o jej użycie. Jako przedstawiciel całego gatunku, zostaniesz wysłuchany. Jeżeli uznamy, że twoje wystąpienie jest zasadne, Galaktyka Centralna może wyznaczyć komisję do zbadania sytuacji, a potem na podstawie raportu zostanie podjęta decyzja.

– Powiedziałeś, że ja mogę wystąpić. Żaden inny Ziemianin?

– Ktokolwiek, komu udziela się głos. Wysłuchany może być ktoś, kto wie o Galaktyce Centralnej, a na Ziemi ty jedyny wiesz. Poza tym zaliczasz się do personelu. Długo pracowałeś jako zawiadowca. Spisywałeś się dobrze. Wysłuchamy cię.

– Jednego człowieka! Jeden człowiek nie może wypowiadać się w imieniu całej ludzkości.

– Ty jeden spełniasz warunki.

– Gdybym mógł skonsultować to z innymi...

– Nie możesz. A nawet gdybyś mógł, kto by ci uwierzył?

– To prawda – przyznał Enoch.

Oczywiście. Nie widział nic dziwnego w idei wspólnoty galaktycznej czy międzygwiazdnej sieci transportu; czasami wzbudzało to jego podziw, ale zdziwienie już prawie zanikło.

Potrzebował jednak na to długich lat. Pomimo namacalnych dowodów całkowita akceptacja przyszła dopiero po latach. Jeżeli opowie o tym Ziemianom, wezmą go za szaleńca.

– A ta metoda? – spytał niemal ze strachem; w napięciu czekał na odpowiedź.

– Głupota – powiedział Ulisses.

Enoch odetchnął ciężko.

– Głupota? Nie rozumiem. Pod wieloma względami jesteśmy wystarczająco głupi już teraz.

– Masz na myśli bezmyślność, a tej jest pod dostatkiem nie tylko na Ziemi, ale i w całej Galaktyce. Ja mówię o umysłowym ograniczeniu. O niemożności pojmowania nauki i techniki, które umożliwiają prowadzenie tego rodzaju wojny, która wybuchłaby na Ziemi. O niezdolności do obsługi maszyn, które byłyby wykorzystywane podczas takiej wojny. O cofnięciu ludzi do poziomu umysłowego, z którym nie zdołają pojąć osiągnięć w dziedzinie nauk ścisłych, mechaniki, techniki – osiągnięć będących ich własnym dziełem. Ci, którzy wiedzą – zapomną. Ignoranci – nigdy się nie nauczą. Powrót do prostoty koła i dźwigni. W ten sposób wojna, która mogłaby wybuchnąć na Ziemi, stanie się niemożliwa.

Enoch siedział sparaliżowany strachem, oniemiały, podczas gdy milion myśli kłębiło się w jego głowie.

– Mówiłem już, że to drastyczne posunięcie – powiedział Ulisses. – Tak musi być. Powstrzymanie maszyny wojennej wiele kosztuje. Cena jest wysoka.

– Nie mógłbym! – zawołał Enoch. – Nikt by nie mógł.

– Założmy, że nie możesz. Ale zastanów się: jeśli będzie wojna...

– Wiem. Jeśli wybuchnie wojna, będzie jeszcze gorzej. Ale

przecież to nie powstrzyma wojny. Nie o taką metodę mi chodziło. Ludzie w dalszym ciągu będą mogli walczyć i zabijać.

Maczugami – rzekł Ulisses. – Może użyją łuków, być może broni palnej, jeśli będą ją jeszcze mieli i nie skończą się naboje. Nie będą wiedzieli, jak wytworzyć proch, jak uzyskać metal na pociski ani jak odlewać kule. Może powalczyliby trochę, lecz nie przyniosłoby to zagłady. Głowice nuklearne nie zrównają miast, bo nikt nie będzie umiał odpalić rakiety ani uzbroić głowicy – być może nawet nikt nie będzie wiedział, co to takiego. Komunikacja znanymi wam środkami – zamiera. Wszystko prócz najprostszycch środków lokomocji – wyłączone z użytku. Wojna – niemożliwa, chyba że na małą skalę.

– To straszne – powiedział Enoch.

– Wojna też jest straszna – odparł Ulisses. – Wybór należy do ciebie.

– A jak długo? Ile by to trwało? Czy na zawsze pozostaniemy głupi?

– Kilka pokoleń. Do tego czasu efekty tej – że tak powiem – kuracji stopniowo zanikną. Ludzie powoli otrząsną się z idiotyzmu i znów rozpocznie się intelektualny rozwój. Czyli właściwie damy im nową szansę.

– A jeśli za kilka pokoleń dojdzie do takiej samej sytuacji jak obecna?

– To możliwe. Jednak nie sądzę, by tak się stało. Rozwój kulturowy prawie nigdy nie przebiega równolegle. Jest szansa, że utworzycie lepszą cywilizację i osiągniecie pokój między narodami.

– To zbyt wiele jak na jednego człowieka...

– Zawsze jest jakaś nadzieja – powiedział Ulisses. – Zastanów się. Metodę polecamy tylko tym, którzy naszym zdaniem

zasługują na uratowanie.

– Musisz dać mi czas.

Wiedział jednak, że nie ma chwili do stracenia.

Człowiek przy maszynie straci nagle zdolność wykonywania swojej pracy. Inni wokół – podobnie. Nie będą już dysponować wiedzą i przygotowaniem, koniecznymi do spełniania zadań. Będą oczywiście próbowali, ale raczej niezbyt długo. A ponieważ wszyscy przestaną pracować, działalność fabryk, przedsiębiorstw zostanie przerwana. Nie nastąpi to na mocy jakiegoś rozporządzenia. Po prostu zostanie przerwana. I nie tylko dlatego, że ustanie praca: nikt nie pokieruje pracą, a transport i komunikacja – umożliwiające ją – ustaną również. Nie ruszą lokomotywy ani samoloty i statki, bo nikt nie będzie pamiętał, jak je uruchomić. Ludzie jeszcze przed chwilą mieli tę umiejętność – a tu naraz nie potrafią nic. Niektórzy będą wciąż próbowali – co pociągnie za sobą tragiczne konsekwencje. Inni będą słabo pamiętali, jak prowadzi się samochód, ciężarówkę czy autobus, bo to proste czynności; być może kierowanie pojazdem stanie się drugą naturą człowieka. Ale kiedy pojazd się popsuje, nie znajdzie się żaden mechanik, który go naprawi i na nowo uruchomi.

W ciągu kilku godzin ludzkość osiadzie na mieliźnie, w świecie, w którym odległość znów będzie przeszkodą. Ziemia nagle się rozrośnie, oceany staną się nie do przebycia, a dziesięć kilometrów to znów będzie szmat drogi. Po kilku dniach nastąpi panika, bezład i rozpacz w obliczu sytuacji, której nikt nie zdoła pojąć.

Jak długo miasto zużywać będzie zapasy, zanim przyjdzie

głód? Co się stanie, gdy zabraknie elektryczności w przewodach? Ile czasu głupi świstek papieru lub metalowy krążek zachowa swoją wartość? Załamie się dystrybucja, zamrze handel i przemysł, rząd zmieni się w gabinet cieni bez środków i bez inteligencji potrzebnej do rządzenia, zaniknie komunikacja, nastąpi rozkład prawa i porządku, świat utonie w nowym barbarzyństwie, po czym powoli zacznie się przystosowywać. Przystosowanie się potrwa latami, a w tym czasie przyjdą epidemie i śmierć, niewypowiedziane cierpienia i rozpacz. Z czasem wszystko się unormuje zgodnie z nowym stylem życia, ale podczas wstrząsu wielu zginie, wielu straci wszystko, na czym opierało się ich życie, co nadawało sens ich istnieniu.

Czy w najgorszym razie dorównałoby to żniwu wojny?

Wielu ludzi umrze z powodu zimna, głodu i chorób (lekarstwa diabli wezmą, tak jak wszystko), ale ognisty podmuch reakcji jądrowej nie unicestwi milionów. Skażony deszcz nie spadnie z nieba, a wody pozostaną tak czyste i świeże, jak obecnie, gleba zaś pozostanie tak samo żyzna. Gdy już nastąpią zmiany, ludzkość wciąż będzie miała szansę żyć dalej i odbudowywać społeczne struktury.

„Gdyby tak zdobyć pewność, że wojna rzeczywiście wybuchnie – rozmyślał Enoch – że jest nieunikniona, wtedy wybór nie byłby trudny. Ale zawsze istnieje możliwość uniknięcia wojny światowej; może uda się zachować choćby słaby i nietrwały pokój – w takim przypadku galaktyczna kuracja nie byłaby potrzebna. Żeby podjąć decyzję, trzeba zdobyć pewność. Ale jak ją zdobyć? Z wykresu wynika, że będzie wojna; wielu dyplomatów i obserwatorów sceny politycznej uważa, że zbliżająca się konferencja pokojowa nie posłuży niczemu innemu, jak tylko wywołaniu wojny. Jednak wciąż brak

pewności. A nawet gdybym zyskał absolutną pewność, jak mógłby jeden człowiek – sam jeden – wziąć na siebie rolę Pana Boga wobec całej ludzkości? Jakim prawem jeden człowiek miałby podejmować decyzję o losach miliardów innych ludzi? Gdybym się tego podjął, czy potrafiłbym kiedykolwiek w przyszłości uzasadnić swój wybór? Czy człowiek może decydować o tym, co będzie straszniejsze: wojna czy ogłupienie? Raczej nie. Nie istnieje sposób zmierzenia możliwych nieszczęść dla obu wariantów z osobna. Po pewnym czasie być może każdy wybór nabierze pozorów słuszności. Z czasem przychodzi przeświadczenie, które pozwala człowiekowi podjąć decyzję - niekoniecznie słuszną, lecz mimo to zgodną z sumieniem.”

Enoch wstał i podszedł do okna. Odgłos kroków rozległ się echem po stacji. Spojrzał na zegarek – minęła północ.

„W Galaktyce są istoty – pomyślał – które szybko podejmują trafne decyzje w prawie każdej kwestii, jednym prostym cięciem przez splątane myśli, dzięki zasadom logicznym doskonalszym od wszystkiego, co ludzkość mogłaby kiedykolwiek wypracować. Przydałoby się coś takiego, oczywiście jako sposób na podjęcie decyzji, ale czy po drodze nie pomniejszyłoby się przy tym znaczenia – lub całkiem pominęło – niektórych okoliczności mogących znaczyć dla ludzkości więcej niż sama decyzja?”

Stał przy oknie, spoglądając na płaszczyzny pól w świetle księżyca, ograniczone ciemną linią lasów. Chmury odpłynęły; noc była spokojna.

„W tym zakątku zawsze będzie pokój. Leży zbyt daleko od przetartych szlaków, z dala od celów atomowej wojny. Istnieje nikłe prawdopodobieństwo, by przed laty, w czasach prehistorycznych, miał tu miejsce jakiś nie zapisany, dawno zapomniany drobny konflikt; można przyjąć, że nigdy nie

stoczono tu żadnej bitwy i żadna walka tu się nie rozegra. A jednak i tutaj nie da się uniknąć wspólnego losu: skażonej wody i gleby, gdy nagle świat – w złej godzinie szał – zechce spuścić z uwięzi potęgę straszliwych arsenałów. Niebo wypełni atomowy pył, potem pył opadnie i nieważne, gdzie człowiek wtedy się będzie znajdował. Prędzej czy później dopadnie go wojna – błyskiem potwornej energii albo proszącym z nieba śniegiem śmierci.”

Przeszedł od okna do biurka i pobierał gazety, które przyszły ranną pocztą; ułożył je w stos. Zauważył, że Ulisses zapomniał zabrać przygotowaną stertę czasopism. „Ulisses jest niespokojny, pewnie dlatego ich nie wziął – zdecydował. – Niech nas Bóg ma w opiece – obu nam niełatwo.”

Przez cały dzień był zajęty. Właściwie nie zrobił nic poza przeczytaniem dwóch czy trzech artykułów w *Timesie*. Wszystkie dotyczyły zwołanej konferencji. Dzień był zbyt wypełniony ważnymi wydarzeniami.

„Przez sto lat wszystko szło dobrze. Chwile dobre przeplatały się ze złymi, lecz w zasadzie życie płynęło pogodnie, bez przykrych wydarzeń. Wstał kolejny dzień – i wszystkie beztraskie lata runęły z łoskotem.”

Kiedyś Enoch żywił nadzieję, że Ziemia zostanie przyjęta do galaktycznej rodziny, że on sam stanie się rzecznikiem wprowadzenia jej do wspólnoty. Nadzieja została pogrzebana; nie tylko przez groźbę zamknięcia stacji – również za sprawą barbarzyństwa ludzkości. Ziemia służyła za pretekst w rozgrywkach politycznych Galaktyki; nosiła piętno, które nieprędko da się wymazać. W każdym przypadku, nawet w razie uniewinnienia, może zostać poddana drastycznym i poniżającym zabiegom, o ile Galaktyka Centralna zechce dać jej nadzieję

przetrwania.

Zdawał sobie sprawę, że mógłby coś uratować z tej pożogi. Mógłby przekazać Ziemianom wiedzę, którą gromadził latami w postaci opisywanych pieczołowicie osobistych doświadczeń, przeżyć, spostrzeżeń, zawartą w długich rzędach ksiąg na półkach przy ścianie. Prócz tego – obcą literaturę, którą zdobył, przeczytał i zatrzymał. Upominki, różne drobiazgi z innych światów. Mieszkańcy Ziemi mieliby szansę zrobić z tego użytek na długiej drodze, która w końcu zaprowadzi do gwiazd i do źródła dalszej wiedzy oraz pełniejszego zrozumienia, które stanie się ich dziedzictwem jako niezbywalne prawo każdej inteligencji. Długo jednak przyjdzie na to czekać – teraz nawet dłużej, zważywszy to, co się stało; dłużej, niż mogło się zdawać. Wiedza, z trudem gromadzona przez niemal wiek, była tak nikła w porównaniu z ogromem wiedzy, jaką Enoch mógłby zebrać w ciągu następnych stu lat (albo tysiąclecia), że aż szkoda było ofiarować ludziom tak znikomy wycinek.

„Gdyby tak mieć więcej czasu – rozmyślał. – Zawsze było go za mało. Teraz nie mam czasu i nigdy nie będę miał. Nieważne, ile wieków poświęcę – zawsze ogrom istniejącej wiedzy będzie przewyższał to, co uda mi się zebrać. Przyswojona część będzie wciąż kroplą w morzu.”

Opadł na fotel przy biurku i po raz pierwszy zaczął zastanawiać się, w jaki sposób ma to uczynić – jak mógłby opuścić Galaktykę Centralną, jak zamienić kosmos na jedną planetę, na własną planetę.

Wyteżał zmęczony umysł, lecz nie znalazł odpowiedzi.

Jeden człowiek.

Jeden człowiek nie może samotnie stanąć przeciwko Ziemi i przeciwko Galaktyce.

Obudziły go wpadające przez okno słoneczne strugi. Nie poruszał się, wchłaniał ciepło. Dotyk słońca niósł pociechę, więc porzucił na chwilę zmartwienia i udręki. Czuł jednak, że czają się tuż, tuż, i znów zamknął oczy. Może gdyby zasnął, oddaliłyby się i zmały; po przebudzeniu już by ich nie było.

Coś było nie tak – i nie wiązało się to ze zmartwieniami i udrękami. Bolała go szyja i ramiona, był dziwnie zeszywniały; przy tym poduszka wydawała się zbyt twarda. Otworzył oczy i podparłszy się na rękach, wyprostował się. Wcale nie leżał w łóżku. Siedział na fotelu, a głowę zamiast na poduszce opierał na biurku.

Powoli wstał i przeciągnął się, próbując rozruszać zdrętwiałe mięśnie. Gdy tak stał, opadły go troski i pytania bez odpowiedzi, ukryte gdzieś do tej pory. Odpędził je, nie całkiem skutecznie, zmuszając przynajmniej częściowo do odwrotu; zaczęły się sprężone do skoku.

Podszedł do kuchenki i zaczął szukać czajnika. Po chwili przypomniał sobie, że zeszłej nocy postawił go na podłodze obok stolika. Ruszył więc po niego. Na stoliku stały dwie filiżanki z fusami na dnie. W masie bibelotów, które Ulisses odsunął, by zrobić miejsce, leżała przewrócona piramida kul, wciąż jaśniejąc i błyszcząc – każda kulka obracała się w innym kierunku niż sąsiednia. Enoch podniósł ją. Palcami ostrożnie zbadał podstawkę, na której osadzone były kule – szukał jakiejś dźwigni, nacięcia, zapadki, przycisku.

„Mogłem się spodziewać, że niczego nie znajdę” – pomyślał. Sprawdzał przecież już wcześniej. A jednak zeszłego dnia Lucy jakoś to uruchomiła, tak że wciąż działało. Od ponad dwunastu godzin – i jak dotąd nic się nie stało. Postawił piramidę na stoliku, włożył filiżanki jedna w drugą i wziął je. Po drodze podniósł z podłogi czajnik. Przez cały czas nie odrywał wzroku od piramidy kul. „Zwariować można. Nie wiadomo jak to się włącza ani wyłącza, a jednak Lucy potrafiła to uruchomić.” Zastanawiał się, jak zatrzymać ruch kul, choć nie miało pewnie większego znaczenia, czy piramida działała czy nie.

Zaniósł czajnik i filiżanki do zlewu.

W stacji panowała cisza – ciężka, przygnębiająca. Doszedł jednak do wniosku, że wrażenie przygnębienia było jedynie tworem wyobraźni. Zbliżył się do przekaźnika i stwierdził, że nie ma na płycie żadnej wiadomości.

„Że też się czegoś spodziewałem – pomyślał. – Przecież odezwałby się sygnał i rozbrzmiewał aż do momentu przesunięcia dźwigni.”

Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby stację już teraz zostawiono na pastwę losu. I wszelki transport odbywał się drogą okrężną? To było mało prawdopodobne, gdyż opuszczenie ziemskiej stacji oznaczałoby odcięcie rejonów, które rozciągały się za nią. Nie przewidziano w sieci żadnych skrótów sięgających do spiralnego ramienia, które umożliwiłyby powrót. Nie było nic nadzwyczajnego w tym, że czasem wiele godzin lub nawet cały dzień upływał bez żadnej wizyty. Ruch odbywał się nieregularnie i bez ustalonego rozkładu. Zdarzało się, że zapowiedziane przybycia następowały z opóźnieniem spowodowanym brakiem odpowiednich warunków, kiedy indziej znów nikt się nie zjawiał, choć sprzęt stał przygotowany

jak teraz.

„Nerwy – pomyślał. – Robię się nerwowy.”

Daliby mu znać, gdyby mieli zamknąć stację. Dla przyzwoitości.

Podszedł do kuchenki i nastawił czajnik. W lodówce znalazł pudełko kaszy z pewnej odmiany zboża uprawianego na jednym z porośniętych dżunglą światów w układzie Drakona. Wyjął pudełko i odłożył z powrotem, decydując się ostatecznie na dwa ostatnie jaja z tuzina, które Wins przywiózł z miasta tydzień temu. Spojrzał na zegarek; spał dłużej, niż mu się wydawało. Zbliżał się czas codziennej przechadzki. Postawił patelnię na kuchence i włożył do niej łyżeczkę masła. Czekał, aż masło się roztopi, potem wbił jajka.

„A może dziś nie pójde na spacer” – pomyślał. Po raz pierwszy miał się go wyrzec; raz czy dwa nie był na przechadzce, ponieważ szalała zamieć. „Dotąd chodziłem na spacer, ale czy to wystarczający powód, by zawsze tak robić. Nie, dziś nie pójde. Odbiorę pocztę kiedy indziej. Nadrobię wczorajsze zaległości.” Sberta gazet wciąż leżała na biurku nie przeczytana. Nie zapisał ani linijki w dzienniku, a nagromadziło się mnóstwo ważnych wydarzeń. Musiał szczegółowo zanotować bieg wypadków, bo przecież zdarzyło się tak wiele.

Żelazna reguła, którą narzucił sobie od pierwszego dnia funkcjonowania stacji, brzmiała: nie zaniedbywać dziennika. Czasami robił zapiski z opóźnieniem, lecz nadrabianie zaległości nigdy nie zmusiło go do napisania choćby o jedno słowo mniej, niż jego zdaniem należało, by opisać wszystko wystarczająco dokładnie.

Spojrzeł w przeciwny kąt pomieszczenia na długie rzędy ksiąg stłoczonych na półkach i pomyślał z dumą i satysfakcją

o rzetelności swej dokumentacji. Między okładkami kolejnych tomów spoczywał wiek pisania, nie brakowało ani jednego dnia.

„Oto moja spuścizna. Spadek zapisany światu, moja karta wstępu do ludzkości. Wszystko, co zobaczyłem i usłyszałem prawie przez sto lat współpracy z dziwnymi mieszkańcami Galaktyki.”

Gdy tak patrzył na rzędy ksiąg, opadły go pytania, które usiłował od siebie odsunąć. Tym razem nie było odwrotu. Trzymał je na dystans przez krótki czas, potrzebny, by móc zebrać myśli i obudzić się do życia ze snu. Teraz już przestał się opierać. Poddał się temu, co było nieuniknione.

Wyłożył jajka z patelni na talerz. Zdjął z kuchenki czajnik i zasiadł do śniadania.

Znów spojrzał na zegarek.

Ciągle jeszcze miał czas na odbycie swego codziennego spaceru.

Przy źródle czekał facet od żeń-szenia.

Enoch zauważył go z dość dużej odległości i w gwałtownym przyływie gniewu zadał sobie pytanie: „Czy on czasem nie czeka, by mi powiedzieć, że nie może zwrócić ciała Mglatego, bo coś tam wynikło, natrafił na nieprzewidziane trudności”. Przypomniawszy sobie, jak poprzedniej nocy groził, że zabije każdego, kto będzie utrudniał przekazanie zwłok. „Być może nie postąpiłem najrozsądniej” – pomyślał.

Nie miał pewności, czy istotnie zdolny był zabić człowieka – choć przecież nie pierwszy raz człowiek mógł zginąć z jego ręki. Lecz to było dawno i wówczas zabić znaczyło pozostać przy życiu.

Zamknął na chwilę oczy i po raz kolejny ujrzał stok wzgórza poniżej, na którym długie szeregi mężczyzn przedzierały się przez dymne zasłony. Wiedział, że ci ludzie wspinają się w jednym celu: by zabić jego i innych tkwiących na szczycie.

Nie było to ani pierwsze, ani ostatnie tego rodzaju przeżycie, lecz treść wszystkich lat zabijania skupiła się w jednym wspomnieniu – długiej i strasznej chwili, gdy patrzył na szeregi sylwetek ludzi wytrwale szturmujących wzgórze, by zabić właśnie jego.

Wówczas to właśnie pojął szaleństwo wojny, pusty gest, który z czasem straci wszelkie znaczenie, bezsensowny gniew stale podsycany, choć jego przyczyna dawno poszła w zapomnienie. Rażąco brak logiki w mniemaniu, że jeden człowiek przez swą

śmierć lub niedolę potwierdza pewną rację albo broni jakichś zasad.

„W pewnym punkcie swej długiej historii – rozmyślał Enoch – ludzkość przyjęła szaleństwo za zasadę postępowania, która przetrwała do dziś; gotowa jest zniszczyć samą siebie lub przynajmniej cały swój materialny i duchowy dorobek zdobyty przez wieki niełatwego rozwoju.”

Lewis siedział na pniu zwalonego drzewa; na widok zbliżającego się Enocha wstał.

– Czekalem na pana – powiedział.

Enoch przeskoczył strumień.

– Ciało zostanie dostarczone przed wieczorem – poinformował Lewis. – Waszyngton prześle je samolotem do Madison i stamtąd ciężarówką.

Enoch skinął głową.

– Miło słyszeć.

– Oni nalegali, żebym cię spytał raz jeszcze. Te zwłoki – co to właściwie jest?

– Powiedziałem panu wczoraj, że nie mogę nic powiedzieć.

Bardzo żałuję. Latami rozmyślałem nad sposobem przekazania wszystkiego, ale to niemożliwe.

– Ciało pochodzi spoza Ziemi – rzekł Lewis. – Jesteśmy tego pewni.

– Tak myślicie? – powiedział Enoch.

– I dom – dodał Lewis – też nie jest zwyczajny.

– Dom postawił mój ojciec – uciął Enoch.

– Ale coś go odmieniło. Nie takim go zbudował.

– Wszystko zmienia się z biegiem lat.

– Ale pan się nie zmienia.

Enoch uśmiechnął się.

– Nie może pan tego znieść, co? Uważa pan, że to nieprzyzwoite.

Lewis potrząsnął głową.

– Nie, tak nie myślę. W ogóle trudno mi cokolwiek powiedzieć. Obserwuję pana od dłuższego czasu i akceptuję pańską osobę. Naturalnie, nie rozumiem, jaką pan odgrywa rolę, ale w pełni akceptuję. Czasem myślę, że chyba zwariowałem, potem mi przechodzi. Nie chciałem się panu naprzykrzać. Starłem się zostawić wszystko tak, jak było. I cieszę się z tego, teraz gdy już pana znam. A jednak źle się dzieje. Zachowujemy się jak wrogowie, jak dwa psy, a tak być nie powinno. Sądzę, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Coś ma się stać, a ja nie chcę w żaden sposób temu przeszkodzić.

– Już pan przeszkodził – powiedział Enoch. – Zabrał pan ciało; nie można było zrobić nic gorszego. Gdyby nawet pan usiadł i zaczął zastanawiać się, jaką tu szkodę mi wyrządzić, żaden pomysł nie byłby podlejszy. Nie tylko wobec mnie. Wcale nie chodzi o mnie. Skrzywdził pan całą ludzkość.

– Nie rozumiem – rzekł Lewis. – Przykro mi, ale nic z tego nie rozumiem. Tam był napis, na kamieniu...

– To moja wina – przyznał Enoch. – Nie powinienem był kłaść tego kamienia. Ale wtedy wydawało mi się, że tak trzeba.

Nie myślałem, że ktoś przyjdzie węszyć i...

– To był pański przyjaciel?

– Przyjaciel? Ach, ma pan na myśli ciało. Właściwie nie. Nie ta konkretna osoba.

– Żałuję, że tak się stało – powiedział Lewis.

– Żal nic tu nie pomoże.

– A może da się jeszcze coś zrobić? Oprócz, oczywiście, przywiezienia ciała?

– Tak, jest coś do zrobienia – odrzekł Enoch. – Niewykluczone, że będę potrzebował pomocy.

– Niech pan mówi – powiedział Lewis. – Jeśli to wykonalne...

– Przydałaby się ciężarówka – powiedział Enoch. – Żeby wywieźć parę rzeczy. Dokumentację i podobne sprawy. To dość pilne.

– Załatwione. Będzie czekała. Z ludźmi, którzy pomogą ją panu załadować.

– Może zechcę porozmawiać z jakimś autorytetem. Wysokim autorytetem. Prezydent. Sekretarz stanu. Może sekretarz ONZ-tu. Jeszcze nie wiem. Muszę się zastanowić. Chodzi mi nie tylko o umożliwienie rozmowy, lecz także o jakąś gwarancję, że wysłuchają tego, co będę chciał im powiedzieć.

– Postaram się o przenośny sprzęt krótkofalowy – powiedział Lewis. – Będzie czekał w pogotowiu.

– I o kogoś, kto mnie wysłucha?

– Tak jest. Kogo tylko pan zechce.

– Jeszcze jedno...

– Tak?

– Może nie będę potrzebował niczego. Ani ciężarówki, ani całej reszty. Może przyjdzie mi zostawić wszystko po staremu.

Jeżeli tak się stanie, czy pan i inni w to zamieszani będziecie potrafili zapomnieć, że o cokolwiek prosiłem?

– Myślę, że tak – odrzekł Lewis. – Ale dalej będę prowadził obserwację.

– To mi nawet na rękę – wyznał Enoch. – Kiedyś mogę potrzebować pomocy. Ale już żadnych ingerencji.

– Czy nic więcej nie możemy dla pana zrobić?

Enoch potrząsnął głową.

– Dalej muszę radzić sobie sam.

Zorientował się, że powiedział chyba już zbyt wiele. W końcu, czy mógł ufać temu człowiekowi? Dlaczego miałyby ufać komukolwiek?

Jeśli jednak zdecyduje się porzucić Galaktykę Centralną i powierzyć Ziemi swój los, będzie prawdopodobnie potrzebować pomocy. Ci z Galaktyki mogliby mieć jakieś zastrzeżenia co do jego zapisków i nieziemskich pamiątek. Jeśli postanowi zatrzymać je, pewnie będzie zmuszony działać w pośpiechu.

Czy naprawdę chciał porzucić Galaktykę Centralną? Byłby zdolny wyrzec się jej? Czy odrzuciłby stanowisko zawiadowcy innej stacji na innej planecie? Gdy przyjdzie czas decyzji, czy zdobędzie się na zerwanie więzi z innymi światami, z tajemnicami gwiazd?

Uczynił już pierwszy krok. Tutaj w ciągu ostatnich kilku minut bez głębszego zastanowienia – jakby już podjął decyzję – omówił warunki swojego zwrotu w stronę Ziemi. Stał rozmyślając, zaskoczony własnym postępowaniem.

– Ktoś będzie tu czekał – powiedział Lewis. – Tu, przy tym strumieniu. Ja albo człowiek, z którym będę w kontakcie.

Enoch kiwnął głową w zamyśleniu.

– Codziennie w czasie pańskich porannych spacerów ktoś będzie spotykał się z panem – ciągnął Lewis. – Albo może pan przyjdź tu do nas, kiedy tylko pan zechce.

„Ale konspiracja – pomyślał Enoch. – Jakby zgraja dzieciaków bawiła się w złodziei i policjantów.”

– Muszę już iść – powiedział. – Zaraz przyjedzie poczta.

Wins nie będzie wiedział, co się ze mną stało.

Ruszył w stronę szczytu.

– Do zobaczenia – rzucił Lewis.

– Do zobaczenia – odparł Enoch.

Zaskoczony, poczuł, że napełnia go otucha; jak gdyby nagle wszystko obróciło się na lepsze, dawno spisane na straty – odnalazło się.

Enoch spotkał listonosza w połowie drogi do stacji. Stary grat pędził podskakując na porośniętych trawą wybojach, roztrącając wybudujące gałęzie krzewów.

Ujrawszy Enocha, Wins zaczął hamować, wreszcie stanął i czekał w samochodzie.

– Robisz objazd czy zmieniłeś trasę? – spytał Enoch zbliżając się.

– Nie czekałeś przy skrzynce, a musiałem się z tobą zobaczyć.

– Jakaś ważna przesyłka?

– Nie, nie chodzi o pocztę. Chodzi o starego Hanka Fishera.

Jest teraz w Millville, zamawia kolejkę za kolejką w knajpie „U Eddiego” i gardłuje na lewo i prawo.

– Stawianie wszystkim nie leży w naturze Hanka.

– Rozpowiada wszem i wobec, jak to chciałeś uprowadzić Lucy.

– Nie uprowadziłem jej – powiedział Enoch. – Hank rzucił się na nią z batem, więc ukryłem ją do czasu, aż mu przeszło.

– Nie powinieneś był tego robić, Enochu.

– Być może. Ale Hank był gotów zbić ją na kwaśne jabłko.

Dostało się jej zresztą raz czy dwa.

– Hank chce ci narobić kłopotu.

– Groził, że to zrobi.

– Mówi, że najpierw porwał dziewczynę, potem strach cię obleciał, więc ją odprowadziłeś. Opowiada, jak to ukryłeś ją w domu, a on chciał się tam dostać i nie mógł. Mówi, że jakiś

dziwny ten twój dom. Ponoć siekiera mu pękła od uderzenia w okno.

– Nic w tym dziwnego. Hank po prostu ma bujną wyobraźnię.

– Dobrze, ale to nie wszystko. Żaden z nich w biały dzień i przy zdrowych zmysłach nie zacznie rozróbki. Ale w nocy po pijanemu tracą resztki rozsądku. Jest kilku takich, którzy mogą się wybrać do ciebie.

– Hank pewnie im mówił, że siedzi we mnie czart.

– Żeby tylko to – westchnął Wins. – Chwilę słuchałem, nim ruszyłem w drogę. – Sięgnął do torby i wygrzebał plik gazet;

wręczył je Enochowi. – Enochu, muszę ci coś powiedzieć. Może o tym nie wiesz. Łatwo jest nastawić ludzi przeciw tobie – bo tak żyjesz i w ogóle. Jesteś dziwny. Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że coś jest z tobą nie w porządku – znam cię przecież i wiem – ale ludzie, którzy cię nie znają, łatwo uwierzą we wszystko. Nie ruszali cię dotychczas, bo nie dawałeś im żadnego powodu. Ale gdy Hank podburzy ich swoim gadaniem...

Nie dokończył.

– Masz na myśli pospolite ruszenie – dopowiedział Enoch.

Wins skinął głową w milczeniu.

– Dziękuję – rzekł Enoch. – Jestem ci wdzięczny za ostrzeżenie.

– Czy to prawda, że do twojego domu nie można się dostać? – spytał listonosz.

– Właściwie tak. Nie włamią się do domu ani go nie spalą.

Nie mogą nic zrobić.

– W takim razie na twoim miejscu nie ruszałbym się z domu dziś wieczór. Siedziałbym w środku i nie wystawiał nosa.

– Chyba tak zrobię. Zdaje się, że to niezły pomysł.

– To tyle – powiedział Wins. – Chyba nic więcej nie mam.

Pomyślałem sobie: lepiej, żebyś wiedział. Chyba będę musiał

przebić się do drogi na wstecznym. Nie ma jak wykręcić.

– Jedź pod dom. Tam zawrócisz.

– Droga niedaleko – odrzekł Wins. – Dam sobie radę.

Samochód powoli odjeżdżał w tył.

Enoch patrzył za nim.

Podniósł rękę w geście pozdrowienia, gdy samochód miał zniknąć za zakrętem. Wins pomachał w odpowiedzi i za chwilę pojazd został połknięty przez gęstwinę obrastającą drogę z obu stron.

Enoch odwrócił się powoli i ruszył do stacji.

„Motłoch – myślał. – Dobry Boże, motłoch! Zgraja miotająca się z wrzaskiem wokół stacji, dobijająca się do drzwi i okien w huku wystrzałów przekreśli ostatnią nikłą szansę tego – jeśli była jeszcze jakaś szansa – że Galaktyka Centralna odstąpi od zamiaru porzucenia stacji. Taka demonstracja dostarczy mocnego argumentu zwolennikom zaniechania ekspansji w głąb spiralnego ramienia. Dlaczego tak wiele spraw musiało zbiec się w czasie? Całymi latami nic się nie działo, a teraz wszystko wali się w ciągu kilku godzin. Jakby okoliczności sprzysięgły się przeciwko mnie. Jeżeli nadciągnie motłoch, nie tylko los stacji zostanie przypieczętowany, ale również ja nie będę miał innego wyboru, jak tylko przyjąć ofertę stanowiska zawiadowcy innej stacji. Wbrew własnej woli zostanę pozbawiony możliwości zostania na Ziemi.”

Nagle zdrętwiał; uświadomił sobie, że całkiem prawdopodobne było wycofanie oferty przeniesienia go do innej stacji. Obecność motłochu pałającego żądzą krwi obciążałaby zarzutem barbarzyństwa cały rodzaj ludzki bez wyjątku, więc także i jego samego. Zastanawiał się, czy nie powinien zejść nad strumień i spotkać się znów z Lewisem. Można było przecież

poczynić jakieś kroki, by zapobiec rozruchom. Zdawał sobie jednak sprawę, że w takim przypadku winien będzie jakieś wyjaśnienie, a obawiał się wyjawiać zbyt wiele. Poza tym być może nikt mu nie zagrażał. Miał nadzieję, że nikt nie potraktuje poważnie słów Hanka Fishera i cała sprawa spali na panewce.

Postanowił zostać na jakiś czas w stacji.

„Może żaden podróżny nie zjawi się podczas napadu motłochu – myślał – jeśli taki nastąpi – i cały incydent ujdzie uwagi Galaktyki. Przy odrobinie szczęścia może się uda. Zwykle po złej passie przychodzi dobra. Ostatnie kilka dni nie należało do szczęśliwych.”

Doszedł do przekrzywionej furtki, przez którą wchodziło się na podwórze, i zatrzymał się, by popatrzeć na dom; z jakiegoś niepojętego powodu próbował zobaczyć go takim, jakim znał z dzieciństwa.

Dom stał jak zawsze, niezmienny, z jednym wszakże wyjątkiem: dawniej miał koronkowe firanki w każdym oknie. Podwórze wokół zarosło z biegiem lat: kępa bzu z każdą wiosną rozkrzaczała się w splątany i wybujały gąszcz, wiązy posadzone ręką ojca Enocha zmieniły się z dwumetrowych wiotkich patyków w ogromne drzewa, krzak herbacianej róży przy rogu domu padł ofiarą dawno zapomnianej zimy, znikły kwietniki i mały ogród ziół przy furtce, zarośnięty teraz nie koszoną trawą. Z kamiennego muru po obu stronach furtki zostały jedynie garbate wybrzuszenia. Napór stuletnich mrozów, żywotność pnączy i traw oraz długie lata zaniedbywania dopełniły dzieła zniszczenia i za następne sto lat nie będzie już śladu wybrzuszeń. Dalej, na zboczu, gdzie erozja zrobiła swoje, na niektórych odcinkach nie pozostało już śladu muru.

Wszystko się zmieniło, a on dopiero teraz zwrócił na to uwagę.

Dlaczego dopiero teraz? Czy dlatego, że być może powróci na Ziemię? – on, który nigdy nie wyrzekł się ziemi, słońca i powietrza, nigdy nie opuścił ich, lecz dłużej niż innym ludziom dane mu było spacerować nie po jednej planecie, ale po wielu, hen, daleko wśród gwiazd.

Stał w słońcu późnego lata i dygotał na chłodnym wietrze, który zdawał się docierać z nieznanego wymiaru. Po raz pierwszy rozmyślał (pierwszy raz został zmuszony do zastanowienia się nad tym), kim właściwie był. Nawiedzonym, który musiał pędzić życie, nie będąc ani istotą z gwiazd, ani człowiekiem, usiłującym pozostać lojalnym zarówno wobec ludzkości, jak i Galaktyki, otoczonym cieniami dawnych czasów, które będą towarzyszyć mu w czasie i przestrzeni bez względu na jego wybór, na Ziemi i w gwiazdach? Kulturowym mieszanelem, niezdolnym zrozumieć ani Ziemi, ani gwiazd, ich dłużnikiem, nie spłacającym swoich długów? Bezdomną, zabłąkaną istotą, która nie odróżnia dobra od zła, gdyż poznała tyle różnych (przy tym logicznych) punktów widzenia na to, co jest dobrem, a co złem?

Wspiął się na wzgórze górujące nad strumieniem. Czuł się przepełniony ciepłym blaskiem odzyskanego człowieczeństwa – znów należał do ludzkości, złączony był z ludźmi sekretnym planem niby w chłopięcej zabawie. Ale czy można go było nazwać człowiekiem? A jeśli tak, jeśli starałby się o to, co stanie się z jego stuletnią lojalnością wobec Galaktyki Centralnej? Czy rzeczywiście pragnął być człowiekiem?

Wolno minął furtkę; w głowie wciąż kłębiły się pytania – wielki, nie kończący się natłok pytań bez odpowiedzi. Nie, nie narzekał na brak odpowiedzi, lecz na ich nadmiar.

Może Mary, David i pozostali wpadną wieczorem go

odwiedzić; mogliby wtedy wspólnie wszystko rozważyć...

I nagle przypomniał sobie.

Nie przyjdą. Ani Mary, ani David, ani pozostali. Przez długie lata odwiedzali go, a teraz już nigdy nie przyjdą do niego; przysł czar, rozwiały się złudzenia, został sam.

Był samotny i pozostał samotny – z goryczą w sercu przyznał to. Wszystko było iluzją, nigdy nie istniało. Latami oszukiwał samego siebie; z wielkim zapalem, z ochotą zaludnił na niby ów kącik obok kominka tworamami wyobraźni. Za pomocą obcej techniki, powodowany samotnością i tęsknotą za ludźmi, powołał je do istnienia – były realne dla wszystkich zmysłów z wyjątkiem nieomylnego dotyku.

Zawiódł go przy tym elementarny zmysł przyzwoitości.

Półstworzenia. Biedne, żalodne półistoty ni to z tego świata, ni to zjawy. Zbyt ludzkie w świecie zjaw, zbyt ulotne w świecie ludzi.

„Mary, gdybym tylko wiedział – gdybym wiedział, nigdy bym nie spróbował. Wybrałbym samotność.” Nie był już w stanie tego naprawić. Już nic nie mógł zrobić.

„Co się ze mną dzieje?

Co się ze mną dzieje?”

Nie potrafił już jasno myśleć. Postanowił, że zostanie w stacji, by uniknąć spotkania z rozwydrzoną tłuszcza, która miała nadciągnąć. Zaraz jednak przypomniał sobie, iż przecież nie mógł zostać w środku, bo Lewis już wkrótce miał dostarczyć ciało Mglatego.

„Jeżeli pijana zgraja przybędzie w tym samym czasie co Lewis z ciałem – skutki będą nieobliczalne” – pomyślał.

Przystanął niezdecydowany.

Gdyby zawiadomił Lewisa o niebezpieczeństwie, ten mógłby

nie przywieźć ciała, a przed upływem nocy Mglisty musiał spocząć w grobie.

Postanowił zaryzykować.

„Może motłoch się nie pojawi. A jeżeli nawet – musi istnieć jakieś wyjście z sytuacji.”

Przyrzekł sobie, że coś wymyśli.

Musiał coś wymyślić.

W stacji panował spokój. Nie przyszła żadna wiadomość; maszyna milczała – nie mruzczała nawet nic do siebie, jak to się czasem zdarzało. Enoch położył karabin na biurku, obok rzucił plik gazet. Zdjął kurtkę i zawiesił na oparciu fotela.

Trzeba było przeczytać gazety, nie tylko z tego dnia, z poprzedniego również; i nie uzupełnił dziennika, co będzie kosztowało go mnóstwo czasu. Zapisanie wszystkiego zajmie kilka stron, nawet jeśli będzie pisał maczkiem, a musiał notować sensownie i chronologicznie, żeby opis wczorajszego dnia wyglądał na sporządzony wczoraj, a nie o cały dzień później. Musiał uwzględnić każde zdarzenie w całej złożoności oraz własne reakcje na to zdarzenie i refleksje nad nim. Tak postępował zawsze i nie zamierzał od tego odstępować. Dotychczas udawało mu się pracować w taki sposób, gdyż stworzył sobie niszę, nie na Ziemi ani w Galaktyce, lecz w nieuchwytej sferze zwanej egzystencją – i pracował tam niczym średniowieczny mnich w swojej celi. Był tylko obserwatorem, ciekawym wszystkiego widzem, który jednakże nie zadowalał się wyłącznie obserwacją, ale drążył materię zjawisk – nadal pozostając jednak bezstronnym świadkiem, nie związanym życiowo ani emocjonalnie z tym, co działo się wokół niego. W ciągu ostatnich dwóch dni stracił niestety swój status obserwatora. Ziemia i Galaktyka wdarły się w jego świat. Zagubił swój zaciszny kącik i musiał zaangażować się osobiście. Stracił obiektywne spojrzenie i nie potrafił już stosować właściwego,

rzeczowego podejścia, które dawało mu solidne podstawy do prowadzenia zapisków.

Podszedł do półki z księgami i wyjął bieżący tom; przekartkował szybko aż do ostatniej notatki. Odnalazł ją niemal na samym końcu. Zostało tylko kilka czystych kartek, może za mało, by pomieścić opis wszystkich wydarzeń, o których warto było wspomnieć. Z całą pewnością skończy księgę, zanim wyczerpie temat, i będzie musiał zacząć nową.

Stał z dziennikiem w ręku i spoglądał na stronę, na której skończył ostatni zapis, z przedwczoraj. Zaledwie z przedwczoraj, a wydawało mu się, że upłynęły wieki; zapis wyglądał nawet na lekko wyblakły.

„To całkiem możliwe – pomyślał – przecież pochodzi z zeszłego wieku.”

Ostatni zapis, po którym jego świat runął bezpowrotnie.

Jaki sens miało dalsze pisanie? Zapis był skończony, zanotował wszystkie znaczące sprawy. Stacja zostanie zamknięta, a jego ojczysta planeta opuszczona, bez względu na to, czy on sam pozostanie czy przejdzie do innej stacji na obcej planecie – Ziemia była zgubiona. Ze złością zamknął księgę i wstawił na miejsce na półce.

Wrócił do biurka.

„Ziemia przepadła i ja przepadnę wraz z nią” – myślał zdenerwowany, zagubiony i niepewny przyszłości. Był zły na los (jeśli coś takiego jak los istniało) i na głupotę. Nie tylko na głupotę Ziemi, lecz także na ograniczenie umysłowe Galaktyki: na małostkowe kłótnie opóźniające pochod ku braterstwu ludów, który dotarł wreszcie i do tego galaktycznego zakątka. Na Ziemi i w Galaktyce liczba skomplikowanych wynalazków, szlachetne myśli, mądrość i erudycja mogły zastąpić kulturę, ale nigdy

cywilizację. Prawdziwe ucywilizowanie polegało na czymś bardziej subtelnym niż wynalazki i złote myśli.

Musiał koniecznie coś ze sobą zrobić, cokolwiek – zacząć krążyć po stacji niczym zwierzę w klatce, wybiec na zewnątrz i krzyknąć do ostatniego tchu albo rozbijać i niszczyć – wyładować w jakiś sposób wściekłość i rozczarowanie.

Porwał z biurka karabin. Otworzył szufladę, w której trzymał naboje, rozerwał pudełko i wsypał zawartość do kieszeni.

Stał przez chwilę z bronią w ręku. Cisza panująca w stacji wydała mu się przytłaczająca i chłodna; odłożył karabin na biurko.

Jaka dziecinada. Wyładowywać gniew i wściekłość na nierzeczywistości. Przecież nie miał powodu do gniewu i wściekłości. Bieg wypadków należało rozpoznać, następnie zaakceptować. Do tego człowiek dawno powinien był się przyzwyczaić.

Powiódł wzrokiem po stacji. Nadal panował nastrój wyczekiwania, jak gdyby ściany odmierzały czas do wydarzenia, które miało nastąpić.

Roześmiał się cicho i znów sięgnął po broń.

Bez względu na to, czy była to nierzeczywistość czy nie, musiał czymś zająć umysł, oderwać się od osaczającego go morza problemów. Musiał zresztą poćwiczyć celność. Co najmniej od dziesięciu dni nie był na strzelnicy.

Znalazł się w rozległym podziemiu. W mrocznej dali za rzędem zapalonych świateł rozciągał się labirynt korytarzy i sal wydrążonych w litej skale tworzącej szczyt wzgórza.

Stały tu masywne zbiorniki wypełnione różnymi roztworami na potrzeby niektórych podróżnych, pompy i generatory pracujące na zupełnie nieznanymi zasadach. Pod posadzką mieściły się olbrzymie pojemniki, służące do magazynowania kwasów i gęstej cieczy, która kiedyś była ciałami istot przybywających do stacji; podróżni udawali się w dalszą drogę, pozostawiając bezużyteczne powłoki.

Enoch minął pojemniki i generatory i wszedł do korytarza biegnącego daleko w ciemność. Znalazł płytkę w ścianie i nacisnął ją. Zapłonęło światło. Ruszył korytarzem. Po obu stronach ciągnęły się metalowe półki, na których leżały upominki, drobiazgi, wszelkiego rodzaju przedmioty ofiarowane mu przez podróżnych z najdalszych zakątków galaktyki. Wszystko to mogło być użyteczne i czemuś służyć – celom praktycznym lub estetycznym – trzeba było jedynie odkryć przeznaczenie danego przedmiotu.

Część półek znajdujących się przy końcu długiego rzędu zawierała zbiory bardziej usystematyzowane, starannie ustawione; każda rzecz była oznakowana i opatrzona numerem, a także odnośnikami do informacji w katalogu i dat w dziennikach. Tutaj mieściły się przedmioty, których przeznaczenie Enoch znał, wiedział nawet, na jakiej zasadzie

niektóre z nich działały. Część miała niewielką wartość, zdarzały się jednak podarunki o potencjalnie wielkiej wartości; były też takie, które nie znalazłyby żadnego zastosowania w ludzkim świecie, a także kilka oznaczonych czerwonym kolorem – na samą myśl o nich przechodził człowieka zimny dreszcz.

Szedł dalej korytarzem; jego kroki rozbrzmiewały głośnym echem, gdy wkraczał w krainę duchów obcych. Korytarz rozszerzył się, przechodząc w owalną salę, której ściany wyłożone były grubym szarym materiałem, pochłaniającym kule i zabezpieczającym przed rykoszetem.

Podszedł do tablicy rozdzielczej, umieszczonej w głębokiej wnęce. Kciukiem nacisnął włącznik i szybko odskoczył na środek pomieszczenia.

Powoli zgasło światło, potem nagle zabłysło i nie był już w sali, lecz w zupełnie innym miejscu – w miejscu, którego nigdy przedtem nie widział.

Stał na niewielkim pagórku. Zbocze przed nim opadało do bagnistych brzegów leniwie płynącej rzeki. Pomiedzy mokradłami i podnóżem pagórka rozciągały się ostre, wysokie trawy. Nie było wiatru, a mimo to trawa falowała – jej kołysanie powodował ruch wielu skradających się ciał. Dobiegło Enocha dzikie chrząkanie, jak gdyby tysiąc rozjuszonych wieprzów walczyło o najlepsze kąski w korycie z pomyjami. Z oddali, być może znad rzeki, dochodził głęboki, monotony ryk.

Enochowi powstały włosy na głowie. Załadował karabin. To dziwne. Wyczuwał niebezpieczeństwo i zdawał sobie z niego sprawę, a przecież na razie nic się nie działo. Wydawało się jednak, że niebezpieczeństwo czai się ze wszystkich stron.

Odwrócił się i zobaczył ciemną gęstwinę lasu nie opadał, który porastał zbocza nadrzecznych wzgórz i graniczył z morzem

wysokich traw wokół pagórka. Za wzgórzami ciemną purpurą majaczyło pasmo potężnych gór aż pod niebo, purpurowych po same wierzchołki, bez śladu śnieżnych czap.

Wtem z lasu wypadły dwie istoty i zastygły na jego skraju. Usiadły z ogonami owiniętymi wokół łap i wykrzywiły pyski. Przypominały wilki albo psy – Enoch nigdy nie widział takich stworzeń. Ich sierść, błyszcząca w bladym słońcu, była jakby nasmarowana tłuszczem i przerzedzała się na karku. Głowy miały łyse. Wyglądały jak dwaj złośliwi starcy na maskaradzie, odziani w wilcze skóry. Efekt psuły wywieszane ozory – jaskrawoczerwone plamy na trupio bladych pyskach. Las trwał w bezruchu. Były tylko dwie ponure bestie, które przysiadły na zadach, wykrzywiając pyski, jakby się uśmiechały. Leśny gąszcz był splątany i ciemny, głęboka zieleń listowia zdawała się niemal czarna, wszystkie liście lśniły, jakby zostały wypolerowane.

Enoch odwrócił się, by spojrzeć na rzekę. Na skraju traw ustawił się rząd ropuchowatych potworów: długich na prawie dwa metry, z głowami na wysokości metra, o ciele koloru brzucha zdechłej ryby i o jednym oku – lub czymś, co przypominało ogromne oko – ponad pyskiem. Ślepia niczym wyszlifowane kamienie odbijały przyćmiony blask słońca jak oczy polującego kota, które lśnią schwyte w promień światła.

Ryk nadal dobiegał znad rzeki, a kiedy cichł, dawało się słyszeć słabe brzęczenie, gniewne i złośliwe, jak brzęczenie komara szykującego się do ataku, lecz o wiele ostrzejsze.

Enoch gwałtownie podniósł głowę; zobaczył sznur kropek, które unosiły się tak wysoko, że nie mógł dojrzeć, czym w istocie były. Spojrzał na rząd ropuchowatych stworzeń. Kątem oka pochwycił jakiś ruch i obrócił się w stronę lasu.

Wilcze sylwetki o łysych głowach cicho wspinały się po

zboczu. Nie spieszyły się. Nie wykonywały żadnych gwałtownych ruchów.

Enoch podrzucił karabin – wpasował się idealnie w ciało, jakby był jego częścią. Muszka weszła w szczyrbinkę i spoczęła na pysku pierwszej bestii. Broń kopnęła, gdy Enoch nacisnął spust. Nie sprawdzał, czy strzał położył stworzenie. Odwiódł zamek, podczas gdy lufa podążała za drugą bestią. Kopnięcie karabinu – i druga wilkopodobna istota przekoziółkowała i stoczyła się po zboczu.

Ponownie załadował broń odwracając się. Łuska zużytego naboju błysnęła mosiądzem w promieniach słońca. Ropuchowate stworzenia przybliżyły się. Podkrażały się, gdy na nie nie patrzył; teraz zastygły, wpatrując się w niego. Sięgnął do kieszeni i wydobył dwa naboje. Wsunął je do magazynka w miejsce wystrzelonych.

Ryk w dole ustał, ale teraz nie wiadomo skąd zaczęło rozbrzmiewać wycie. Obracając się ostrożnie, Enoch próbował ustalić jego źródło. Wydawało się, że wycie dobiega z lasu, lecz nic nie wskazywało na to, iż w lesie coś się ukrywa.

Gdy wycie cichło, słyszał wciąż brzęczenie, które stało się jakby głośniejsze. Spojrzał w niebo. Kropki powiększyły się i zmieniły ustawienie. Utworzyły krąg i spiralnie kołując, obniżały lot. Nadal Enoch nie miał pojęcia, czym były. Skierował spojrzenie na ropuchowate stworzenia. Znów podpełzły.

Uniósł karabin i w połowie drogi broni do ramienia nacisnął spust. Oko jednego z potworów eksplodowało, wydając dźwięk przypominający plusk kamienia wrzucanego w wodę. Poczwarą nie podskoczyła ani nie poturlała się. Po prostu opadła płasko na ziemię, jakby ktoś postawił na niej nogę i mocno nadepnął. W miejscu oka ziała wielka okrągła dziura, która zaczęła

wypełniać się żółtą gęstą cieczą – pewnie była to krew potwora.

Pozostałe stworzenia cofnęły się powoli i ostrożnie. Opuściły pagórek, zatrzymały się na skraju traw. Wycie rozbrzmiewało coraz bliżej, brzęczenie też narastało. Enoch nie miał już wątpliwości: wycie dobiegało ze wzgórz.

Wykonał zwrot i zobaczył, jak coś przecina niebo od strony pasma gór i schodzi, wyjąc, zboczem. Był to ogromny czarny balon, który to pęczniał, to znów wiotczał; kołysał się i podskakiwał podczas marszu, zwieszony w miejscu połączenia czterech łukowatych sztywnych nóg, które unosiły go wysoko ponad lasem. Kroczył chwiejnie, przy każdym kroku podnosząc nogi wysoko ponad korony potężnych drzew. Każdemu postawieniu nogi towarzyszyło trzaskanie gałęzi i drzew, łamanych lub roztrącanych.

Dreszcz przebiegł Enochowi po plecach, włosy stanęły dęba pod wpływem jakiegoś pierwotnego instynktu, nakazującego im ustawić się w wojowniczy czub. Choć paraliżował go strach, jakaś niewielka część jego mózgu pamiętała, że przecież został oddany jeden strzał. Zagłębił więc dłoń w kieszeń po nowy pocisk do magazynka. Brzęczenie rozbrzmiewało dużo głośniej i zmienił się jego ton. Dźwięk zbliżał się ze straszliwą prędkością.

Enoch gwałtownie podniósł głowę; kropki przestały kołować na niebie i nurkowały wprost na niego, jedna za drugą. Rzucił spojrzenie w kierunku wyjącego balonu, podrygującego na szrudłowatych nogach. Balon wciąż się zbliżał, lecz nurkujące kropki były szybsze – pierwsze miały dotrzeć do pagórka.

Enoch podniósł karabin i przesunął do przodu, gotów w każdej chwili podrzucić go do ramienia. Nie spuszczał z oka kropek, które przemieniły się w potworne, wydłużone kształty. Każdemu wyrastało z głowy coś w rodzaju długiego rapiera. „Jakby dziób”

– pomyślał Enoch. Stworzenia musiały być ptakami, tylko większymi, bardziej wydłużonymi, przy tym drapieżniejszymi od jakichkolwiek ptaków na ziemi. Brzęczenie przeszło w pisk o wznoszącym się tonie. Wtórowało mu wycie balonu.

Enoch, nieświadomy ruchu swoich rąk, oparł karabin na ramieniu i czekał na chwilę, aż pierwszy z nurkujących potworów znajdzie się w zasięgu strzału.

Spadały z nieba jak kamienie. Były większe, niż początkowo sądził – ogromne i liczne, niby chmura strzał wycelowanych wprost w niego.

Karabin z głuchym odgłosem uderzył go w ramię i jeden ze stworów zwinął się, tracąc strzelisty kształt, po czym zaczął spadać, zbaczając z kursu. Enoch załadował i znów wystrzelił. Drugi stwór zachwiał się w locie, a następnie runął w dół. Jeszcze raz załadował i nacisnął spust. Trzeci spadał ukośnie w stronę rzeki, bijąc bezradnie skrzydłami.

Reszta zaniechała lotu nurkującego. Zatoczyły ciasne koło i wzbiły się w niebo, młócąc zawzięcie ogromnymi niczym śmigłami wiatraka skrzydłami.

Na wzgórze padł cień i gdzieś z wysoka opadła potężna kolumna, wbijając się w zbocze. Ziemia zadrżała, a woda ukryta wśród traw trysnęła wysoko w powietrze. Wycie zagłuszało wszystko. Wielki balon zbliżał się, kołysząc na swoich nogach.

Enoch zobaczył pysk, jeśli coś tak groteskowego i tak obrzydliwego można było nazwać pyskiem. Potwór miał dziób, a pod nim otwór gębowy z przyssawką i z tuzin organów przypominających ślepią. Nogi wyglądały jak odwrócone V; ich krótsze odcinki schodziły się i w tym miejscu zawieszony był wielki balon – korpus stworzenia – z pyskiem pod spodem, dzięki czemu istota widziała całą strefę łowów, rozciągającą się poniżej.

Nagle potwór zgiął nogi, by schwytać zdobycz.

Enoch nie był świadom tego, że podniósł karabin, że ładował go i strzelał. Zdawało mu się, iż stoi obok i przygląda się strzelającej postaci, która nie była nim samym.

Wielkie strzępy mięsa odrywały się od czarnej powłoki balonu. Z dziur wypłynęła ciecz, która zamieniła się w mgłę i zaczęła opadać deszczem czarnych kropeł.

Karabin wydał suchy, metaliczny trzask – zabrakło w nim naboju, lecz kolejny strzał nie był już konieczny. Wielkie nogi zginały się w drgawkach, a skurczonym cielskiem wstrząsały konwulsje w chmurze wydobywającej się ze stworzenia. Wycie ucichło i Enoch słyszał szum kropeł spadających z chmury na niewysoką trawę wzgórza.

Smród przyprawiał o mdłości, a spadające krople były lepkie i oleiste. W górze wielka szczudłowata konstrukcja waliła się i miała zaraz runąć na ziemię.

Potem świat zgasł i już go nie było.

Enoch stał w owalnej sali, w słabym świetle żarówek. W powietrzu unosił się silny zapach prochu. Wokół jego stóp połykiwały łuski wyrzucone przez karabin. Znowu znajdował się w podziemiu. Strzelanie do celu było zakończone.

Enoch opuścił broń i powoli, ostrożnie zaczerpnął tchu. Zawsze tak było. Jak gdyby musiał rozluźnić się stopniowo, powracając do świata z nierzeczywistości.

Zdawał sobie sprawę, że to wszystko działo się na niby – naciskał przełącznik i uruchomił coś, co za chwilę miało się wydarzyć; gdy dobiegało końca, powracała świadomość, iż to było tylko złudzenie.

Przypomniawszy sobie, jak w trakcie budowy stacji spytano go o ulubioną rozrywkę, o to, czy nie zbudować dla niego jakiegoś urządzenia służącego rekreacji. Odpowiedział, że chciałby mieć strzelnicę i nie oczekiwał niczego innego poza galerią metalowych kaczek albo kołem, na którym obracałyby się gliniane fajki. Oczywiście to było zbyt proste dla zwariowanych konstruktorów i wesołej brygady budowniczych stacji.

Najpierw nie wiedzieli, o co mu chodzi. Musiał więc wyjaśniać, co to jest karabin, jak działa i do czego służy. Opowiedział im o polowaniu na wiewiórki w słoneczny jesienny poranek i płoszeniu zajęcy z kęp z nastaniem pierwszych śniegów, wyprawach na szopy w jesienną noc i zasadzaniu się na jelenia wzdłuż ścieżki do wodopoju. Postąpił jednak nieuczciwie nie wyjawiając, do czego używał broni w ciągu czterech długich lat. Tak przyjemnie mu się z nimi gawędziło, że zdradził im swoje młodzińcze marzenie: pragnął kiedyś pojechać na polowanie do Afryki – i nawet gdy o tym opowiadał, w pełni zdawał sobie sprawę z nierealności swych marzeń. Od tamtej pory polował na

stworzenia tak egzotyczne, że przy nich cała Afryka wydawała się niczym. W dodatku stworzenia polowały na niego.

Nie miał pojęcia, co stanowiło pierwowzór dla tych stworów. Być może zaistniały jedynie w wyobraźni obcych instalujących taśmy ze scenami polowania. Nie zdarzyło się jeszcze – a tysiące razy bywał na strzelnicy – ani powtórzenie scenerii, ani powielenie którejś z szalejących bestii. Chociaż to musiało się gdzieś kończyć i wtedy całość powtarzana była jeszcze raz od początku.

„Zresztą co za różnica – pomyślał Enoch. – Jeżeli nawet taśmy pobiegną od początku, istnieje mała szansa, że przypomnę sobie jakiegokolwiek znaczące szczegóły przygód, które przeżyłem wiele lat temu.”

Nie znał zasad ani technik zastosowanych przy budowie tej fantastycznej strzelnicy. Jak w wielu innych sprawach zaakceptował fakt bez prób zrozumienia go. A jednak może kiedyś odkryje wskazówkę, która z czasem zmieni ślepą akceptację w pełne rozumienie – nie tylko mechanizmu strzelnicy, lecz wielu innych rzeczy.

Często zastanawiał się, co obcy myślą o jego fascynacji strzelaniem i o pierwotnej sile, która każe człowiekowi zabijać – nie dla przyjemności, lecz z potrzeby odsunięcia niebezpieczeństwa (siłę zwalczać większą siłą, a chytrą brać podstępem). Usiłował odgadnąć, czy przez swoje strzeleckie zamiłowania nie wpłynął na ocenę ludzkiego charakteru przez kosmicznych przyjaciół. Czy obcy potrafili rozróżnić zabijanie innych form życia od zabijania przedstawicieli własnego gatunku? Czy istotnie występuje logicznie uzasadniona różnica między polowaniem dla sportu a strzelaniem na wojnie? Istotom z gwiazd podobne rozróżnienie nastęrczyłoby pewnych

trudności, gdyż w wielu przypadkach ścigane zwierzę swym wyglądem i cechami bardziej przypominało polującego człowieka niż wielu nie-Ziemian.

Czy wojna była kwestią instynktu i zwykły człowiek odpowiadał za nią w równym stopniu co politycy i tak zwani mężowie stanu? Wydawało się to niemożliwe, a jednak w każdym człowieku głęboko tkwił instynkt walki, agresywny pęd, dziwna potrzeba rywalizacji – co zawsze prowadziło do rozmaitych konfliktów, jeśli nie powstrzymało się tego w porę.

Włożył karabin pod pachę i podszedł do tablicy rozdzielczej. Z otworu u dołu wystawał kawałek taśmy. Wysunął go i odcyfrował symbole. Wyniki nie były rewelacyjne. Nie poszło mu najlepiej. Za pierwszym strzałem spudłował; nie trafił wilka z głową starca i teraz gdzieś w nierzeczywistości bestia wraz z kompanem charkotliwie rozprawiała się ze sponiewieraną masą krwistych strzępów i połamanych kości, które niegdyś były Enochem Wallace'em.

Wracął korytarzem pełnym podarunków upchanych tak, jak w zwykłych ludzkich domostwach gromadzi się rupiecie na strychu.

Odcinek taśmy nie dawał mu spokoju – mały skrawek stwierdzający, że choć później trafiał raz po raz, pierwszy strzał na wzgórzu okazał się niecelny. Rzadko pudłował. Został wyszkolony do takiego strzelania, gdzie nie wiadomo było, co za moment nastąpi i trzeba było kierować się zasadą „zabij albo zginiesz”, którą dobrze poznał podczas niezliczonych wypadów w strefę rażenia. Pocieszał się, że może nie przykładał się ostatnio jak należy. Właściwie nie miał powodu starać się, gdyż strzelanie stanowiło jedynie rozrywkę, a codzienne spacery z bronią odbywał wyłącznie z przyzwyczajenia. Nosił karabin, tak jak inni ludzie nosili laskę lub parasol. Kiedy na początku wychodził na spacer, inny to był karabin i inne czasy. Wtedy nikogo nie dziwiła broń na spacerze. Ale teraz było inaczej; uśmiechając się w myślach, wyobraził sobie, jaką sensację musiał wzbudzać, nosząc karabin.

Na końcu korytarza widać było czarny kufer pod dolną półką; choć stał przysunięty do ściany, wystawał na dobre pół metra.

Enoch minął go wolnym krokiem i nagle się obejrzał. Uświadomił sobie, że przecież ten kufer należał do Mglatego. Spadek po istocie z gwiazd, której wykradzione ciało dziś wieczorem miało spocząć znów w swoim grobie.

Podszedł do półek i oparł karabin o ścianę. Pochylając się,

wyciągnął kufer. Przeglądał już poprzednio zawartość, zanim umieścił kufer w podziemiu, ale wtedy nie interesowało go to. Teraz nagle obudziła się w nim ciekawość.

Ostrożnie uniósł wieko i odchylił je do tyłu, aż oparło się o półki. Przykucnął nad otwartym kufrem i na początek, nie dotykając niczego, dokonał przeglądu górnej warstwy jego zawartości.

W kufrze znajdował się połyskujący płaszcz, starannie złożony – chyba rodzaj uroczystej szaty, ale tego Enoch nie był całkiem pewien. Na wierzchu leżała maleńka buteleczka, migocząca refleksami światła, jak gdyby ktoś wydrążył wielki brylant i zrobił z niego flakonik. Obok płaszcza spoczywało grono ciemnofioletowych, matowych kulek; do złudzenia przypominały zapas piłek tenisowych sklejonych w kształt kuli. Ale było to tylko złudzenie; Enoch przypomniał sobie, że za pierwszym razem, zachwycony kulami, uniósł je i zobaczył, że nie są wcale sklezione, lecz swobodnie poruszają się, nie wychodząc jednak poza obręb kuli. Żadna kulka nie dała się oderwać, choćby ją ciągnąć z całych sił. Przemieszczała się swobodnie wśród innych jakby płynąc. Można było poruszyć każdą kulkę lub wszystkie naraz, a całe grono i tak nie zmieniłoby kształtu. Enoch podejrzewał, że to jakiś kalkulator, potem jednak porzucił tę myśl – kule były identyczne i w żaden sposób nie można ich było odróżnić. W każdym razie ludzkim okiem. Czy Mglisty potrafił je rozróżnić? A jeśli to był kalkulator, to jakiego rodzaju? Matematyczny? Moralny? Filozoficzny? Ale czy ktoś słyszał o kalkulatorze do celów moralności czy filozofii? Albo raczej: kto z ludzi w ogóle o czymś takim słyszał? To musiało być najprawdopodobniej coś zupełnie innego. Może jakaś gra – jakiś pasjans dla samotnych?

Z czasem człowiek mógłby to rozgryźć. Ale teraz Enochowi brakowało czasu i powodów, by rozmyślać nie wiadomo ile nad jednym jedynym przedmiotem, podczas gdy obok znajdowały się setki równie fantastycznych i niezrozumiałych. Kiedy łamałby sobie głowę nad jedną rzeczą, w głębi ducha zawsze podejrzewałby, że poświęca czas czemuś najmniej ważnemu w całym zbiorze.

Był już zmęczony nadmierną ilością okazów.

Sięgnął po migotliwą buteleczkę, leżącą na płaszczu. Gdy ją podniósł, dostrzegł napis wyryty w szkłe (diamencie?). Powoli odczytał pismo. Kiedyś, dawno temu, umiał czytać w języku Mglistych; może niezbyt płynnie, ale dawał sobie radę. Lecz już od kilku lat nie używał tego języka i bardzo dużo zapomniał. Powoli brnął od jednego symbolu do drugiego. W wolnym przekładzie napis na buteleczce brzmiał: „Zażywać przy pierwszych objawach”.

Fiolka z lekarstwem! Zażywać przy pierwszych objawach. Objawy pewnie wystąpiły tak gwałtownie i w takim nasileniu, że właściciel fiołki nie był w stanie po nią sięgnąć i zmarł.

Niemal z namaszczeniem Enoch odłożył buteleczkę tam, gdzie leżała – na złożony płaszcz – wpasowując z powrotem w nieuchwytny kontekst przypisanego jej miejsca.

„Tak różni od nas pod wieloma względami – pomyślał – i w tak wielu drobnych sprawach zdumiewająco do nas podobni. Przecież buteleczka z napisem jest odpowiednikiem fiołek, jakie można kupić w każdej aptece, opatrzonych informacjami o sposobie użycia.”

Obok grona kul spoczywało pudełko. Podniósł je. Pudełko zrobione było z drewna; zamykało się na dość prosty zatrzask. Otworzył wieczko i zobaczył znajdujący się w środku połyskujący

metalicznie materiał, którego Mgliści używali zamiast papieru.

Ostrożnie uniósł pierwszą stronicę i spostrzegł, że nie jest ona pojedynczą kartką, lecz stanowi początek całości złożonej w harmonijkę. Pod spodem leżały inne tego typu przedmioty, najwyraźniej z tego samego materiału. Coś było napisane, zatarte i ledwo widoczne. Enoch pochylił się.

Do mojego... przyjaciela (właściwie nie było tam słowa „przyjaciel”, lecz raczej „brat krwi” lub „kolega”, a poprzedzające to słowo przymiotniki miały dla Enocha zupełnie niejasny sens).

Pismo było trudne do odczytania. Częściowo przypominało znormalizowany język pisany, lecz najwyraźniej nosiło cechy osobowości piszącego, z zawijasami i ozdobnikami. Enoch wolno przedzierał się przez fragmenty tekstu, wiele opuszczając, jednak sens większości słów udało mu się uchwycić.

Autor odwiedził jakąś planetę lub może po prostu inne miejsce na swojej planecie (Enoch nie mógł odczytać nazwy tego miejsca). Podczas podróży pełnił jakąś funkcję (niezupełnie jasno określoną), która miała związek z jego nadchodzącą śmiercią.

Enoch w zdumieniu *przeczytał* to zdanie *jeszcze raz*. Reszta była dość niejasna, ale akurat ta część zaskakiwała klarownością. *Moja śmierć nadchodzi* – pisał autor i nie istniała możliwość pomyłki w tłumaczeniu. Wszystkie trzy słowa były jednoznaczne. Upraszał swego dobrego przyjaciela (?), by ten postępował podobnie. Stwierdzał, że to pociecha i że trzeba ustąpić z drogi. Żadnych bliższych wyjaśnień. Jedynie spokojne stwierdzenie, że uczynił coś, co musiało być jego zdaniem załatwione przed śmiercią. Jak gdyby wiedział, że śmierć jest już blisko i nie tylko porzucił obawy, lecz niemal zachowywał spokój ducha.

Następny fragment (w tekście nie było akapitów) opowiadał

o kimś, kogo autor spotkał, oraz o treści rozmowy na temat zupełnie niezrozumiałej dla Enocha – Enoch zagubił się w nieznanej mu terminologii.

A potem: *Jestem głęboko poruszony miernotą (niekompetencją? nieudolnością? słabością?) ostatniego strażnika...* (tu widniał tajemniczy symbol, który można było przetłumaczyć jako „Talizman”). *Ponieważ...* (tu słowo, które w kontekście mogło znaczyć: „przez długi czas”) *od śmierci ostatniego strażnika źle obchodzono się z Talizmanem. Tak było ponad wszelką wątpliwość...* (znów termin oznaczający długi czas) *odkąd prawdziwego... (wrażliwego?) powołano do spełnienia misji* *Wypróbowano wielu, lecz żaden się nie nadawał, więc Galaktyka straciła swój bliski związek z podstawą porządku życia. My tutaj w... (świątyni? sanktuarium?) żywimy poważne obawy, iż wobec braku odpowiedniego łącznika pomiędzy ludźmi i... (tu kilka nieczytelnych słów) Galaktykę ogarnie chaos (i jeszcze jedna linijka, której Enoch nie zdołał odczytać).*

Następne zdanie dotyczyło nowego tematu: realizacji planów jakiegoś festiwalu kulturalnego, którego zasady były dla Enocha co najmniej mgliste.

Powoli złożył list i umieścił go z powrotem w pudełku. Czuł się trochę nieswojo, jak gdyby wścibiał nos w cudzą przyjaźń. „*My tutaj w świątyni..*” – pisał autor listu. Być może był jednym z Mglistych mistyków i zwracał się do swego starego przyjaciela filozofa. Całkiem możliwe, że ten sam mistyk był też autorem pozostałych listów, które tak wiele znaczyły dla starego Mglistego, że brał je ze sobą w podróż.

Enochowi wydawało się, że poczuł powiew wiatru na plecach; nie tyle może powiew, co raczej dziwne poruszenie i chłód w powietrzu. Spojrzał do tyłu w głąb korytarza, nic jednak nie

dostrzegł. Ruch powietrza ustał, jeśli nie był tylko złudzeniem. Coś pojawiło się i znikło. „Jak duch” – pomyślał Enoch.

Mieszkańcy Wegi XXI znali moment śmierci starca i wszystkie okoliczności z tym związane. Wiedzieli także o zniknięciu ciała. A list tchnął spokojem – spokojem, który nie była w stanie odczuwać większość ludzi.

Czy to możliwe, że Mgliści wiedzieli więcej o życiu i śmierci, lecz wszystkiego nie wyjawiali? Być może zapisano wiedzę o tym i oddano do depozytu gdzieś albo komuś w Galaktyce.

„Czy jest na to odpowiedź?” – rozmyślał Enoch. Siedząc w kucki, doszedł do wniosku, że chyba tak. Ktoś już wiedział, czemu służyło życie i znał jego przeznaczenie. Ta myśl napełniała otuchą, dziwną otuchą wynikającą z wiary w to, że jakaś inteligencja być może rozwiązała zagadkowe równanie wszechświata. Tajemnicze równanie wiązało się w jakiś sposób z siłą duchową, która była jakby idealistycznym bratem czasu, przestrzeni i wszystkich podstawowych elementów, tworzących wszechświat.

Usiłował wyobrazić sobie odczucia kogoś, kto wszedł w kontakt z ową siłą – i nie potrafił. Nie miał nawet pewności, czy istoty obcujące z nią umiałyby opisać swoje wrażenia słowami. To było chyba niemożliwe. Przecież ktoś, kto przez całe życie obcował z czasem i przestrzenią, nie mógł również oddać tego, co dla niego one znaczyły i jak je postrzegał.

Uświadomił sobie, że Ulisses nie wyjawiał mu całej prawdy Talizmanie. Powiedział tylko, że Talizman zaginął i nie służy już Galaktyce, ale nie wspomniał o długich latach, gdy moc chwałę Talizmanu przyćmiewała nieudolność strażnika, nie potrafiącego zapewnić właściwej więzi między ludźmi i siłą duchową. Przez cały czas za sprawą owej nieudolności postępował rozpad

galaktycznego braterstwa. Zła sytuacja nie sięgała korzeniami, jak się wydawało mieszkańcom Galaktyki, ostatnich lat; sięgała o wiele głębiej w przeszłość.

Enoch zatrzasnął wieczko i włożył pudełko do kufra. Postanowił, że kiedyś, gdy odzyska jasność myślenia i bieg wydarzeń przestanie go trapić, gdy osłabnie poczucie winy spowodowane własnym wścibstwem, zdobędzie fachowe i dokładne tłumaczenie listów. Był przekonany, że w ten sposób lepiej zrozumie intrygującą osobowość Mglistych. Będzie mógł trafniej ocenić ich człowieczeństwo – człowieczeństwo nie w znaczeniu przynależności do rodzaju ludzkiego, lecz jako pewne zasady leżące u podstaw wszystkich idei reprezentowanych przez daną społeczność; podobnie jak człowieczeństwo, w wąskim znaczeniu, które determinuje ludzką myśl.

Ujął wieko kufra, by je zamknąć, i zawahał się.

Postanowił, że kiedyś to uczyni. A jeśli nigdy? Warunki w stacji wpłynęły na sposób jego myślenia. Wydawało mu się, że zapewne będzie kiedyś. Czekala go nieskończona ilość dni, miał przed sobą mnóstwo czasu. Ludzkie pojęcie przemijania zostało odkształcone wbrew zasadom zdrowego rozsądku – mógł więc spokojnie patrzeć w przyszłość: w głąb długiej, prawie nieskończonej alei czasu. Ale przecież teraz mógł to być już koniec. Czas pobiegnie swoim torem. Jeżeli przyjdzie mu opuścić stację, urwie się pochód przyszłych dni.

Pchnął wieko z powrotem w tył, aż oparło się o półki. Sięgnął do kufra, wydobył pudełko i postawił obok, na posadzce. Postanowił zanieść je na górę i dołączyć do rzeczy, które zamierzał wywieźć natychmiast po otrzymaniu nakazu opuszczenia stacji.

Czy odejdzie? Chyba znał już odpowiedź. Czyżby podjął najtrudniejszą decyzję? A może sama wkradła się do jego świadomości i dlatego był pewien?

Decyzja pociągała za sobą następną. Jeżeli opuści stację, straci prawo do wystąpienia do Galaktyki Centralnej z prośbą o wyleczenie Ziemi z choroby wojny.

„Reprezentujesz Ziemię - powiedział mu Ulisses. – Tylko ty możesz być jej przedstawicielem.”

Ale czy naprawdę mógł reprezentować Ziemię? Czy istotnie był przedstawicielem ludzkości? Był człowiekiem dziewiętnastego wieku, jak więc miał reprezentować wiek dwudziesty? Z każdym pokoleniem zmieniało się przecież oblicze ludzkości. Na dodatek żył od prawie stu lat w odosobnieniu i w specyficznych warunkach.

Kłęcząc rozmyślał o sobie ze strachem i odrobiną litości, niepewny, czy istotnie pozostał człowiekiem, czy też nieświadomie wchłonął taką mieszaninę nieziemskich poglądów – przez stałe obcowanie z nimi – że stał się dziwną hybrydą, wynaturzonym galaktycznym mieszańcem.

Powoli opuścił wieko i docisnął je. Następnie wsunął kufer pod półki. Wetknął pudełko z listami pod pachę i wstał. Sięgnął po karabin i ruszył w stronę schodów.

W rogu znalazł stertę pustych kartonowych pudeł, w których Winslowe przywoził z miasta zamówiony prowiant. Zaczął się pakować.

Porządnie ułożone księgi zapisów wypełniły jedno całe pudło i połowę następnego. Przysunął stos starych gazet, starannie owinął nimi dwanaście diamentowych buteleczek i zapakował je do następnego kartonu, wymoszczonego dla ochrony przed stłuczeniem. Otworzył szafkę i wyjął skrzynkę z Wegi, którą równie troskliwie opakował. Z innej szafki wyciągnął zbiór obcej literatury i ułożył w czwartym pudle. Przejrzał zawartość biurka, lecz dużo nie znalazł, poza różnymi rupieciami poutykanymi w szufladach. Wpadł mu w ręce wykres; zgniótł go i wyrzucił do kosza stojącego przy biurku. Spakowane pudła postawił przy drzwiach. Lewis miał załatwić ciężarówkę, Enoch jednak obawiał się, że sprowadzenie jej trochę potrwa. Pomyślał więc, że jeśli spakuje wszystkie ważne *rzeczy*, będzie mógł nawet sam je wynieść i czekać na przybycie samochodu.

Ważne *rzeczy*. Kto potrafiłby ocenić ich wartość? Dzienniki i literatura obca – to oczywiście na pierwszym miejscu. Ale reszta? Co wybrać? Wszystko było ważne, powinien zabrać każdą rzecz. Może mu się uda. Gdyby zyskał trochę czasu i gdyby nic mu nie stanęło na przeszkodzie, dałby radę wywieźć wszystkie zbiory przechowywane w pomieszczeniu i w podziemiu. Wszystko należało do niego, obdarowano go tym. Zdawał sobie jednak sprawę, że Galaktyka Centralna mogła ostro

zaprotestować przeciwko zabieraniu czegokolwiek.

Jeżeli tak się stanie, musi koniecznie wywieźć przynajmniej rzeczy najważniejsze. Zastanawiał się, czy nie zejść do podziemi i nie wynieść stamtąd wszystkich przedmiotów, których przeznaczenie było mu znane. „Rozsądniej będzie – pomyślał – jeśli zabiorę tylko te rzeczy, o których coś wiem.”

Stał niezdecydowany, rozglądając się po pomieszczeniu. Na stoliku do kawy znajdowało się tyle przedmiotów do zabrania, łącznie z połyskującą piramidą kul, którą uruchomiła Lucy.

Zauważył, że Zwierzak znów pełzał po blacie i spadł na podłogę. Schylił się i wziął go w ręce. Od czasu, gdy ostatni raz mu się przyglądał, na Zwierzaku wyrosły jedna lub dwie nowe wypustki, zmienił się przy tym jego kolor z ciemnoniebieskiego na bladoróżowy.

Prawdopodobnie nie powinien był nazywać go Zwierzakiem. Być może to nie była żywa istota. Chociaż kto to mógł wiedzieć. Zwierzak zbudowany był z substancji przypominającej zarówno metal, jak i kamień. Pilnik nie zostawił na nim żadnych śladów. Parę razy kusiło Enocha, by walnąć w Zwierzaka młotkiem i zobaczyć, co się stanie, choć właściwie nie musiał zgadywać, jaki byłby tego efekt. Zwierzak rósł powoli i poruszał się, nie wiadomo jednak jak. Wystarczyło wyjść, a przesuwał się kawałek. Wiedział, kiedy był obserwowany, i wówczas nieruchomiał. Nic nie jadł – przynajmniej Enoch nigdy nie zauważył, by to robił – i chyba nie wydalał. Zmieniał kolory, ale nieregularnie i bez widocznej przyczyny.

Zwierzaka przed rokiem czy dwoma laty temu przywiozła Enochowi istota z okolic gwiazdozbioru Strzelca. Przybysz wzbudził w Enochu zainteresowanie. Był prawdopodobnie wędrującą rośliną, choć na taką nie wyglądał – wyglądał raczej

jak tyczkowata roślina, pozbawiona wody i żyznej gleby. Miał odrośl kółek przypominających tandetne bransoletki, dzwiczących przy każdym ruchu niby tysiąc srebrnych dzwonków.

Enoch próbował spytać gościa, czym był prezent, który od niego otrzymał, lecz wtedy wędrująca roślina, zamiast odpowiedzieć, potrząsnęła kólkami i napełniła stację dzwonieniem. Położył więc prezent na biurku.

Parę godzin później, gdy istota dawno już udała się w dalszą drogę, zauważył, że Zwierzak przesunął się na drugi koniec biurka. Uznał, iż musiał się pomylić – przecież przedmioty same się nie poruszają.

Zdecydował zabrać Zwierzaka, gdy będzie opuszczał stację, a także piramidę Lucy i sześcian, który pokazywał krajobrazy innych światów, kiedy zajrzało się do środka. I wiele, wiele innych rzeczy.

Stał ze Zwierzakiem w ręku i wtedy po raz pierwszy zastanowił się, dlaczego właściwie się pakuje. Zachowywał się tak, jak gdyby zdecydował się opuścić stację, jakby wybrał Ziemię, a odrzucił Galaktykę. Ale kiedy i jak podjął taką decyzję? Decyzja powinna być rozważna i przemyślana, a on przecież niczego nie rozważył ani niczego nie przemyślał. Nie kładł na szalę żadnych za i przeciw. Decyzja przyszła nie wiadomo jak i skąd; wydawała się niemożliwa do podjęcia, a została powzięta tak łatwo.

Zapewne nieświadomie przyswoił sobie tak niesamowitą mieszaninę obcych idei i zasad, iż nie zdając sobie z tego sprawy, opanował nowy sposób myślenia – najwyraźniej podświadomy – z którego dotąd nie korzystał, bo nie miał takiej potrzeby.

W przybudówce zostało jedno albo dwa pudła. Postanowił

pójść po nie i skończyć pakować to, co miał jeszcze zabrać, a następnie zejść do podziemi i wynieść przedmioty, których przeznaczenie było mu znane. Spojrzał w okno i zdał sobie sprawę, że musi się pospieszyć, bo zaraz zajdzie słońce. Zbliżała się noc.

Przypomniawszy sobie, że nie jadł lunchu. Nie było jednak teraz czasu na posiłek. Mógł zjeść coś później. Odwrócił się, by położyć Zwierzaka na stoliku, i wtedy usłyszał słaby dźwięk. Zastygł w bezruchu. Bez wątplenia cichy chichot wydawał włączony materializator. Nie mógł się mylić, słyszał ten dźwięk zbyt często. To z pewnością musiał być materiał izator dla osobistości, gdyż nikt nie używał drugiego materializatora bez uprzedniego powiadomienia.

„Ulisses – pomyślał Enoch. – Wraca Ulisses. Albo może kto inny z Galaktyki Centralnej. Bo przecież Ulisses zawiadomiłby o tym, że przybywa.”

Zrobił krok do przodu, tak że widział kąt, w którym stał materializator. Z kręgu wyszła ciemna, nieduża postać.

– Ulisses! – zawołał Enoch, lecz w tym samym momencie zorientował się, że to nie Ulisses.

Przez chwilę miał wrażenie, iż dostrzegł cylinder, frak i biały krawat – beztroski strój; to było jednak tylko złudzenie. Stał przed nim szczer na dwóch nogach, którego ciało porastała przylizana ciemna sierść aż po ostro zakończony gryzoniowaty pysk. Enoch pochwycił spojrzeniem czerwony błysk oczu istoty, gdy ta obracała głowę w jego stronę. Przybysz odwrócił się i zaczął wyciągać futerał, w którym spoczywał połyskujący metalicznie nawet w półmroku przedmiot.

Wszystko to było bardzo podejrzane. Istota nie pozdrowiła Enocha ani nie podeszła do niego; zamiast tego błysnęła

spojrzeniem i odwróciła się. Z futerału wystawał metalowy przedmiot – na pewno karabin lub podobny rodzaj broni.

„Czy w ten sposób zamyka się stację? – przemknęło przez myśl Enochowi. – Jeden szybki strzał i zawiadowca pada martwy na ziemię. Strzela ktoś inny niż Ulisses, któremu nie można ufać, że zabije starego przyjaciela.”

Karabin leżał na biurku, lecz nie było chwili do stracenia. Szczurowata istota stała odwrócona tyłem. Uniosła błyszczącą broń. W mózgu Enocha zadźwięczał alarm. Enoch wrzasnął i zamachnąwszy się cisnął Zwierzakiem w przybysza – przeraźliwy krzyk dobył się z jego płuc mimowolnie.

Uświadomił sobie, że istota wcale nie zamierza zabić zawiadowcy; chciała uszkodzić stację. Jediną rzeczą w kącie pomieszczenia, mogącą stanowić dla niej cel, były urządzenia kontrolne – system nerwowy stacji, sterujący jej działaniem. Gdyby te urządzenia zostały uszkodzone, stacja przestałaby istnieć. By ją ponownie uruchomić, potrzeba byłoby zespołu specjalistów, wysłanych z najbliższej stacji; taka podróż trwałaby wiele lat.

Wrzask Enocha spowodował, że istota aż podskoczyła i przysiadła. Koziółkujący w locie Zwierzak trafił ją w brzuch i rzucił na ścianę.

Enoch skoczył do przodu z wyciągniętymi rękami, gotów do walki wręcz. Szczur wypuścił broń, która zawisła na podłodze. Enoch dopadł obcego i w tym samym momencie poczuł jego niesamowity odór – ohydny, mdlący smród. Chwycił szczura w kleszcze ramion i z wielką siłą wyrwał go z kąta – spodziewał się większego ciężaru. Zamachnął się i rzucił przybysza, aż tamten ślizgiem przeleciał po podłodze i wpadł z hukiem na fotel. Jak stalowa sprężyna istota wstała i skoczyła

po broń. Enoch dopadł obcego dwoma susami, złapał za kark, podniósł i zaczął nim dziko potrząsać. Broń, którą tamten zdołał chwycić, znów wypadła mu z rąk, a futerał zawieszony przez ramię walił raz po raz jak w bęben w owłosioną pierś.

Smród był nie do zniesienia. Enoch wprost dusił się, potrząsając szczurowatym stworzeniem. Nagle odór spotężniał, zapiekł ogniem w gardle i odurzył. Enoch rozluźnił chwyt i zatoczył się; schylony, zaczął wymiotować. Podniósł ręce do twarzy, by osłonić się przed smrodem.

Jak przez mgłę zobaczył, że istota podnosi się, chwytą broń i pędzi w stronę drzwi. Nie słyszał, by wypowiedziała formułę, mimo to przejście otwarło się. Szczur przemknął przez nie i znikł. Przejście zamknęło się.

Enoch chwiejnym krokiem podszedł do biurka i oparł się ciężko na nim. Smród znikł. Powoli wracała Enochowi jasność myślenia. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. To nie mogło zdarzyć się naprawdę. Przybysz odbył podróż materializatorem dla osobistości, a przecież wyłącznie wysłannicy Galaktyki Centralnej mieli prawo podróżować tą drogą. Enoch był pewien, że nikt z Centralnej nie zachowałby się tak jak szczirowata istota. Jednak szczur znał formułę otwierającą drzwi. Tylko Enoch i przedstawiciele Galaktyki Centralnej ją znali.

Sięgnął po karabin i zacisnął na nim dłoń.

„W porządku – pomyślał. – Nic złego się nie stało. Jedyne jakaś obca istota buszuje po Ziemi, co jest, oczywiście, absolutnie zabronione.” Ziemia jako planeta nie należąca do galaktycznej wspólnoty była zamknięta dla obcych.

Enoch wiedział, co należy zrobić. Musiał odszukać obcego i wyrzucić go z Ziemi. Wypowiedział formułę i ruszył do przejścia. Po wyjściu skręcił za róg domu. Intruz przebiegał przez pole i zbliżał się już do linii lasu.

Enoch pędził co tchu. Zanim jednak znalazł się w połowie pola, ścigany szczur dał nura w gęstwinę. Las ogarniała ciemność. Ukośne promienie wysyłane przez zachodzące słońce wciąż oświetlały górne warstwy listowia, lecz podszycie zasnuwało się już mrokiem. Gdy Enoch wbiegł między drzewa, pochwycił spojrzeniem istotę, która skręciła w dół niewielkiego jaru i zaczęła wspinać się na zbocze po drugiej stronie w gąszczu

paproci porastających pochyłość do połowy wysokości.

Enoch wiedział, że jeśli obcy nie zmieni kierunku – przegra, gdyż zbocze wznosiło się aż po skalne zwieńczenie – masywny występ, który górował kamienną masą nad okolicą. Istota miała wkrótce znaleźć się w pułapce.

Skręcił nieznacznie na zachód, by okrążyć jamę parowu; nie spuszczał przy tym z oka uciekiniera. Teraz już złapał go w sidła. Szczur zabrnął tam, skąd nie było odwrotu. Nie mógł już skręcić i umknąć z pułapki. Zaraz znajdzie się na krawędzi urwiska i jedyne, co mu pozostanie, to schować się w jakąś szczelinę wśród głazów.

Biegając co sił, Enoch pokonał gąszcz paproci i znalazł się na stromiźnie, około stu metrów poniżej kamiennego występu. Podszycie nie było tu już tak gęste. Gdzeniegdzie tylko rosły kępy marnych krzaczków i nieliczne drzewa. Miękkie podszycie ustąpiło miejsca podłożu z odłamków skalnych, latami odłupywanych przez mrozy z powierzchni głazów i osypujących się aż do podnóża kamiennego wzniesienia. Usypisko porastał gęsty mech, co czyniło miejsce zdradliwym.

Enoch rozejrzał się, lecz nigdzie nie widać było śladu obcego. Naraz kątem oka dostrzegł jakiś ruch, rzucił się więc na ziemię za kępę leszczyny i w prześwicie między gałęziami zobaczył sylwetkę przybysza na tle nieba – obcy nerwowo obracał głową, badając urwiste zbocze; trzymał w pogotowiu uniesioną broń.

Enoch zamarł; ręka mocno ścisnęła kolbę karabinu. Zaboląły go kostki i uświadomił sobie, że obtarł je przy upadku. Obcy znikł za głazami. Enoch powoli przyciągnął karabin, tak by mógł się nim posłużyć. A jednak miał wątpliwości. Czy odważy się strzelić? Czy odważy się zabić obcego?

Obcy mógł go zabić w stacji, gdy Enocha oszołomił potworny smród, lecz nie zrobił tego, tylko uciekł. Czy to możliwe, że istota przeraziła się do tego stopnia, iż jedynym wyjściem była dla niej ucieczka? A może nie chciała zabijać zawiadowcy, jak ów wzdragał się zabić ją?

Wpatrywał się w skały powyżej, lecz nic nie dostrzegał, najmniejszego ruchu. Musiał wspiąć się w górę zbocza i to szybko – czas działał na jego niekorzyść, za to sprzyjał obcemu. Najdalej za pół godziny zapadnie zmrok, a sprawę trzeba było załatwić przed nastaniem nocy. Jeśli obcy ucieknie, szansa schwytania go będzie minimalna.

Wtedy drugie ja spytało: „Dlaczego przejmujesz się obcymi? Przecież stanąłeś już po drugiej stronie. Czy nie jesteś zdecydowany powiadomić Ziemi o istnieniu różnych cywilizacji w Galaktyce i bez upoważnienia obdarzyć Ziemię całym bogactwem obcej wiedzy, która znalazła się w twoim posiadaniu? Dlaczego powstrzymałeś tę istotę od zniszczenia stacji, od odcięcia stacji na długie lata? Gdyby udało się jej wypełnić zadanie, mógłbyś zrobić z całą wiedzą, co tylko byś zapragnął. Korzystniej było zdać się na bieg wypadków.”

„Ale nie mogłem! – krzyknął Enoch w duchu. – Po prostu nie mogłem. Nie rozumiesz tego?”

Szelest w zaroślach po lewej stronie obudził jego czujność. W odległości nie większej niż siedem metrów od niego ukazała się Lucy Fisher.

– Uciekaj stąd! – krzyknął, choć przecież nie mogła go usłyszeć.

Wyglądało na to, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje. Przesunąwszy się w lewo, wykonała ruch ręką i wskazała w stronę skał.

– Odejdź – syknął. – Odejdź stąd.

Pokazał jej na migi, by się oddaliła, że to nie miejsce dla niej.

Potrząsnęła głową i skulona ruszyła pędem pod górę.

Enoch niezgrabnie powstał i rzucił się za nią. Nagle powietrze z tyłu zaskwierczało i napełniła je woń ozonu. Instynktownie padł na ziemię. Ujrzał za sobą metr kwadratowy spalonej, parującej ziemi; podszycie strawiła fala gorąca, a gleba i odłamki skał zmieniły się w bulgoczący pudding.

„Laser – pomyślał Enoch. – Obcy używa lasera, wysyłającego cieniutką wiązkę światła o potwornej mocy.” Zebrał się w sobie i zrobił krótki wypad pod górę, po czym zaraz rzucił się za kępę rachitycznych brzoź. Powietrze znów zaskwierczało, nastąpiło krótkie wyładowanie ciepła i rozszedł się zapach ozonu. Na zboczu powyżej dymiła łąka ziemi. Posypał się popiół i osiadł na ramionach Enocha. Enoch spojrział szybko w górę; brzozy zostały skrócone o połowę, ścięte laserem i spopielone. Nikłe smuzki dymu unosiły się leniwie nad kikuty pni.

Nieważne, co obcy mógł zrobić czy też co mu się nie udało zrobić w stacji. Teraz nie żartował. Wiedział, że nie ma możliwości odwrotu i pokazywał, na co go stać.

Enoch przywarł do ziemi. Niepokoił się o Lucy. Miał nadzieję, że jest bezpieczna. „Mały głuptas, nie powinna była się w to mieszać. To nie miejsce dla niej. Nie powinna nawet chodzić po lesie o tej porze. Stary Hank znowu będzie jej szukał, myśląc, że została porwana. Co jej strzeliło do głowy?” Mrok gęstniał, tylko odległe wierzchołki drzew chwytały jeszcze ostatnie promienie słońca. Z dolin skradał się chłód, a od ziemi czuć było zgniłą wilgoć. Z jakiejś ukrytej dziupli krzyczał żałośnie lelek kozodój. Enoch rzucił się pod górę. Dotarł do zwalonej brzozy i schronił się za nią jak za barykadą. Nie widać było śladu obcego, nie padał kolejny strzał z broni laserowej.

Enoch badał wzrokiem teren. Jeszcze dwa wypadki, jeden do niewielkiego stosu kamieni, drugi pod sam szczyt, i będzie siedział obcemu na karku. Nie miał tylko pojęcia, co wtedy zrobi.

Oczywiście unieszkodliwi go.

Trudno było cokolwiek przewidzieć, niewiele pomogłoby obmyślenie jakiejś taktyki. Od momentu zbliżenia się do szczytu powinien kierować się wyczuciem, wykorzystać każdą nadarżającą się szansę. Miał utrudnione zadanie, gdyż nie wolno mu było zabić obcego; musiał go schwytać i choćby tamten gryzł i kopał, zawlec go w bezpieczne miejsce – do stacji.

Być może na otwartej przestrzeni przybysz nie będzie mógł bronić się za pomocą odoru z taką samą skutecznością jak w stacji.

Enoch obserwował skały, lecz nic nie wskazywało na miejsce, gdzie ukrył się obcy. Zaczął powoli się czołgać, szykując do następnego wypadku pod górę; nie chciał, by zdradził go jakiś dźwięk.

Kątem oka zauważył cień, który wspinał się po zboczu. Błyskawicznie usiadł, podnosząc karabin. Lecz nim zdążył obrócić lufę, cień był już przy nim; powalił go i przycisnął do ziemi, wielką ręką o płaskich palcach zatykając usta.

– Ulisses! – wybełkotał Enoch.

Cień syknął ostrzegawczo.

Powoli przygniatający Enocha ciężar usunął się, a ręka odsłoniła usta.

Ulisses wskazał na stos głazów, a Enoch kiwnął głową. Tuż przy uchu Enocha wyszeptał:

– Talizman! On ma Talizman!

– Talizman! – omal że nie krzyknął Enoch; zdawał sobie sprawę, że najmniejszy dźwięk może zdradzić ich miejsce.

Od szczytu oderwał się kamień i zaczął staczać w dół zbocza. Enoch przywarł do ziemi za kłodą.

– Padnij! – krzyknął do Ulissesa. – Padnij! On ma broń.

Ulisses chwycił go za ramię.

– Enochu! – zawołał. – Enochu, patrz!

Enoch zerwał się na nogi i ujrzał dwie postacie mocujące się na szczycie.

– Lucy! – wykrzyknął.

To właśnie ona walczyła z obcym.

„Podkraśla się do niego – pomyślał. – Cholerny, mały głuptas! Gdy obcy zajęty był przeszukiwaniem wzrokiem zbocza, zbliżyła się ukradkiem i dopadła go.”

W dłoni trzymała jakiś kij; zamierzała nim uderzyć przybysza, jednak ten chwycił ją za rękę.

– Strzelaj – bezbarwnym, martwym tonem rzucił Ulisses.

Enoch uniósł karabin, lecz w zapadających ciemnościach niewiele mógł dojrzeć. A tamci stali tak blisko siebie! Za blisko.

– Strzelaj! – wrzasnął Ulisses.

– Nie mogę – zaszlochał Enoch. – Nic nie widać.

– Musisz strzelić – głos Ulissesa był twardy i napięty. – Musisz zaryzykować.

Enoch znów uniósł broń. Wydawało mu się, że teraz widzi lepiej. Wiedział jednak, że nie tyle przeszkadzała mu ciemność, ile niecelny strzał w świecie, w którym przechadzał się na szcudłowatych nogach wyjący balon. Wtedy nie trafił i teraz też mogło mu się to przydarzyć.

Muszka zatrzymała się pośrodku głowy szcziropodobnej istoty; głowa umknęła na chwilę, lecz zaraz powróciła.

– Strzelaj! – wrzasnął Ulisses.

Enoch nacisnął spust. Karabin kaszlnął. Na górze obcy stał

jeszcze przez sekundę, pozbawiony części głowy, a strzępy oderwanego ciała frunęły krótką chwilę niczym spłoszone czarne owady w niknącym świetle zachodniego nieba.

Enoch rzucił broń i upadł na ziemię, wbijając palce w mech. Zrobiło mu się słabo na myśl o tym, co mogło się stać, jednak lata spędzone na niezwyklej strzelnicy nie poszły na marne.

„Jakie to dziwne – pomyślał - jak wiele *rzeczy* pozornie bez znaczenia kształtuje nasz los.”

Strzelnica była taką rzeczą bez znaczenia – jak stół bilardowy czy gra w karty miała służyć wyłącznie rozrywce zawiadowcy.

A jednak spędzone tam godziny nadały kształt tej chwili na niewielkim odcinku zbrocza i zadecydowały o jej finale.

Oslabienie wsiąkło w skrawek ziemi pod Enochem; ogarnął Enocha spokój – spokój drzew i podszycia z pierwszym tchnieniem nocy. Jak gdyby niebo, gwiazdy i cały kosmos pochyliły się nad nim, szepcząc o jedności z nim. Przez chwilę zdawało mu się, że uchylił rąbka jakiejś wielkiej prawdy, która przyniosła nie zaznane dotąd ukojenie i poczucie wzniosłości.

– Enochu – szepnął Ulisses. – Enochu, mój bracie...

W głosie przybysza z gwiazd zabrzmiał jakby ukryty szloch, poza tym Ulisses nigdy dotychczas nie nazwał Ziemianina bratem.

Enoch podniósł się na kolana. W górze na usypisku głazów widniało łagodne, cudowne światło, miękkie i delikatne, jak gdyby ogromny świetlik rozjarzył swój płomyk, płonący pełnią blasku.

Światło wędrowało w ich stronę po skalnej stromiźnie, a wraz z nim Lucy, która zbliżała się, jakby trzymała w dłoni latarnię.

Ręka Ulissesa mocno ścisnęła ramię Enocha.

– Widzisz? – rzekł Ulisses.

– Tak, widzę. Co to...

– Talizman – odrzekł Ulisses w zachwycie; zapało mu dech w piersi. – A ona jest naszym nowym strażnikiem, którego szukaliśmy tyle lat.

„Nie przestawałeś tego odczuwać – mówił do siebie w myślach Enoch podczas wędrówki przez las. – Nie było chwili, byś nie zdawał sobie sprawy z obecności tego. To było coś, co chciałeś przytulić do siebie i zatrzymać na zawsze, a nawet gdyby odeszło – z pewnością byś tego nigdy nie zapomniał.”

To było coś nie do opisanie: miłość matki, duma ojca, adoracja ukochanej, bliskość przyjaciela – tym wszystkim i czymś więcej. Sprawiało, że największa dal zdawała się bliska, a złożoność zmieniała się w prostotę; przepędzało cały strach i troski, choć jednak tkwił w tym pewien głęboki smutek: uczucie, że już nigdy w życiu nie przyjdzie taka chwila jak ta, że zaraz owa chwila przepadnie na zawsze i nigdy nie powróci.

Ale nie tak się stało. Chwila rozkwitała, by wciąż trwać.

Lucy szła między nimi, przyciskając do piersi torbę z ukrytym Talizmanem. Przyciskała ją obiema rękami i Enoch, patrząc na nią, otoczoną miękkim blaskiem poświaty, nie mógł powstrzymać się od tego, by nie widzieć w niej małej dziewczynki, tulącej do piersi swojego ukochanego kotka.

– Przez całe stulecie – zaczął Ulisses – a może przez wiele stuleci, albo i nigdy, nie świecił tak wspaniale. Nie pamiętam czegoś podobnego. Jest cudowny, prawda?

– Tak – przyznał Enoch. – Jest cudowny.

– Teraz znów zjednoczymy się. Znowu będziemy odczuwali. Staniemy się jednym narodem.

– A ta istota, która go miała...

- Niezwykłe przebiegła – stwierdził Ulisses. – Chodziło o okup.
- Więc Talizman został wykradziony.
- Nie znamy wszystkich okoliczności. Oczywiście dowiemy się wszystkiego.

Przedzierali się dalej przez las w milczeniu. Na wschodzie pomiędzy wierzchołkami drzew niebo jaśniało blaskiem, który zapowiadał wzejście księżyca.

- Jednego nie pojmuję – rzekł Enoch.
- Pytaj śmiało – zachęcił Ulisses.
- Jak ta istota mogła go nosić i nie odczuwać... nie czuć się złączona? W przeciwnym razie nie popełniłaby kradzieży.
- Raz na wiele miliardów trafia się ktoś, kto... jak to nazywacie? Powiedzmy: umie się dostroić. Ani w twoim, ani w moim przypadku Talizman nie zareagowałby. Moglibyśmy trzymać go w rękach nie wiadomo ile i nic by się nie stało. Ale ta jedyna istota wśród miliardów – wystarczy, że dotknie go palcem, i Talizman ożywa. Chodzi o pewną wrażliwość – nie wiem, jak to wyrazić – która rzuca most pomiędzy tym dziwnym urządzeniem a siłą duchową. Rozumiesz, to nie maszyna jako taka dociera do siły duchowej i ją przekazuje, ale umysł żywej istoty. To on z pomocą mechanizmu łączy nas z tą siłą.

Maszyna, mechanizm, zwykłe narzędzie – dojrzały technologicznie brat młotka, dłuta, motyki, a jednak tak dalece różny od nich jak ludzki mózg w porównaniu z pierwszym aminokwasem, który powstał na Ziemi we wczesnej młodości planety. Chciałoby się powiedzieć: oto kres rozwoju narzędzi, szczyt pomysłowości wszystkich umysłów. Ale czy można tak twierdzić? Być może granica wcale nie istnieje; może nigdy nie nadejdzie taki czas, gdy jakaś istota lub grupa istot zatrzyma się w pewnym punkcie i powie: Oto kres rozwoju, nie ma sensu dalej

próbować. Przecież każdy postęp otwiera, jako efekt uboczny, wiele nowych możliwości, otwiera tyle dróg, że z każdym krokiem odkrywa się coraz więcej niezbadanych ścieżek. I tak bez końca.

Dotarli do skraju pola i szli dalej na przełaj w kierunku stacji. Od strony wzniesienia dobiegł odgłos biegnących stóp.

– Enoch! – ktoś krzyknął w ciemności. – Enoch, czy to ty?

Enoch rozpoznał głos.

– Tak, Winslowe. Co się stało?

Listonosz wynurzył się z mroku i stanął, zdyszany, na skraju blasku.

– Enoch, zbliżają się! Jadą kilkoma samochodami. Ale trochę im przeszkodziłem. Tam, gdzie z drogi skręca się do ciebie – wiesz – sypnąłem kilo gwoździ dekarских w koleiny. To ich na chwilę powstrzyma.

– Gwoździe dekarские? – spytał Ulisses.

– Ściga mnie motłoch. Gwoździe... – zaczął wyjaśniać Enoch.

– Ach, rozumiem – powiedział Ulisses. – Żeby przedziurawić opony.

Winslowe zbliżył się o krok. Blask Talizmanu przykuł jego uwagę.

– To Lucy Fisher, prawda?

– Tak, to ona – rzekł Enoch.

– Właśnie przed chwilą jej stary przyleciał do miasta z wrzaskiem, że znowu zniknęła. Do tej pory wszystko było w porządku, uspokoiło się, ale stary Hank znowu ich podburzył. Poszedłem więc do sklepu żelaznego i wziąłem te gwoździe dekarские, żeby je rozrzucić na drodze.

– Jaki motłoch? – spytał Ulisses. – Nie rozu...

– Facet od żeń-szenia jest koło domu – przerwał mu Winslowe,

który aż się palił, żeby przekazać informacje. – Czeka na ciebie. Ma ciężarówkę.

– To Lewis z ciałem Mglatego – rzekł Enoch.

– Jest trochę niespokojny – ciągnął Winslowe. – Powiedział, że miałeś na niego czekać.

– Może nie powinniśmy tak tutaj stać – wtrącił Ulisses. – Mój sterany rozum podpowiada mi, że komplikuje się naraz wiele spraw.

– Powiedz mi – wrzasnął listonosz – co tu się właściwie dzieje?! Co tam Lucy trzyma i kto to jest ten gość koło ciebie?

– Później – odrzekł Enoch. – Później ci powiem. Teraz nie ma czasu.

– Ale Enochu, zbliża się ta zgraja.

– Zajmę się nimi, kiedy będę musiał. W tej chwili są ważniejsze sprawy.

Pobiegli całą czwórką w górę zbocza, przedzierając się przez wysokie po pas zarośla. Przed nim ciemna bryła stacji górowała na tle nieba.

– Oni są przy zakręcie – wysapał Winslowe. – Te światła, widziałeś? To były reflektory samochodu.

Dotarli na podwórze i popędzili w stronę domu. Czarny kształt wielkiej ciężarówki zamigotał w poświacie rzucanej przez Talizman. Z mroku wyłoniła się postać, która spieszenie podążyła w ich stronę.

– Czy to pan, Wallace?

– Tak – odpowiedział Enoch. – Przepraszam, że musiał pan czekać.

– Zaniepokoiłem się trochę – rzekł Lewis – gdy zobaczyłem, że pana nie ma.

– Nieprzewidziane okoliczności – wyjaśnił Enoch. – Trzeba

było zająć się pewną sprawą.

– Czy ciało czcigodnego – wtrącił się Ulisses – jest w samochodzie?

Lewis przytaknął.

– Jestem szczęśliwy, że możemy to naprawić.

– Będziemy musieli zanieść je do sadu – powiedział Enoch.

– Nie da rady wjechać tam ciężarówką.

– Wówczas ty go niosłeś – rzekł Ulisses.

Enoch skinął głową.

– Przyjacielu – zaczął przybysz z gwiazd – czy pozwolisz, że tym razem mnie wolno będzie dostąpić tego zaszczytu?

– Ależ tak, oczywiście – odparł Enoch. – Myślę, że on byłby z tego zadowolony.

Na usta cisnęły mu się słowa, lecz powstrzymał się, gdyż zabrzmiałyby nieodpowiednio. Pragnął wyrazić podziękowanie za zwolnienie go z obowiązku pełnego zadośćuczynienia, za gest uwalniający go od dopełnienia litery prawa.

Winslowe u jego boku powiedział:

– Nadchodzą. Słyszę ich.

Nie mylił się.

Od gościńca dochodził miękki odgłos kroków, niespieszne szuranie w pyle drogi – wyzywające, powolne stąpanie potwora pewnego swojej zdobyczy.

Enoch obrócił się i uniósł karabin, mierząc w stronę dobiegających z ciemności kroków.

Za nim Ulisses powiedział cicho:

– Może będzie lepiej, jeśli złożymy go w grobie w pełnym blasku naszego odzyskanego Talizmanu.

– Ona cię nie słyszy – powiedział Enoch. – Pamiętaj, że jest głucha. Musisz jej pokazać.

Nie dokończył, ponieważ niespodziewanie dookoła rozlała się jasność.

Enoch zdusił krzyk, obracając głowę w kierunku grupki przy samochodzie. Torba, w której spoczywał Talizman, leżała u stóp Lucy; dziewczyna z dumą trzymała wysoko roziskrzoną jasność, by ta ogarnęła podwórze, wiekowy dom i rozlała się dalej, na pole.

Zapanowała cisza. Jakby cały świat wstrzymał oddech i stanął, czekając zewu, który nie zabrzmiał i nigdy nie zabrzmiał, ale zawsze będzie oczekiwany.

Wraz z ciszą nastąpiło przemożne poczucie bezpieczeństwa – spokój odczuwany w każdym zakamarku jestestwa. Nie było w tym nic sztucznego, narzuconego. Pokój zapanował prawdziwie, jak spokój ducha, który przychodzi wraz z ciszą zachodu po długim upalnym dniu. Odczuwany duszą i ciałem. Miało się wrażenie, że zapanował nie tylko w pobliżu stacji, lecz rozszedł się we wszystkich kierunkach po najdalszy kres nieskończoności, a jego głębia pozwoli mu trwać dotąd, aż wieczność wyda ostatnie tchnienie.

Enoch przypomniał sobie o zbliżających się ludziach i zwrócił twarz w ich stronę. Stali na skraju blasku szarą, stłoczoną grupą jak wilki podkradające się pod granicę pomiędzy mrokiem a nikłą łuną obozowego ogniska.

Patrzył, jak wycofują się w ciemność, z której przyszli, w pyle drogi.

Jeden z nich odwrócił się i pomknął w dół wzgórza w stronę lasu, wyjąc w szalonym strachu niby przerażony pies.

– To Hank – powiedział Winslowe. – To Hank biegnie.

– Przykro mi, że go wystraszyliśmy – rzekł Enoch z powagą. – Żaden człowiek nie powinien się tego bać.

– On się boi samego siebie – stwierdził listonosz. – Strach jest w nim.

„To prawda – pomyślał Enoch. – Taki już jest Człowiek – i zawsze taki był. Nosi w sobie strach. Zawsze boi się najbardziej siebie samego.”

Ciało zostało pogrzebane. Nad grobem cała piątka stała jeszcze przez chwilę, słuchając szumu niespokojnego wiatru, który miotał się w sadzie skąpanym w świetle księżyca. Z dalekich dziupli nad rzeką dobiegały nawoływania lelków wśród srebrzystej nocy.

W promieniach księżyca Enoch próbował odczytać napis wyryty na nierówno ociosanym kamieniu nagrobnym, lecz światło było zbyt słabe. Zresztą treść napisu znał na pamięć.

Tu spoczywa przybysz z dalekiej gwiazdy, lecz ziemia ta nie będzie mu obca, gdyż przez śmierć złączył się z wszechświatem.

Zeszłej nocy Mglisty, który przybył złożyć protest, powiedział mu: „Kiedy to pisałeś, myślałeś jak jeden z nas”. Mylił się, ale Enoch nie wyprowadził go z błędu, bo przecież nie tylko mieszkańcy Wegi tak odczuwali – ludzie również.

Słowa zostały wyryte niewprawną ręką; popełnił jeden czy dwa błędy w pisowni – niełatwo było nauczyć się języka Mglistych. Kamień nie był tak trwały jak marmur czy granit, z których najczęściej wykonywano nagrobki, i napis zapewne nie przetrwa wieków. Jeszcze kilka lat i wskutek niszczącego działania słońca, deszczu i mrozu zatrą się znaki, a po następnych kilku latach całkiem znikną; zostanie tylko na kamieniu nierówność, świadcząca o tym, że kiedyś było tam coś napisane.

„Ale to nieważne – myślał Enoch – słowa wryły się nie tylko w kamień.”

Spojrzał ponad grobem na Lucy. Talizman był znów schowany, a jego blask przyćmiony. Dziewczyna wciąż tuliła go do piersi, a jej twarz wyrażała uniesienie. Zdawała się przebywać w innym świecie, w jakimś dalekim wymiarze, gdzie zamieszkała samotnie, niepomna przeszłości.

– Sądysz, że pójdzie z nami? – spytał Ulisses. – Myślisz, że możemy ją zabrać? Czy Ziemia...

– Ziemia nie ma tu nic do powiedzenia – odrzekł Enoch. – Ona sama zdecyduje.

– Zgodzi się?

– Myślę, że tak. Być może całe życie czekała na ten właśnie moment. Chyba podjęłaby decyzję i bez Talizmanu.

Zawsze przecież pozostawała w kontakcie z czymś poza ludzkim zasięgiem. Jest w niej coś, czego nie ma żaden inny człowiek. Wyczuwało się to, lecz trudno było nazwać. Ona nieporadnie próbowała wykorzystywać swój dar, nie bardzo wiedząc jak: wywabiała kurzajki, leczyła biedne, chore motyle i Bóg wie czego jeszcze dokonywała.

– To jej ojciec uciekł od nas z krzykiem? – spytał Ulisses.

– Ja się nim zajmę – oświadczył Lewis. – Pogadam z nim.

Dość dobrze się znamy.

– Chcesz zabrać ją do Galaktyki Centralnej? – zapytał Enoch.

– Jeśli się zgodzi – odrzekł Ulisses. – Natychmiast trzeba powiadomić Centralną.

– I stamtąd w najdalsze zakątki Galaktyki?

– Tak. Bardzo jej potrzebujemy.

– Czy moglibyśmy w takim razie wypożyczyć ją na dzień lub dwa?

– Wypożyczyć?

– Tak. My też jej potrzebujemy, nam jest najbardziej potrzebna.

– Oczywiście – odrzekł Ulisses. – Ale nie rozu...

– Jak pan myśli – zwrócił się Enoch do Lewisa – czy uda się przekonać nasz rząd... może sekretarza stanu, żeby włączył niejaką Lucy Fisher w skład naszej delegacji na konferencję pokojową?

Lewis zaczął coś mówić, umilkł, wreszcie rzekł:

– Tak. Sądzę, że to da się załatwić.

– Potrafi pan sobie wyobrazić – ciągnął Enoch – jakie wrażenie wywołała ta dziewczyna z Talizmanem przy stole konferencyjnym?

– Chyba potrafię – powiedział Lewis. – Ale sekretarz z pewnością zechce porozmawiać z panem, zanim podejmie decyzję.

Enoch zamierzał zwrócić się do Ulissesa z pytaniem, lecz nie musiał tego robić.

– Ależ jak najbardziej – zapewnił Ulisses Lewisa. – Niech pan da znać, a ja też wezmę udział w spotkaniu. Mógłby pan poza tym podsunąć łaskawemu sekretarzowi pomysł utworzenia światowego komitetu.

– Światowego komitetu?

– Który wystąpi o przyjęcie Ziemi do naszej wspólnoty. Nie możemy przecież przyjąć strażnika z obcej planety, prawda?

Usypisko głazów odbijało blade promienie księżyca, przywodząc na myśl kości prehistorycznego zwierza. Na skraju górującego nad rzeką urwiska potężne drzewa przerzedzały się i skalisty występ wychodził nagi w niebo.

Enoch stał obok jednego z masywnych głazów i ze spuszczoną głową patrzył na kształt leżący pomiędzy kamieniami. „Biedny, przegrany szubrawiec – pomyślał. – Stracił życie tak daleko od domu z tak niskich pobudek.”

Choć może wcale nie był małą, nikczemną istotą. W jego mózgu – teraz nieodwracalnie unicestwionym – z pewnością istniał zamysł zdobycia wielkości, taki sam jak w mózgach Aleksandra, Kserksesa czy Napoleona; sen o potędze – zrodzony z egoizmu – o potędze, która miała spełnić się i trwać za wszelką ceną; pragnienie tak przytłaczające, że odsuwało na bok wszelkie względy moralne.

Enoch próbował wyobrazić sobie, co mogło powodować obcym, lecz podczas tej próby wyobraźni uświadomił sobie absurdalność swych wysiłków – z pewnością istniały względy mogące ujść uwadze i okoliczności poza zasięgiem jego zdolności pojmowania.

Coś musiało pokrzyżować przybyszowi plany. Ziemia pewnie stanowiła jedynie kryjówkę w razie jakichś kłopotów. Obcy padł, po części z desperacji, w ostatniej rozgrywce, która mu się nie powiodła.

Czyż to nie zakrawało na ironię losu? Obcy podczas ucieczki

zaniósł Talizman wprost w ręce wrażliwej i to na planecie, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy szukać istoty obdarzonej wrażliwością. Nie ulegało wątpliwości, że Lucy wyczuła Talizman i przybiegła na jego wezwanie, jak stalowy opilek, który łączy się do magnezu. Nie obchodziło jej nic poza tym, że Talizman był w pobliżu i że musiała go zdobyć. Czekwała na to przez całą swą samotność, nie wiedząc, czym jest Talizman, nie łudząc się nadzieją, że go kiedykolwiek

które niespodziewanie dostrzega lśniące, śliczne świecidełko zawieszane na choince i natychmiast wie, że to najwspanialsza rzecz na ziemi, i pragnie ją mieć.

„Obcy musiał być zdolny i zaradny – rozmyślał Enoch. – Po pierwsze, dużych zdolności i sprytu wymagała sama kradzież Talizmanu, ukrywanie go, zdobycie dostępu do tajnych akt Galaktyki Centralnej... Czy to wszystko byłoby możliwe, gdyby Talizman działał? Energia Talizmanu powstrzymałaby chyba moralny rozkład i chciwość, które pchnęły obcego do kradzieży.”

Teraz już było po wszystkim. Talizman został odzyskany i znalazł nowego strażnika – głuchoniemą Ziemiakę, upośledzoną pośród ludzi. I zapanuje pokój na Ziemi, a jej mieszkańcy wkrótce wejdą do galaktycznej wspólnoty.

„Znikły wszelkie problemy – myślał Enoch. – Nie trzeba podejmować decyzji. Lucy zdjęła ze wszystkich ciężar decydowania. Stacja zostanie; można rozpakować pudła i odłożyć dzienniki na półkę. Nic nie stoi na przeszkodzie – można udać się z powrotem do stacji, usiąść i dalej pracować.”

– Przepraszam – powiedział Enoch do kształtu leżącego wśród kamieni. – Przykro mi, że zginałeś z mojej ręki.

Odwrócił się i podszedł do miejsca, gdzie urwisko opadało pionowo do rzeki. Uniósł karabin i trzymał go przez moment,

potem rzucił przed siebie i patrzył, jak leci koziółkując, a lufa błyska w świetle księżyca; wreszcie ujrzał maleńki rozprysk wody. Z dołu dochodził szum rzeki omijającej zbocze, by dalej płynąć ku odległym zakątkom Ziemi.

„Będzie pokój na świecie – rozmyślał Enoch – wojna nie wybuchnie. Obecność Lucy przy stole konferencyjnym wyklucza jakąkolwiek myśl o wojnie. Jeżeli nawet niektórzy wybiegną wyjąć, porażeni strachem, z poczuciem winy tak wielkim, że nie pomoże napełniający spokojem Talizman – wojny i tak nie będzie.

Choć droga jeszcze długa – długie samotne czekanie, zanim blask pokoju na dobre zagości w sercach ludzi. Prawdziwy pokój zapanuje wtedy, gdy nikt nie będzie uciekał i *krzyczał*, oszalały ze strachu. Ludzkość nie zazna pokoju, dopóki ostatni człowiek nie pozbędzie się swojej broni (jakiejkolwiek broni). A karabin jest najpośledniejszym ziemskim narzędziem wojny, najmniej nieludzkim wobec człowieka, właściwie jedynie symbolem wszystkich innych, groźniejszych środków zagłady.”

Stał na krawędzi urwiska i patrzył w dal ponad rzeką i ciemną plamą lasu porastającego dolinę. Czuł, że dłonie ma dziwnie puste bez karabinu, lecz jednocześnie wydawało mu się, iż jakby w którymś momencie po drodze zdołał przejść do innego wymiaru trwania; jak gdyby wiek – lub dzień – przepadł gdzieś, pozwalając mu znaleźć się w miejscu lśniącym i nowiutkim, nie skalanym przez żaden dawny błąd.

W dole płynęła rzeka, która była obojętna na sprawy świata. Nic dla niej się nie liczyło. Zabierze kiel mastodonta, czaszkę mamuta, ludzkie piszczele, drzewo, rzucony kamień lub karabin – wszystko pochłonie, oblepi mułem i piaskiem, ukryje w głębinie, by przetaczać się górą z szumem.

Milion lat temu nie było tu rzeki i za milion lat znów być może jej nie będzie. Lecz będzie Człowiek albo przynajmniej ktoś, komu nie będą obojętne sprawy świata. Oto tajemnica wszechświata: trwać w trosce.

Wolno odwrócił się od przepaści i począł gramolić się wśród głazów. Słyszał szmery wydawane przez małe stworzenia, uciekające przed nim w opadłych liściach; raz ozwał się zaspany świergot obudzonego ptaka. W całym lesie panowała cisza pojednania – jakby blask Talizmanu trwał dalej, choć już nie tak jasny, głęboki i intensywny.

Wyszedł na skraj lasu i zaczął pokonywać wzniesienie pola. Przed nim stała na szczycie wzgórza bryła stacji. Poczuł, że to, co dotychczas uważał tylko za stację, stało się znów jego domem. Wiele lat temu był to dom rodzinny, potem – stacja tranzytowa. Teraz stacja tranzytowa była jednocześnie domem.

Wszedł do stacji. W pomieszczeniu panowała cisza; było w niej coś złowrogiego. Lampa płonęła na biurku, a obok, na stoliku do kawy, błyskała piramida kul, rzucając tęczowe blaski niczym lustrzana kula, którą używano w hałaśliwych latach dwudziestych, by zmieniać salę dansingową w krainę czarów. Małe kolorowe refleksy fruwały po całym pomieszczeniu; przypominały zwariowane, roztańczone świetliki w technicolorze.

Chwilę stał niezdecydowany, nie wiedząc, gdzie się podziąć. Czegoś mu brakowało i natychmiast uświadomił sobie czego. Przez wszystkie lata miał karabin, który trzeba było powiesić na ścianie albo położyć na biurku. Teraz już go nie miał.

„Muszę usiąść i zabrać się do pracy” – postanowił.

Trzeba było wszystko rozpakować i poustawiać. Dziennik wymagał uzupełnienia i czekały zaległe lektury. Było mnóstwo do zrobienia.

Ulisses i Lucy odeszli, udając się w podróż do Galaktyki Centralnej, ale wrażenie pozostawione przez Talizman wciąż trwało. Być może to uczucie będzie zawsze mu towarzyszyć.

Wolno podszedł do sofy i usiadł na niej. Naprzeciw piramida kul rozpryskiwała krystaliczny deszcz kolorów. Sięgnął po nią, lecz zaraz powoli odstawił. Po co miałby znów ją badać? Tyle razy próbował i nie udało mu się zgłębić jej tajemnic, czego więc się teraz spodziewał.

„Ładna rzecz – pomyślał – choć bezużyteczna.”

Zastanawiał się, jak Lucy sobie radzi, i doszedł do wniosku, że na pewno świetnie. Był pewien, że da sobie radę wszędzie.

„Zamiast tak siedzieć, powinienem zabrać się do pracy – zdecydował. – Mam mnóstwo zaległości. Zaraz Ziemia zacznie łomotać do drzwi. Odbędą się konferencje i spotkania, a za kilka godzin zjawią się dziennikarze. Lecz zanim to nastąpi, wróci Ulisses gotów do pomocy, a z nim być może inni.”

Postanowił najpierw coś zjeść; miał nadzieję, że jeśli posiedzi do późna w nocy, na pewno sporo nadrobi.

„Samotne noce sprzyjają pracowitości – pomyślał. – Właśnie teraz przyszła samotność, kiedy nie powinienem wcale odczuwać osamotnienia. Przecież nie jestem już sam, choć przed kilkoma krótkimi godzinami tak mi się zdawało. Teraz mam Ziemię i Galaktykę, Lucy i Winslowe’a, Ulissesa i Lewisa, i starego filozofa w sadzie.”

Wstał i podszedł do biurka. Wziął do ręki figurkę wyrzeźbioną przez Winslowe’a. Trzymał ją w świetle lampy stojącej na biurku i wolno obracał w dłoniach. Dostrzegł, że figurka wyraża samotność - niewypowiedziane osamotnienie człowieka idącego w pojedynkę.

Musiał jednak kroczyć sam. Nie mógł inaczej. Nie było żadnego wyboru. To było zadanie tylko dla jednego człowieka. Zostało jeszcze tyle do zrobienia, ale zakończył się pewien etap i rozpoczął nowy.

Odstawił figurkę na biurko i przypomniał sobie, że nie podarował jeszcze Winslowe’owi kawałka drewna przywiezionego przez podróżnika z Thubana. Teraz już Winslowe mógł się dowiedzieć, skąd pochodziło drewno. Będą mogli razem przeglądać księgi zapisów, ustalać daty i pochodzenie każdego kawałka. Stary Winslowe będzie

zadowolony.

Usłyszał szelest szat i odwrócił się.

– Mary! – krzyknął.

Stała na granicy cienia. Fruwające kolorowe błyski, wysyłane przez piramidę kul, nadawały jej wygląd przybysza z krainy baśni.

„To prawda – zaświtała mu szalona myśl – powróciłem do utraconej krainy czarów.”

– Musiałam przyjść – powiedziała. – Byłeś samotny, Enochu. Nie mogłam nie przyjść do ciebie.

Nie mogła nie przyjść. Może istotnie tak było. Według zasad, które ustalił, istniał zapewne przemożny nakaz, który zmuszał ją, by przychodziła, gdy tylko jej potrzebował.

„To pułapka – pomyślał – z której ani ona, ani ja nie możemy się wydostać. Zamiast wolnej woli – mordercza precyzja ślepego mechanizmu, który sam opracowałem. Nie powinna była mnie odwiedzać i pewnie wiedziała o tym równie dobrze jak ja, lecz nic nie mogła na to poradzić. Czy tak już zostanie na zawsze?”

Stał bez ruchu; rozdzierało go pragnienie Lucy i nierzeczywistość jej istnienia, a ona zbliżała się do niego.

Była już blisko, za chwilę stanie – znała przecież zasady, podobnie jak on sam; oboje nie potrafili przyznać się, że była to tylko iluzja.

Ale nie zatrzymała się. Podeszła tak blisko, że czuł jej delikatny zapach kwiatu jabłoni. Wyciągnęła rękę i położyła na jego ramieniu.

To nie było dotknięcie cienia. Czuł ucisk palców jej chłodnej ręki.

Stał sztywno, z jej dłonią na ramieniu.

„Błyszczące światelka! – pomyślał. – Piramida kul!”

Przypomniął sobie, od kogo ją dostał – od jednego z niezwykłych mieszkańców systemu Alfarda. Sztukę tworzenia krainy czarów poznał, czytając literaturę pochodzącą właśnie stamtąd. Oni próbowali mu pomóc, ofiarowując piramidę kul, lecz ich nie rozumiał. Nastąpiła nieudana próba komunikacji – w końcu nietrudno o to: w galaktycznej wieży Babel nader łatwo było czegoś nie pojąć lub po prostu o czymś nie wiedzieć.

Piramida kul była cudownym, a jednocześnie prostym urządzeniem. Działała jak utrwalacz, rozpędzała wszelkie złudzenia, a krainę czarów zmieniała w rzeczywistość. Można było stworzyć coś, potem włączyć piramidę i twór zaczynał istnieć tak prawdziwie, jakby nigdy nie został wymyślony.

„A jednak nie zawsze można oszukać samego siebie – myślał Enoch. – Wiadomo, że coś jest ułudą, nawet gdy zmienia się to w rzeczywistość.”

Niepewnie wyciągnął dłoń w jej stronę, lecz Mary opuściła rękę i wolno cofnęła się o krok.

W panującej ciszy – w strasznej ciszy samotności – stali naprzeciw siebie pośród kolorowych błysków, igrających niczym rozbiegane myszy, wysyłanych przez piramidę kul.

– Przykro mi – odezwała się Mary – ale to nic nie da. Nie możemy się oszukiwać.

Stał niemy i zawstydzony.

– Na to czekałam. Rozmyślałam o tym i marzyłam.

– Ja też – przyznał Enoch. – Nie spodziewałem się, że to nastąpi.

Dopóki to trwało, pozostawało marzeniem. Romantycznym, niedościgłym, płonnym. Może dlatego romantycznym, że nie mogło się ziścić.

– Jak gdyby ożyła lalka – rzekła Mary – albo ukochany

pluszowy miś. Przykro mi, Enochu. Nie mógłbyś kochać lalki, która nagle ożyła, ani pluszowego misia. Będiesz zawsze pamiętał, czym były przedtem. Lalka z wymalowanym uśmiechem bezmyślności; miś, z którego sypią się trociny.

– Nie! – krzyknął Enoch. – Nie!

– Biedny Enoch – powiedziała. – To będzie dla ciebie straszne. Tak żałuję, że nie mogę ci pomóc. Przyjdzie ci żyć z tym tak długo.

– A ty! – zawołał. – Co teraz poczniesz?

„To ona właśnie wykazała odwagę - pomyślał. – Odwagi wymagało nazwanie rzeczy po imieniu.”

Nie miał pojęcia, w jaki sposób przeczuła. Skąd mogła wiedzieć?

– Odejdę – rzekła. – I nie powrócę. Nawet gdy będziesz mnie potrzebował – nie przyjdę. To jedyne wyjście.

Ale ty nie możesz odejść. Jesteś w pułapce, podobnie jak ja – Czyż to nie dziwne, co się z nami stało? Oboje padliśmy ofiarą złudzeń.

– Nie. Ty nie.

Z powagą skinęła głową.

– Ja także. Ty nie możesz kochać zrobionej przez siebie lalki, a ja – lalkarza. Oboje jednak łudziliśmy się; wciąż odczuwamy przymus kochania, a potem poczucie winy i żal, że to się nie udaje.

– Moglibyśmy spróbować – powiedział Enoch’. – Tylko nie odchodź.

– Mam zostać, by w końcu zacząć cię nienawidzić? I, co gorsza, wzbudzić w tobie nienawiść? Lepiej zostawmy sobie poczucie winy i żal. Lepsze to niż nienawiść.

Szybkim ruchem podniosła piramidę kul.

– Nie, tylko nie to! – krzyknął. – Nie, Mary...

Piramida zawirowała w locie, roztaczając błyski, i rozbiła się o gzyms kominka. Zgasły refleksy. Okruchy szkła potoczyły się po podłodze.

– Mary! – krzyknął, rozgarniając ciemności.

Lecz jej już nie było.

– Mary! – Jego krzyk przeszedł w jęk.

Odeszła i już nie wróci.

Nawet gdyby ją przyzywał, nie zjawi się.

Stał wśród ciszy i ciemności; głos minionego wieku zdawał się przemawiać doń w niemym języku: Wszystko jest trudne – mówił. Nie ma rzeczy łatwych. Była dziewczyna z farmy przy drodze, potem piękność z Południa, która patrzyła, jak mijał jej ganek, i wreszcie Mary, która odeszła na zawsze. Odwrócił się i ruszył po omacku w stronę biurka. Dotarł do niego i zapalił lampę. Rozejrzał się wokół. W miejscu, gdzie stał, była kiedyś kuchnia, a przy kominku – salonik. Wszystko się zmieniło, bardzo dawno temu, lecz wciąż widział dawny dom. Dni, które przeminęły, i ludzi, którzy odeszli wraz z nimi.

Został sam.

Utracił swój świat.

Podobnie jak wszyscy tego dnia – wszyscy ludzie, którym dane było dożyć tej chwili.

Chyba jeszcze o tym nie wiedzieli, ale oni też utracili swój świat. Już nigdy nie będzie tak samo.

Zegnał już tyle spraw, miłości i marzeń.

– Żegnaj, Mary – powiedział. – Przebacz mi i niech Bóg ma cię w opiece.

Usiadł przy biurku i przysunął księgę zapisów. Otworzył ją i przekartkował, szukając stron, które musiał zapełnić.

Miał przed sobą wiele pracy.

Teraz był już gotów.

Wypowiedział już ostatnie słowa pożegnania.

CLIFFORD D. SIMAK

STACJA TRANZYTOWA

Dlaczego studwudziestoczteroletni Enoch Wallace, weteran Wojny Secesyjnej, wygląda na trzydziestolatka? Czemu na życie zarabia sprzedając za bezcen szlachetne kamienie?

Nie tylko nas zaintrygowały te tajemnice – Enoch stał się obiektem zainteresowania CIA i na pewno nie wyniknie z tego nic dobrego... „Stacja tranzytowa” nie jest jednak powieścią sensacyjną. Zagadka Enocha Wallace’a ma więcej wspólnego z obcymi planetami niż z obcymi wywiadami...

Prezentujemy kolejną powieść amerykańskiego klasyka SF, Clifforda D. Simaka. „Stacja tranzytowa” jest powszechnie uważana za arcydzieło gatunku i najwybitniejsze dzieło w bogatym dorobku wielkiego pisarza. Kunszt Simaka sprawia, iż wierzymy w to, że stara, prowincjonalna chałupa może być centrum wszechświata, że przybysze z innych galaktyk pojawiają się na zapuszczonych podwórkach.

Proponujemy:

POUL ANDERSON
STRAŻNICY CZASU